

*Mark Twain*

**PRZYGODY TOMKA SAWYERA**

## **TOMEK BAWI SIĘ, WALCZY I ZNIKA.**

- Tomek! Nikt nie odpowiada. -Tomek!

Milczenie.

Gdzież go znowu poniosło? Tomek!

Cisza.

Starsza pani zsunęła okulary na nos i sponad szkieł rozejrzała się po pokoju. Potem podniosła je na czoło i jeszcze raz popatrzyła dokoła. Nigdy by nie raczyła spojrzeć przez okulary na taki drobiazg jak Tomek. Zresztą nosiła je tylko od parady i bardzo była dumna z tej wytwornej, choć zupełnie bezużytecznej ozdoby.

Z równym skutkiem bowiem mogłaby patrzeć przez fajerki. Ciotka Polcia szybko ochłonęła i powiedziała spokojnie, ale dość głośno, aby meble mogły ją usłyszeć:

- Czekaj, już ja cię dostanę...

Nie dokończyła. Schyliła się i zaczęła szturchać miotłą pod łóżkiem. Choć się przy tym zadyszała, wymiotła tylko kota.

- Skaranie boskie z tym chłopakiem!

Podeszła do otwartych drzwi, stanęła na progu i rozejrzała się po ogrodzie, to znaczy po grządkach pomidorów porośniętych blekotem. Tomka ani śladu. Gromkim głosem zawołała:

- Hop, hop, Toomku!

Wtem za plecami usłyszała lekki szelest i zdążyła się jeszcze odwrócić, aby złapać chłopca za kołnierz i osadzić go na miejscu.

- Tuś mi, ladaco! Na śmierć zapomniałam o spiżarni! Coś tam robił?

-Nic.

- Nic! Spójrz tylko na swoje ręce! I na usta! Co to jest?

- Nie wiem, ciociu.

-A ja wiem! Konfitury, tak! Sto razy mówiłam, żebyś nie ruszał konfitur, bo skóra będzie w robocie. Dawaj różgę!

Różga świsnęła w powietrzu - sytuacja była beznadziejna.

- O rany, ciociu! Obejrzyj no się prędko!

Starsza pani odwróciła się gwałtownie i ze strachu zadarła spódnicę. Chłopiec w lot dopadł wysokiego parkanu i zniknął po drugiej stronie. Ciocia Polcia na chwilę oniemiała, a potem wybuchnęła dobrodusznym śmiechem.

- A to szelma! Nigdy chyba przy nim nie zmądrzeję. Tyle razy nabrał mnie na ten kawał i znów się zagapiłam. Nie ma większego osła niż stary głupiec. Starego psa, jak się to mówi, nikt nowych sztuczek nie nauczy. A ten chłopak wymyśla coraz to nowe sposoby - i bądź tu mądra. Widocznie wie dobrze, na co może sobie pozwolić, żeby mnie nie wyprowadzić z

równowagi. Wie, że byle mu się udało odwrócić na chwilę moją uwagę lub mnie rozśmieszyć, już ręka mi opada i nawet go nie tknę. Bóg mi świadkiem, że nie spełniam swych obowiązków względem tego chłopca! „Różdżką dziateczki Duch Święty bić każe” - mówi Pismo Święte. Grzech i męki piekielne ściągają na nas oboje - wiadomo. Diabła rogatego ma on za skórą, ale, mój Boże, toż to sierotka po nieboszczce rodzonej mej siostrze i serce mi się kraje, gdy trzeba wyłoić mu skórę. Ile razy mu daruję, sumienie nie daje mi spokoju, a jak mu sprawię baty - to wprost serce mi pęka. Ano, żywot człowieka zrodzonego z niewiasty jest krótki i pełen trosk - powiada Pismo Święte i wielka to prawda. Dziś po południu na pewno pójdzie na wagary i za karę będę jutro musiała wyznaczyć mu jakąś pracę. Niełatwo mi to przyjdzie. Jutro jest sobota i wszyscy chłopcy będą się bawili. Ale Tomek z całego serca nie cierpi pracy, muszę więc spełnić swój obowiązek, bo inaczej winna byłabym jego zguby.

Tomek istotnie poszedł na wagary i świetnie się bawił. Powrócił do domu przed kolacją i jeszcze zdążył pomóc małemu Murzynkowi Jimowi, który rznął drzewo na dzień następny i rąbał je na podpałkę. Pomoc polegała na tym, że Tomek opowiedział Jimowi swoje przygody, a ten wykonał trzy czwarte pracy. Sid, młodszy brat Tomka (a raczej brat przyrodni), skończył już wyznaczoną sobie pracę (zbieranie drzazg), gdyż był to chłopiec posłuszny i nie miał awanturnicznej żyłki.

Podczas kolacji Tomek kradł cukier, ile się tylko dało, a ciotka Polcia zadawała mu podstępne pytania, aby wydobyć z niego kompromitujące wyznanie. Jak każda zacna dusza, miała się za biegłą w ciemnych i zawiłych arkanach dyplomacji, a najbardziej przejrzyste swe podstępny uważała za szczyt przebiegłości.

- Gorąco dziś było w szkole? - pytała.
- Tak, ciociu,.
- Bardzo gorąco, prawda, Tomku? - Bardzo, ciociu.
- To pewnie chciałeś się wykapać?

Strach obleciał Tomka - coś się tutaj kroilo. Nieufnie spojrzął na twarz ciotki, ale nie wyczytał na niej nic podejrzanego. Odpowiedział więc:

- Nie, ciociu, nie bardzo.

Ciotka wyciągnęła rękę i dotknęła koszuli Tomka.

- A teraz już ci nie jest gorąco? - zapytała.

Pochlebiała jej, że w tak sprytny sposób sprawdziła, iż koszula jest sucha, a nikt by nie zgadł, do czego zmierza. Ale Tomek wiedział już; co w trawie piszczy, i uprzedził jej następne posunięcie: - Zmoczyliśmy sobie głowy pod studnią... patrz, mam jeszcze mokre włosy.

Ciotce zrobiło się przykro. Zapomniała o włosach jako poszlance i wszystkie podstępny na nic się zdały. Nagle olśniło ją natchnienie:

- Żeby podstawić głowę pod studnię, nie trzeba odpruwać kołnierzyka, który ci przyszyłam do koszuli, prawda, Tomku? Odepnij no bluzkę!

Wyraz niepewności zniknął z twarzy Tomka. Odpiął kurtkę. Kołnierzyk trzymał się mocno koszuli.

- No, wiesz! Idź sobie. A ja myślałam, żeś był na wagarach i żeś się kąpał. No dobrze, dobrze. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Tym razem ci się upiekło.

Była trochę zła, że zawiodła ją zwykła przenikliwość, a trochę się ucieszyła że Tomek przypadkiem trafił na drogę posłuszeństwa. Nagie Sidney powiedział:

- Hm, hm. Zdaje mi się, że ciocia przyszyła Tomkowi kołnierzyk białą nitką, a teraz jest przyszyty czarną.

- Rzeczywiście, przyszyłam go białą nitką! Tomku!

Ale Tomek nie czekał na ciąg dalszy. Już zza drzwi zawołał:

- Sid! Za to dostaniesz!

Gdy się już znalazł w bezpiecznym miejscu, obejrzał dwie grube igły wpięte w klapy kurtki. Obie były owinięte nitkami, jedna czarną, druga białą.

- Gdyby nie Sid - mruknął - nigdy by się nie połapała. Diabli nadali! Raz szyje białą, a drugi raz czarną nitką! Mogłaby się wreszcie zdecydować, bo tak to nigdy nie pamiętam, na którą z nich kolej! Ale Sid musi za to oberwać. Już on mnie popamięta!

Tomek nie był wzorem cnót chłopięcych w miasteczku. Znał wprawdzie taki wzór, ale żywił dla niego pogardę.

Nie minęły dwie minuty, a Tomek zapomniał o wszystkich swoich zmartwieniach. Nie dlatego, żeby dokuczały mu odrobinę mniej niż troski, które dręczą dorosłych, ale z tej przyczyny, że nowa, wielka sprawa przegnała smutne myśli z jego głowy przynajmniej na jakiś czas. Podobnie dorośli zapominają o swoich kłopotach w zapale nowych zamierzeń.

Nową namiętnością Tomka był wielce oryginalny sposób gwizdania, który przejął z ust pewnego Murzyna. Teraz pragnął spokojnie wypróbować tę sztukę. Był to jakiś osobliwy rodzaj ptaszcęcego trylu, jakby przeciągły świergot, polegający na tym, że w czasie koncertu, w krótkich odstępach czasu, uderza się leciutko, językiem o podniebienie. Czytelnik zapewne pamięta, jak się to robi, jeżeli sam kiedyś był chłopcem. Dzięki swej pilności i wytrwałości Tomek wreszcie wspiął się na wyżyny tej trudnej sztuki. Z ustami pełnymi harmonijnych tonów, a duszą pełną uniesienia szedł teraz ulicą i doznawał podobnych uczuć jak astronom, który odkrył nową planetę z tym jednak, że radość Tomka była niewątpliwie większa, głębsza i niczym niezmacona.

Nastały już długie letnie wieczory. Było jeszcze zupełnie jasno. Tomek nagle przestał gwizdać. Stał przed nim ktoś obcy, chłopiec odrobinę od niego wyższy. Każdy przybysz - bez różnicy wieku i płci - był czymś niezwykłym w małej ubogiej miejscinie St. Petersburg. Chłopiec ubrany był porządnie, nawet jak na dzień powszedni za dobrze. Wprost nie do uwierzenia! Czapkę miał istne cacko! Niebieska sukienna kurtka, zapięta na wszystkie guziki, była nowiutka i czysta, podobnie jak spodnie. Na nogach miał buciki, choć był to tylko piątek. Miał

nawet kokardę z pstrej wstążki. Było w nim coś wielkomejskiego, co Tomka oburzyło do głębi. Im dłużej chłonał wzrokiem to wspaniałe zjawisko, im wyżej zadzierał nosa w pogardzie dla tego okazu elegancji, tym nędzniejszy wydawał mu się jego własny wygląd. Obaj chłopcy milczeli. Gdy jeden się poruszył, poruszył się i drugi, ale tylko bokiem i w kółko. Długo stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Tomek powiedział:

- Dać w ucho?
- Spróbuj!
- Czemu nie?
- Bo nie.
- Dostaniesz i tyle.
- Akurat!
- Zobaczysz.
- Nieprawda! -Tak!
- Nie!

Kłopotliwe milczenie. Potem Tomek zaczął na nowo:

- Jak się nazywasz?
- Co ci do tego?
- Jak będę chciał, to będzie mi do tego.
- To czemu nie chcesz?
- Jak będziesz dużo gadał, to zechcę.
- Dużo, dużo, dużo!... No i co?
- Myślisz, że taki z ciebie wielki elegant, co? Jedną rękę przywiążę sobie na plecach, a drugą będę tłukł, ile wlezie.
- No to dlaczego tego nie zrobisz? Wciąż się tylko odgrażasz.
- Nie zaczepiaj mnie, bo uderzę.
- Właśnie... tysiące już widziałem takich łapciuchów.
- Kawaler! Widzisz go, jaki ważny! Ale kapelusik!
- Jak się nie podoba, to mi go strąć. Proszę bardzo, tylko kto to zrobi, nieprędko się potem wyliże.
- Jesteś kłamca.
- Ty sam kłamiesz!
- Tchórz! Chciałby się bić, a boi się!
- Zjeżdżaj z drogi!
- Eee, zamknij się, bo stuknę cegłą w głowę.

- Niemożliwe.

- Możliwe.

- Więc czemu tego nie robisz? Ciągłe tylko mówisz, co byś zrobił. A wiesz dlaczego? Bo się boisz.

- Nie boję się!

- Jeszcze jak!

-Nie!

-Tak!

Znowu zamilkli i znów przystawiają się do siebie i mierzą się wzrokiem. Wreszcie stanęli ramię w ramię.

- Wynoś się stąd! - zawołał Tomek.

- Sam się wynoś!

- A ja nie chcę!

- Ja też!

Stali tak naprzeciw siebie, wysunąwszy po jednej nodze dla lepszej równowagi, i dysząc nienawiścią, z całej siły napierali na siebie. Żaden jednak nie mógł uzyskać przewagi nad przeciwnikiem. Wreszcie, czerwoni jak buraki, z zachowaniem należytej ostrożności odstepili od siebie, a Tomek powiedział:

- Jesteś tchórz, ty szczeniaku. Powiem mojemu starszemu bratu, to rozłoży cię małym palcem.

- Gwiżdżę na twego starszego brata! Mój brat jest większy od twojego. Przerzuci go przez ten płot jak piłkę. (Obaj bracia byli oczywiście zmyśleni).

- Kłamiesz!

- Gadaj zdrów!

Tomek palcem nogi narysował na ziemi kreskę i powiedział:

- Spróbuj przekroczyć tę linię, a dostaniesz tyle, ile wlezie. Spróbuj, zobaczysz!

Nieznajomy natychmiast przekroczył kreskę mówiąc:

- Zobaczymy, co teraz zrobisz.

- Nie zbliżaj się! Uważaj!

- No... na co czekasz?

- Do licha! Daj dwa centy, a już biorę się do roboty. Nieznajomy wyjął z kieszeni dwa miedziaki i złośliwie się uśmiechając podał je Tomkowi. Ten podbił mu rękę i centy upadły na ziemię. Chłopcy rzucili się na siebie i szczepiwszy się jak dwa koty, zaczęli się tarzać po ziemi. Targali się za włosy, darli sobie ubrania, okładali się pięściami, rozdrapywali nosy i okrywali się

kurzem i sławą. Wreszcie sytuacja się wyjaśniła i na polu walki z kurzawy wynurzył się Tomek - siedział okrakiem na nieprzyjacielu i okładał go kułakami.

- Masz dosyć? - zawołał.

Chłopak usiłował wyrwać się z uścisku i płakał, najwięcej ze złości.

- Masz dosyć? i Tomek tłukł dalej.

Wreszcie chłopak wykrztusił: „dosyć” i Tomek puścił go mówiąc:

- Dostałeś za swoje. Na drugi raz uważaj kogo się czepiasz.

Obcy chłopak oddalił się szybko, otrzepując ubranie, płacząc i pociągając nosem. Raz po raz oglądał się i odgrażał się Tomkowi. Tomek odpowiedział mu szyderczym śmiechem i z miną zwycięzcy ruszył do domu. Ledwie się jednak odwrócił, nieznajomy podniósł kamień, cisnął go i trafił Tomka między łopatki, po czym zwiął w podskokach.

Tomek gonił zdrajcę aż do domu i w ten sposób dowiedział się, gdzie mieszka. Przez pewien czas stał na posterunku przed bramą, wzywając nieprzyjaciela, aby wyszedł mu na spotkanie. Ale chłopak tylko stroił do Tomka miny przez okno. Wyzwania nie przyjął. Wreszcie zjawiała się matka wroga, nazwała Tomka złym, wstrętnym, ordynarnym chłopakiem i kazała mu iść precz. Odszedł więc, ale ostrzegł, żeby ten chłopczyk więcej nie wchodził mu w drogę.

Do domu wrócił bardzo późno. Kiedy ostrożnie wchodził oknem, ujrzał ciotkę czyhającą na niego w zasadzce. Zobaczyła, co się stało z jego ubraniem, i postanowiła nieodwołalnie skazać go na ciężkie roboty w dniu wolnym od nauki, to znaczy w sobotę.

### **ZNAKOMITY PACYKARZ**

Nadszedł sobotni ranek. Słońce świeciło jasno, cały świat zielenił się i kipiał życiem. W każdym sercu dźwięczała muzyka, a jeśli serce było młode, pieśń sama cisnęła się na usta. Radość była na każdej twarzy i wiosna w każdym ruchu. Akacje okryły się kwieciami, powietrze przepojone było zapachem kwiatów.

Wzgórze Cardiff, które wznosiło się nie opodal miasta, okryte było zielenią i z pewnej odległości wyglądało jak cudowna kraina zatopiona w ciszy i marzeniach, zapraszająca w gościnę.

Tomek zjawił się na ścieżce z wiadrem rozrobionego wapna i pędzlem na długim trzonku. Ledwie spojrzał na parkan, porzucił wszelką nadzieję, a jego dusza pogrążyła się w głębokim smutku. Parkan miał trzydzieści jardów długości i dziewięć stóp wysokości! Świat wydał się Tomkowi pusty, a życie stało mu się nieznośnym jarzmem. Z westchnieniem zanurzył pędzel i przejechał nim po górnej desce. Machnął pędzlem jeszcze dwa razy, porównał niepozorną białą smugę z ogromem nie pomalowanego jeszcze parkanu i zrozpaczony usiadł na ogrodzeniu z drzewa.

Z bramy wybiegł w podskokach Jim z wiadrem w ręku. Śpiewał piosenkę „Dziewczęta z Buffalo”. Noszenie wody z miejskiej studni Tomek zawsze uważał za rzecz godną pogardy, ale teraz inaczej na to patrzył. Przypomnił sobie, że studnia jest miejscem towarzyskich spotkań.

Chłopcy i dziewczęta - biali, Murzyni, Mulaci - czekając tam swojej kolejki wypoczywają, zamieniają się zabawkami, kłócą się, biją i baraszkują. Przypomniawszy też sobie, że choć do studni było tylko sto pięćdziesiąt jardów, Jim nigdy nie wracał z wodą przed upływem godziny, a najczęściej trzeba było chodzić po niego.

- Słuchaj, Jim - powiedział - ja pójdę po wodę, a ty tutaj trochę pomalujesz.

Jim potrząsnął głową i odparł:

- Nie mogę, paniczu. Stara pani kazała mi iść po wodę i z nikim się po drodze nie zadawać. Mówiła też, że panicz Tomek będzie chciał, aby Jim malował za niego. Żeby więc patrzył swego nosa, a malowania to już ona sama przypilnuje.

- Ach, Jim, nie przejmuj się tym, co ona mówi. Sama nie wie, czego chce. Daj mi wiadro, zaraz wrócę. Ciotka się o tym nie dowie.

- Nie mogę, paniczu. Stara pani głowę mi urwie, jak amen w pacierzu.

- Akurat! Przecież ona nigdy nie bije. Stuknie tylko napastrkiem w głowę. Mam zmartwienie! Gada jak najęta, ale od gadania głowa nie boli, chyba że zacznie lamentować. Jim, dam ci cudną rzecz. Dam ci białą kulę.

Jim zaczął się wahać.

- Biała kula, Jim, to nie w kij dmuchał.

- Ach, cudna rzecz! Ale, paniczu, strasznie się boję starej pani!

- Do tego, jak chcesz, pokażę ci jeszcze chory palec.

Jim był tylko człowiekiem - pokusa okazała się silniejsza od niego! Postawił wiadro na ziemię, wziął białą kulę, i kiedy Tomek odwijął bandaż, pochylił się ciekawie nad jego chorym palcem: W chwilę potem Jim uciekał ulicą ze swym wiadrem i obolałym grzbietem. Tomek pędził w gorliwie, a ciocia Polcia wracała z pola bitwy z pantoflem w ręku i triumfem w oczach.

Energia Tomka wkrótce osłabła. Myślał o tym, jak wesoło zamierzał spędzić ten dzień, i zrobiło mu się bardzo smutno. Za chwilę chłopcy na wolnej stopie będą tędy biegli na różne wspaniałe wyprawy i posypią się żarty z Tomka, że musi pracować - sama myśl o tym paliła jak ogień! Wydobył wszystkie swe skarby i poddał je oględzinom: szczątki zabawek, kule do gry i różne rupiecie. W sam raz tyle, ile trzeba, by zapłacić za krótkie zastępstwo w robocie, ale na pewno za mało, aby kupić choć pół godziny prawdziwej wolności. Włożył więc z powrotem do kieszeni swoje ubogie skarby i pożegnał się z myślą o przekupieniu chłopców. W tej chwili czarnej, rozpacz nagle olśniło go natchnienie. Nie mniej i nie więcej, tylko wspaniała, genialna myśl!

Wziął pędzel do ręki i z całym spokojem zabrał się do roboty. Niebawem pojawił się na widowni Ben Rogers, ten sam, którego docinków najbardziej się obawiał. Ben nadchodził w podskokach, co dowodziło, że lekko mu było na sercu i że wysoko szelma celował. Zajadał jabłko, a w wolnych chwilach gwizdał przeciągle i melodyjnie, po czym następowały głębokie



tony: bim-bom-bom, bim-bom-bom - gdyż był właśnie parowcem. Kiedy znalazł się blisko Tomka, zwolnił biegu, zajął środek ulicy, przechylił się głęboko na prawą burtę i począł majestatycznie przybijać do brzegu, gdyż wyobrażał w tej chwili okręt „Wielka Missouri” i miał dziewięć stóp zanurzenia. Był równocześnie statkiem, kapitanem i dzwonem okrętowym. Stał więc niby to na mostku kapitańskim, wydawał rozkazy i sam je wykonywał.

- Stop, kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń!

Droga się kończyła, statek wolno podpływał do ścieżki.

- Cała wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń!

Opuścił ręce i trzymał je sztywno wyprężone przy sobie.

- Prawa wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń! Czu! Czczu-czu!

Prawa ręka zataczała teraz łuki, była bowiem kołem sterowym, które miało czterdzieści stóp obwodu.

- Lewa wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń! Czu! Czczu-czu! - Lewa ręka zataczała koła. - Prawa stop! Dzyń-dzyń-dzyń! Lewa stop! Prawa wolno naprzód! Stop! Wolno obracać! Dzyń-dzyń-dzyń! Czu, czu, czu! Podać dziobową cumę! Żywo! Podać spring! Nie guzdrać się, chłopcy! Obłóż go buchtą na polerze! Cumuj do przystani! Poluzuj! Odstawić maszyny, kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń! Sz! Sz-sz! (próbowanie wentyli).

Tomek malował zupełnie nie zwracając uwagi na parowiec.

Ben otworzył szeroko oczy i powiedział:

- Aha, wrobili cię, co?

Odpowiedzi nie było. Tomek okiem artysty ocenił ostatni ślad pędzla na parkanie, potem miękkim pociągnięciem poprawił, odstąpił i znów bystro przyglądał się wynikowi. Ben stanął obok niego. Tomkowi ślinka szła na widok jabłka, ale nie odrywał się od pracy. Ben zapytał:

- Cóż to, stary, pracuje się, co?

Tomek odwrócił się na pięcie i zawołał:

- Ach to ty, Ben! Wcale cię nie zauważyłem!

- Słuchaj, idę się kąpać, wiesz? Może byś poszedł ze mną? Ale prawda, ty wolisz pracować, no nie?

Tomek obejrzał kolegę od stóp do głowy i zapytał:

- Co nazywasz pracą?

- Jak to, czyż to nie jest praca?

Tomek znów zabrał się do malowania i powiedział z niedbałą miną:

- Może to jest praca, a może nie. Wiem tylko, że tak się podoba Tomkowi Sawyerowi.

- Nie bujaj, że lubisz malować parkany. Pędzel nie ustawał w pracy.

- Że lubię? Dobryś sobie. Czemu miałbym nie lubić? Nie co dzień zdarza się człowiekowi sposobność malowania parkanu.

To zupełnie zmieniało postać rzeczy. Ben przestał jeść jabłko. Tomek delikatnie głaskał parkan pędzlem, raz po raz cofał się, by zobaczyć, jak to wypadło, tu lub ówdzie poprawił znów i sprawdzał, czy wynik go zadowoli. Ben śledził każdy jego ruch. Coraz bardziej go to interesowało. Nagle powiedział:

- Słuchaj, Tomek, daj mi trochę pomalować!

Tomek zastanowił się przez chwilę. Już miał pozwolić, ale się rozmyślił.

- Nie, nie, Ben, to się nie da zrobić. Widzisz, ciotka Polcia wprost trzęsie się nad tym parkanem, zwłaszcza tu, od strony ulicy, sam rozumiesz... Gdyby to było za domem, nie miałbym nic przeciwko temu, a i ona słowa by nie rzekła. Ale tutaj - na zimne dmucha! To musi być zrobione niezwykle starannie. Nie wiem, czy na tysiąc, a nawet na dwa tysiące chłopaków znajdzie się jeden, który umiałby to zrobić tak jak trzeba.

- Co ty mówisz? Słuchaj, daj mi tylko spróbować, mały kawałek! Ja bym ci pozwolił.

- Ben, zrobiłbym to, indiańskie słowo honoru, ale ciotka Polcia! Wiesz, Jim chciał malować - nie pozwoliła, Sid też chciał - mowy nie było. Zrozum moje położenie! Gdybyś zaczął malować i potem coś się stało...

- Ach, nie gadaj! Będę uważał. Daj mi spróbować! Słuchaj, zostawię ci środek jabłka.

- No to dawaj... Chociaż... lepiej nie! Mam pietra.

- Dam ci całe jabłko!

Tomek oddał wreszcie pędzel z niechęcią na twarzy, a z wielką radością w sercu. I podczas gdy niedawny parowiec „Wielka Missouri” pracował w pocie czoła, artysta, który poniechał pędzla, siedział obok na becze w cieniu, dyndał nogami, zjadał jabłko i myślał o rzezi dalszych niewiniątek.

Ofiar było w bród. Co chwila zjawiali się chłopcy. Przybiegali, aby drwić z Tomka, i zostawialiaby malować parkan. Kiedy Ben upadał już ze zmęczenia, Tomek wypożyczył z kolei pędzel Billowi Fisherowi w zamian za latawca w dobrym stanie, a gdy i Bili miał już dosyć, prawo bielenia nabył Johnny Miller za zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim było wywijać. I dalej, i dalej, godzina za godziną. A kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, Tomek, który rano był jeszcze nędzarzem, opływał teraz we wszelkie bogactwa. Oprócz wyżej wymienionych przedmiotów, miał dwanaście kul do gry, połamane organki, kawałek niebieskiego szkła z butelki, przez które można było patrzeć, gołą szpulkę, klucz, który niczego nie otwierał, kawałek kredy, szklany korek od karafki, ołowianego żołnierza, dwie kijanki, sześć kapiszonów, kotka z jednym okiem, mosiężną klamkę, obrożę, ale bez psa, rękojeść noża, cztery skórki pomarańczowe i starą rozbitą ramę okienną.

Czas spędzał bardzo miło, w liczonym towarzystwie i nic nie robił, a parkan pokryty został trzema warstwami wapna. Gdyby mu w końcu nie zabrakło bielidła, byłby wszystkich chłopców z całego miasteczka doprowadził do ruiny majątkowej.

Tomek uznał, że świat mimo wszystko nie jest taki zły. Sam o tym nie wiedząc odkrył wielkie prawo poczynąń ludzkich, a mianowicie: jeśli chcemy obudzić w dorosłym lub dziecku pragnienie jakiejś rzeczy, musimy ją przedstawić jako trudną do osiągnięcia. Gdyby był wielkim mędrce (takim jak autor tej książki), toby pojął, że pracą jest to, co musimy robić, a przyjemnością - czego robić nie musimy. Łatwiej by mu wtedy przyszło zrozumieć, że wyrób sztucznych kwiatów albo chodzenie w kieracie jest ciężką pracą, natomiast kulanie kręglami albo wspinanie się na Mont Blanc jest tylko zabawą. Wielu bogatych dżentelmenów w Anglii tłucze się powozem, zaprzężonym w czwórkę koni, dwadzieścia lub trzydzieści mil w upale — bo ta przyjemność kosztuje ich dużo pieniędzy, ale niechby im kto kazał robić to samo za wynagrodzeniem, poczęliby to uważać za pracę i woleliby z niej zrezygnować.

Tomek przez chwilę rozmyślał jeszcze nad przełomem, jaki nastąpił w jego sytuacji majątkowej, a potem ruszył z meldunkiem do kwatery naczelnego dowództwa.

### **WOJNA I MIŁOŚĆ**

Tomek stanął przed ciotką Polcią. Siedziała właśnie przy otwartym oknie przytulnego pokoju, który był jednocześnie sypialnią, jadalnią, salonem i czytelnią. Balsamiczny zapach lata, niezmacona cisza, woń kwiatów, usypiające brzęczenie pszczoł - wszystko to sprawiło, że pochyliła głowę nad robótką. Jedyne towarzysz ciotki, kot, drzemał na jej kolanach. Okulary przezornie odsunęła na siwe włosy. Była przekonana, że Tomek dawno porzucił pracę, i bardzo się zdziwiła", gdy ujrzała, że chłopak bez cienia obawy oddaje się w jej ręce.

- Czy mogę teraz iść się bawić, ciociu? - zapytał.
- Jak to, już? Ile zrobiłeś?
- Wszystko, ciociu.
- Nie kłam, Tomku. Wiesz, że tego nie znoszę.
- Ależ ciociu, zrobiłem wszystko.

Ciotka niezbyt ufała jego słowom, toteż wyszła, aby zobaczyć na własne oczy, co zdziałał. Byłaby rada, gdyby oświadczenie Tomka okazało się prawdziwe choćby w dwudziestu procentach. Kiedy zobaczyła pobielony parkan, i to nie było jak, ale starannie pomalowany kilka razy, tak że nawet na ziemi ciągnął się wzdłuż parkanu biały pas, zdziwienie jej nie miało granic.

- Coś podobnego! Co tu gadać, jak chcesz, to potrafisz pracować -powiedziała, ale zaraz rozcieńczyła komplement wodą: - Niestety, muszę stwierdzić, że bardzo rzadko chcesz. No, idź się teraz bawić, ale pamiętaj, żebyś mi wrócił do domu jeszcze w tym tygodniu, bo dostaniesz w skórę.

Była tak olśniona blaskiem czynu Tomka, że zaprowadziła go do spiżarni, wybrała najpiękniejsze jabłko i wręczyła mu je, wygłaszając przy tym kazanie na temat, jak cenna i słodka jest nagroda, jeśli zdobyło się ją cnotliwym postępkim. Właśnie gdy kończyła swą mowę zręcznie dobranym cytatem z Pisma Świętego, Tomek za jej plecami zwędził racucha. Potem wybiegł z domu i ujrzał Sida wchodzącego właśnie po zewnętrznych schodach na piętro. Nietrudno było o grudki ziemi, toteż posypały się gęsto. Padały wokół Sida jak grad, zanim więc ciotka Polcia ochłonęła z pierwszego wrażenia i zdążyła nadbiec z odsieczą, kilka grudek utkwilo w celu, a Tomek przeskoczył przez parkan i zniknął.

W parkanie była wprawdzie furtka, ale Tomek jak zwykle śpieszył się bardzo i nie miał czasu z niej skorzystać. Teraz dopiero doznał ulgi, wyrównał bowiem rachunek z Sidem za to, że go wsypał zwracając uwagę ciotki na czarną nitkę.

Tomek okrążył grupkę budynków i wszedł w błotnisty zaułek za oborą ciotki. Kiedy już znalazł się poza zasięgiem karzącej ręki sprawiedliwości, pośpieszył do parku miejskiego, gdzie zgodnie z umową dwie wrogie armie chłopców stanęły w szyku bojowym. Tomek był generałem jednej z nich, a Joe Harper (jego serdeczny przyjaciel) - generałem drugiej. Ale obaj wielcy wodzowie nie zniżali się do osobistego udziału w walce - od tego były niższe szarże - tylko siedzieli razem na wzniesieniu i kierowali operacjami wojennymi wysyłając rozkazy przez adiutantów.

Po długiej i zażartej walce armia Tomka odniosła Valne zwycięstwo. Policzyło się zabitych, wymieniło jeńców, uzgodniło przyczyny następnego konfliktu i ustaliło datę nieuniknionej bitwy, po czym obie armie zwarłszy szeregi odmaszerowały, a Tomek w pojedynkę ruszył w drogę powrotną.

Przechodząc obok domu, w którym mieszkał Jeff Thatcher, ujrzał w ogrodzie nieznaną dziewczynkę. Była to słodka, niebieskooka istota o złocistych włosach splecionych w dwa długie warkocze, ubrana w białą letnią sukienkę i haftowane pantalone. Świeżo uwieńczony zwycięstwem bohater poddał się bez jednego wystrzału. Niejaka Amy Lawrence zniknęła natychmiast z jego serca, nie zostawiając po sobie nawet wspomnienia. Dotąd zdawało się Tomkowi, że kocha Amy do szaleństwa; był przekonany, że ją ubóstwia. Okazało się, że była to jeno przelotna słabostka. Przez kilka miesięcy zabiegał o jej względy, a ona zaledwie przed tygodniem wyznała mu swą wzajemność. Przez siedem krótkich dni był najszcześniejszym i najbardziej dumnym chłopcem na świecie, aż tu w jednej sekundzie Amy ulotniła się z jego serca jak gość, który wpadł do nas na chwilę.

Rzucał teraz nowemu aniołowi ukradkowe, lecz pełne podziwu spojrzenia, póki nie spostrzegł, że i ona go zauważyła. Wówczas, udając, że jej nie widzi, począł - jak to chłopcy - wyczyniać różne cuda, aby ją wprawić w podziw. Trwało to dosyć długo. Gdy wreszcie, w trakcie jednego ze swych karkołomnych łamańców gimnastycznych zerknął ukradkiem w jej stronę, spostrzegł, że dziewczę zmierza już ku domowi. Podeszedł więc bliżej i oparł się o parkan. Pogrążony w smutku nie tracił nadziei, że może dziewczynka zatrzyma się jeszcze

chwilkę. Rzeczywiście, zanim zniknęła w drzwiach, przystanąła na schodkach. Tomek westchnął ciężko, gdy jej noga stanęła na progu, ale natychmiast twarz mu się rozjaśniła: dziewczyna w ostatniej chwili rzuciła mu bratek przez parkan.

Podbiegł do kwiatka, ale o dwa kroki przed nim przystanął, przysłonił oczy ręką i spojrzał w głąb ulicy, jakby tam zauważył coś ciekawego. Potem podniósł z ziemi słomkę i począł nią balansować na nosie, odchylając głowę w tył. Kiwał się przy tym na oba boki i przesuwając się coraz bliżej bratka. Wreszcie nakrył go bosą stopą, podniósł zręcznie palcami nogi i skacząc na jednej nodze, zniknął za rogiem ulicy. Zniknął jednak tylko na chwilę, jakiej trzeba było, by przypiąć kwiatek pod bluzę na sercu, a może bliżej żołądka, Tomek bowiem nie był zbyt biegły w anatomii.

Potem wrócił pod parkan i do zmroku wyczyniał tam przeróżne figle-migle. Ale dziewczynka już się nie pokazała. Tomek pocieszał się jednak słabą nadzieją, że może stała gdzieś w oknie i była świadkiem względów, jakie jej okazywał. Wreszcie ociągając się ruszył do domu. W głowie roiło mu się mnóstwo rzeczy.

Przy kolacji był w tak świetnym humorze, że aż ciotka dziwiła się „ki diabeł znów go opętał?” Oberwał niemałą burę za to, że obrzucił Sida grudkami błota, ale wcale nie wziął sobie tego do serca. Kiedy pod nosem ciotki próbował skraść kostkę cukru, dostał po łapach.

- Ciociu - zapytał - czemu nie bijesz Sida, gdy robi to samo?

- Bo Sid nie dokucza tak człowiekowi jak ty. Gdybym cię na chwilę spuściła z oczu, wlażyłbyś do cukierniczki.

Po chwili ciotka wyszła do kuchni. Sid, pewny swej nietykalności, a zarazem chcąc okazać Tomkowi swoją wyższość, sięgnął po cukierniczkę, co było wyraźną prowokacją. Ale cukierniczka wyśliznęła się z ręki Sida, spadła na podłogę i stłukła się. Tomek był wniebowzięty. Tak dalece, że zagryzł język i milczał. Postanowił sobie w duchu, że nawet gdy ciotka wróci, nie piśnie ani słówka. Będzie milczał jak grób, aż ciotka sama zapyta, kto to zrobił. Wtedy dopiero powie i cóż będzie za rozrywka widzieć, jak ten wzorowy chłopczyzna oberwie lanie! Serce jego było tak przepojone radością, że ledwie mógł usiedzieć, gdy ciotka wróciła z kuchni i stojąc nad stłuczoną cukierniczką strzelała spod okularów piorunami gniewu.

Zaraz się zacznie! - pomyślał, ale w tej samej chwili leżał już jak długi na ziemi. Groźna ręka podniosła się, aby uderzyć po raz drugi, gdy Tomek zawołał:

- Przestań! Za co mnie bijesz? Przecież to Sid stłukł cukiernicę! Ciotka Polcia zdębiała. Tomek oczekiwał teraz wyrazów ubolewania.

Ciotka jednak odzyskawszy mowę powiedziała tylko:

- No, za darmo na pewno nie dostałeś. Jestem dziwnie spokojna, żeś tu dobrze nabroił, gdy mnie nie było.

Czuła wyrzuty sumienia i pragnęła powiedzieć Tomkowi coś miłego i serdecznego, ale doszła do wniosku, że w ten sposób przyznałaby się do błędu, a na to nie pozwalały względy wychowawcze. Nie powiedziała więcj nic i z goryczą w sercu udała się do swoich zajęć.

Nadąsany Tomek siedział w kącie i rozczulał się nad swą niedolą. Wiedział, że ciotka w głębi duszy błaga go na kolanach o przebaczenie. Świadomość tego była dlań gorzkim zadośćuczynieniem. Ale postanowił sobie, że sam nawet nie mrugnie i zlekceważy wszelkie pojednawcze gesty. Wiedział, że z zamglonych łzami oczu ciotki co chwila pada w jego stronę spojrzenie pełne bólu, lecz, nie raczył tego zauważyć. Oczyma duszy widział już, jak leży na śmiertelnym łożu, a ciotka pochyla się nad nim, błagając go. o jedno małe słówko przebaczenia, ale on odwraca się do ściany i umiera w milczeniu. Ach, co się wtedy będzie działo w jej duszy! Potem wyobraził sobie, jak go przynoszą do domu nieżywego - topielca. Włosy zlepione, a nieszczęsne serce nareszcie znalazło ukojenie. Ciotka rzuca się na jego ciało, łzy płyną jej ciurkiem, a usta błagają Boga, aby jej oddał ukochanego chłopca. Będzie wtedy przysięgać, że nigdy już, nigdy nie zrobi mu krzywdy! Ale on leży zimny, blady jak chusta i ani drgnie - biedny mały męczennik, który doczekał się kresu swych cierpień.

Tak się przejął swymi myślami, że z trudem łykał łzy i o mało się nimi nie udławił. Nic już nie widział, oczy zaszyły mu łzami, a kiedy mrugał, - łzy spływały i kapały mu z końca nosa. Roztkliwianie się nad własną niedolą sprawiało mu taką przyjemność, że za nic w świecie nie dopuściłby, aby jakaś ziemaska radość zmąciła jego stan ducha. Ból to był nazbyt święty. Gdy więc tanecznym krokiem wbiegła do pokoju kuzynka Mary, szczęśliwa, że po długim tygodniu spędzonym na wsi znowu jest w domu, Tomek wstał i okryty czarną chmurą rozpaczy Wyszedł jednymi drzwiami, gdy ona drugimi wniosła śpiew i blask słońca.

Z daleka omijał miejsca, gdzie bywali jego koledzy, szukał samotnych zakątków, które by odpowiadały jego obecnemu nastrojowi. Skusiła go tratwa na rzece. Usiadł na jej krawędzi i wpatrywał się w posępny bezmiar wody. Gdyby tak można było utonąć za jednym zamachem, bez bólu, z ominięciem trudów i niewygód, jakich natura nie szczędzi topielcom.

Nagle przypomniał sobie o bratku. Wyjął go z zanadru. Był zgnieciony i zwiędły, co napoiło Tomka jeszcze większym smutkiem. Zadawał sobie pytanie, czy ona żałowała go, gdyby wiedziała, co się stało. Czyby płakała? Czy chciałaby objąć go za szyję i ukoić jego smutek? A może odwróciłaby się od niego obojętnie, jak ten cały podły świat? Obraz ten sprawiał mu ból tak rozkoszny, że wciąż do niego wracał i oglądał go z wszystkich stron, aż obraz od tego oglądania zbladł i całkiem się wytarł. Wreszcie Tomek wstał z ciężkim westchnieniem i pogrążył się w mroku,

Okolo godziny dziesiątej wieczór szedł pustą ulicą obok domu, gdzie mieszkała jego Piękna Nieznajoma. Przystanął na chwilę. Nadstawił uszu, ale nic nie było słyhać. Na pierwszym piętrze padał na firankę blady blask świecy. Czy bóstwo było w tym pokoju? Przełazi przez parkan, przekradł się między klombami i stanął pod oknem. Długo patrzył w górę ze wzruszeniem. Potem położył się na plecach i skrzyżował na piersiach ręce, trzymając w nich

biedny zwiędły kwiatek. Tak właśnie pragnął umrzeć, sam jeden na świecie, bezdomny, bez dachu nad głową, pozbawiony przyjaznej ręki, która by mu starła z czoła śmiertelny pot, i kochającej twarzy, która pochylałaby się nad nim ze współczuciem, gdy nadejdzie chwila agonii. Tak też ona go zobaczy, kiedy wyjrzy, aby popatrzeć na piękny jutrzejszy ranek. Czy aby uroni łezkę na jego biedne martwe zwłoki? Czy choćby westchnie na widok młodego życia, ściętego tak okrutnie kosą śmierci, tak przedwcześnie?

Okno na piętrze otworzyło się nagle i skrzekliwy głos służącej sprofanował świętą ciszę, a strumień wody oblał rozciągnięte na ziemi szczątki męczennika.

Bohater omal się nie udusił. Parskając skoczył na równe nogi. Coś jakby pocisk świsnęło w powietrzu, a równocześnie padło ciche przekleństwo, potem rozległ się brzęk stłuczonej szyby i mała niewyraźna postać szybko przeskoczyła przez parkan i zniknęła w mroku.

W chwilę potem, kiedy Tomek rozebrany już na noc, w świetle łójówki oglądał swe przemoczone ubranie, obudził się Sid. Jeśli w pierwszej chwili miał ochotę wypowiedzieć się w tej sprawie, to po namyśle ugryzł się w język, Tomkowi bowiem źle patrzyło z oczu.

Tomek wlaź do łóżka nie zadając sobie trudu zmówienia pacierza, a Sid zanotował to wykroczenie w pamięci.

### **POPISY W SZKÓŁCE NIEDZIELNEJ**

Słońce weszło nad spokojną ziemią i stało - niczym błogosławieństwo - swe promienie cichemu miasteczku. Po śniadaniu ciocia Polcia odprawiła domowe nabożeństwo. Rozpoczęło się ono modlitwą, która była niby budowla wzniesiona z potężnych warstw cytatów z Pisma Świętego, spojonych denka zaprawą murarską własnych pomysłów ciotki. Ze szczytu tej budowy, niby z góry Synaj, ciotka rzuciła groźny rozdział z Pięcioksięgu Mojżesza.

Następnie Tomek „przepasał swe lędźwie” (mówiąc językiem cytatów) i zaczął wbijać sobie w głowę wersety z Biblii Sid nauczył się tego jeszcze przed paru dniami. Tomek skupił wszystkie siły, by wyuczyć się na pamięć pięciu wersetów. Wybrał je z Kazania na Górze, bo w całej Biblii nie mógł *znaleźć* krótszych. Po upływie godziny wyrobił sobie ogólne pojęcie o tych sprawach, ale nic ponadto, gdyż umysł jego wędrował w tym czasie po rozległych obszarach myśli ludzkiej, a ręce zajęte były czynnościami, które nie sprzyjały skupieniu uwagi. Mary wzięła książkę, by go przesłuchać, a Tomek począł szukać drogi we mgle:

- Błogosławieni... e... e...
- Ubodzy...
- Tak, ubodzy. Błogosławieni ubodzy... e... e...
- Duchem...
- Duchem. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem... albowiem... oni...
- Ich...
- Albowiem ich... Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy cierpią, albowiem, albowiem...

- Oni...

- Albowiem oni... oni...

- Bę...

- Albowiem oni bę... Nie wiem, co dalej!

- Będą!

- Aha, będą! Albowiem oni będą... albowiem oni będą... e... e... będą cierpieć... e... e... błogosławieni, którzy będą... albowiem oni... e... e... oni będą cierpieć, albowiem będą... e... e... Ale co będą? Czemu mi nie podpowiadasz, Mary? Ach, jakaś ty podła!

- Tomku, głowo do pozłoty! Nie chcę ci dokuczać, ale musisz się jeszcze uczyć. Głowa do góry, na pewno dasz sobie radę, a jak się nauczysz, podaruję ci coś pięknego! No, a teraz bądź dobrym chłopcem.

- No, dobrze. A co to takiego? Powiedz mi, Mary!

- Cierpliwości, Tomku. Wiesz, że jak mówię, że będzie coś pięknego, to będzie.

- Zgoda, Mary. Dobrze, wkuwam na nowo.

I rzeczywiście zaczął kuć, a pod podwójnym naciskiem ciekawości i spodziewanej nagrody czynił to z takim zapałem, że osiągnął wspaniałe wyniki.

Mary podarowała mu nowiutki scyzoryk marki Barlow, wartości dwunastu i pół centa. Dreszcz radości obleciał Tomka i wstrząsnął nim do głębi. Co prawda, nic tym scyzorykiem nie można było przekroić, ale przecież był to „oryginalny” Barlow, a to znaczyło niesłychanie dużo. Na jakiej podstawie chłopcy z Zachodu twierdzili, że bywają falsyfikaty, i to znacznie gorsze od oryginalnej broni marki Barlow, doprawdy jest i chyba na zawsze pozostanie tajemnicą. Tomek zdążył naciąć nim kredens i już się zabierał do komody, kiedy polecono mu ubrać się do szkółki niedzielnej.

Mary naląła wody do blaszanej miednicy i dała mu kawałek mydła. Tomek wyszedł przed dom i postawił miednicę na ławeczce. Następnie zanurzył mydło w wodzie i odłożył je na bok, potem zakasał rękawy, wylał po cichu wodę na ziemię, wrócił do kuchni i zaczął starannie wycierać twarz ręcznikiem, wiszącym za drzwiami. Ale Mary "odebrała mu ręcznik i powiedziała:

- Czy ci nie wstyd, Tomku? Nie bądź taki. Przecież woda ci nie zaszkodzi.

Tomek trochę się zmieszał. Mary znów naląła wody na miednicę. Stał nad nią chwilę, zbierając się na odwagę. Wreszcie westchnął głęboko i zaczął się myć. Kiedy wrócił do kuchni i z zamkniętymi oczami, po omacku, szukał ręcznika, ściekające z twarzy mydliny i woda były chlubnym świadectwem jego czynu. Lecz kiedy wynurzył się z ręcznika, wygląd jego nie był jeszcze zadowolający, gdyż miejsce wolne od brudu urywało się nagle na brodzie i koło uszu, tworząc rodzaj maski. Poza tą linią, od czoła po bokach i w dół, aż do karku, rozciągały się olbrzymie połacie czarnej, nie nawodnionej gleby. Wówczas Mary sama wzięła go w obroty, a gdy skończyła, Tomek wyglądał cały jak człowiek bez różnic w kolorze skóry. Mokre włosy



Tomka starannie uczesano szczotką, nadając krótkim kędziorkom wygląd symetryczny i piękny. (Gdy nikt nie widział, Tomek nie szczędząc trudu, wygładzał swe kędziorki, aby przylegały do głowy, uważał bowiem loki za rzecz niemęską i w ogóle bardzo cierpiał z tego powodu). Potem Mary wyjęła z szafy ubranie, które Tomek od dwóch lat wkładał tylko w niedzielę - nazywało się ono po prostu „drugim ubraniem”. (W ten sposób dowiedzieliśmy się, ile Tomek miał strojów). Gdy się ubrał, Mary doprowadziła do porządku jego toaletę: zapięła mu bluzkę aż po szyję, obciągnęła i wygładziła na plecach wielki kołnierz marynarski, oczyściła Tomka szczotką i włożyła mu na głowę słomkowy kapelusz w cętki. Wyglądał teraz bardzo dobrze, a czuł się bardzo źle. Zawsze gdy się umył i porządnie ubrał, dostawał gęsiej skóry. Miał nadzieję, że Mary zapomni o bucikach; nadzieja okazała się płonna. Wysmarowała je łojem, jak zwykle, i przyniosła Tomkowi. Stracił cierpliwość i oświadczył, że ciągle zmusza się go do robienia tego, czego nie lubi. Wówczas Mary przemówiła mu do sumienia:

- Tomciu, bądź grzecznym chłopcem.

Mrucząc coś pod nosem włożył buciki. Mary ubrała się szybko i cała trójka udała się do kościoła, którego Tomek z całego serca nie znosił. Za to Mary i Sid bardzo lubili tam chodzić.

Szkółka niedzielna trwała od dziewiętej do pół do jedenastej, potem zaczynało się nabożeństwo. Dwoje z tej trójki zostawało potem z własnej woli na kazaniu, trzeci też zostawał - ale z innych, ważniejszych powodów. Ławki kościelne, twarde i z wysokim oparciem, mogły pomieścić koło trzystu osób. Budynek był mały i skromny. Wznosiło się nad nim coś jakby pudło zbitę z sosnowych desek, wyobrażające dzwonnice, W drzwiach Tomek zwolnił kroku, by się porozumieć z kolegą, również odświętnie ubranym.

- Słuchaj, Bill, masz żółtą karteczkę? -Tak.

- Co chcesz za nią?

- A co dasz?

- Miętówkę i haczyk do wędki.

- Pokaż.

Tomek pokazał. Towar był dobry i chłopcy dobili targu. Potem Tomek oddał dwie białe kule do gry za trzy czerwone kartki, a inne drobiazgi za dwie niebieskie. Czatował na chłopców wchodzących do kościoła i przez kwadrans skupywał w ten sposób kartki w różnych kolorach. Wreszcie wkroczył do kościoła z całą bandą schludnie ubranych, ale hałaśliwych chłopców i dziewcząt, usiadł w ławce i od razu wszczął awanturę z pierwszym chłopcem, który mu się nawinął pod rękę. Nauczyciel, poważny pan w starszym wieku, musiał ich uspokoić, ale ledwie się odwrócił, Tomek pociągnął za włosy chłopca siedzącego przed nim. Chłopiec obejrzał się, lecz Tomek siedział już z niewinną miną, zatopiony w swej książce. Potem, chcąc usłyszeć głośnie „au”, ukłuł innego chłopca szpilką i po raz drugi został zgromiony przez nauczyciela. W ogóle cała klasa Tomka udała się: była niespokojna, hałaśliwa i oporna. Gdy przyszło do wygłaszania wersetów z Biblii, żaden nie umiał lekcji i każdemu trzeba było podpowiadać. Wreszcie każdy jakoś doznał do końca i dostał w nagrodę małą niebieską karteczkę z cytatem

z Pisma Świętego. Była to zapłata za wygłoszenie dwóch wersetów. Dziesięć niebieskich kartek stanowiło równowartość jednej czerwonej i mogły być na nią wymienione; dziesięć czerwonych równało się jednej żółtej; za dziesięć żółtych dyrektor dawał skromnie oprawioną Biblię (która w owych dawnych, dobrych czasach kosztowała czternaście centów). Ciekaw jestem, ilu z moich czytelników zdobyłoby się na tyle pilności i poświęcenia, by się wyuczyć na pamięć dwóch tysięcy wierszy, gdyby nawet mieli za to dostać Biblię z ilustracjami Dorégo? A jednak Mary nabyła w ten sposób dwie Biblie, owoc wytrwałej pracy dwóch lat, a pewien młodociany Niemiec zafasował ich cztery czy pięć. Raz wyrecytował on jednym tchem trzy tysiące wersetów i nawet się nie zająknął. Aliści mózg jego nie wytrzymał takiego obciążenia i od tego dnia zupełnie zidiociał. Ciężki to był cios dla niedzielnej szkółki, bo dyrektor cieszył się bardzo, gdy na uroczystościach szkolnych, przy gościach, chłopiec ten „wyłaził ze skóry” -jak to określał Tomek. Tylko starsi chłopcy potrafili przechowywać karteczki i wytrwale wbijać sobie w głowę wersety tak długo, póki nie zdobyli Biblii; nic więc dziwnego, że wręczenie tej nagrody było rzadkim i pamiętnym wydarzeniem. Szczęśliwiec stawał się bohaterem dnia, toteż w sercach wszystkich chłopców zapalał się ogień ambicji, który nieraz gasł dopiero po kilku tygodniach. Najprawdopodobniej Tomek nigdy nie łaknął samej nagrody, ale nie ulega wątpliwości, że serce jego rwało się do sławy i blasku zwycięzcy.

Dyrektor stanął przed amboną. W ręce trzymał zamknięty psalterz, założony wskazującym palcem. Wezwał dzieci do uwagi. Kiedy dyrektor szkółki niedzielnej wygłasza swą zwykłą, krótką naukę, psalterz jest w jego ręku tak nieodzowny jak nuty w ręku śpiewaczki, która stoi na estradzie koncertowej i śpiewa solo. Dlaczego tak jest, pozostanie tajemnicą, bo obie te ofiary losu nigdy nie zaglądną ani do psalterza, ani do nut.

Dyrektor był szczupłym trzydziestopięcioletnim jegomościem, z ryżą kozią bródką i krótko podstrzyżonymi rudymi włosami. Nosił sztywny, stojący kołnierzyk, którego brzeg sięgał mu do uszu, a ostre, wygięte końce dotykały kącików ust. Było to coś w rodzaju parkanu, zmuszającego dyrektora do patrzenia prosto przed siebie i do obracania się całym ciałem, gdy pragnął spojrzeć w bok. Brodę podpierał rozłożysty krawat szerokości biletu bankowego, z frędzlami na końcu. Noski jego butów były, według ówczesnej mody, wygięte w górę, na kształt płozów sań. W owych czasach młodzież osiągała ten efekt siedząc cierpliwie i z samozaparciem całymi godzinami pod ścianą i przyciskając do niej końce butów. Pan Walters minę miał bardzo poważną, a serce szczere i zacne. Do spraw i miejsc świętych odnosił się z takim szacunkiem i uważał je za tak dalekie od spraw tego świata, że w szkółce niedzielnej mimo woli przybierał inny głos, bardziej odświętny niż zwykle. Zaczął w te słowa:

- A teraz, moje dzieci, usiądźcie sobie prościutko i grzeciutko i w skupieniu ducha posłuchajcie mnie przez małą chwileczkę. Tak, doskonale. Tak powinni się zawsze zachowywać grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki. Ale tam jedna dziewczynka wygląda przez okno. Pewnie jej się wydaje, że widzi mnie gdzieś tam za oknem - siedzę sobie na drzewie i przemawiam do ptasząt. (Śmiech uznania). Pragnę wam powiedzieć, że serce mi rośnie, gdy

widzę tyle czystych i niewinnych twarzyczek, które zebrały się tutaj, aby uczyć się czynić dobrze i żyć cnotliwie...

I tak dalej, i tak dalej. Nie trzeba tu powtarzać dalszego ciągu kazania. Niczym bowiem nie różniło się od innych, tak dobrze nam znanych. Ostatnią część przemówienia zakłóciło wznowienie przez niektórych niedobrych chłopców nieprzyjacielskich kroków i innych rozrywek, a także wiercenie się i szepty, które zataczały coraz szersze kręgi, podmywając wreszcie podnóża takich samotnych i niewzruszonych skał jak Sid i Mary. Ale gdy głos pana Waltersa zaczął tracić na sile, zrobiło się cicho jak w kościele i koniec kazania został przyjęty z niema wdzięcznością.

Znaczna część szeptów wywołana została przez dość niezwykle zdarzenie: przybycie gości. Adwokat Thatcher zjawił się w towarzystwie jakiegoś zgrzybiałego staruszka, przystojnego i postawnego mężczyzny w średnim wieku, o włosach przyprószonych siwizną, oraz godnej damy, która była niewątpliwie małżonką tego ostatniego. Dama prowadziła za rękę dziewczynkę.

Tomek był niespokojny - dręczyła go rozterka wewnętrzna i trapiły wyrzuty sumienia. Nie mógł spojrzeć w oczy Amy Lawrence, nie mógł wytrzymać jej rozkochanych spojrzeń. Ale gdy zobaczył nowo przybyłą dziewczynkę, dusza jego od razu zapłonęła szczęściem. Natychmiast zaczął się ze wszelkich sił popisywać: szturchał chłopców, targał ich za włosy, wykrzywił się - słowem, robił, co mógł, aby oczarować dziewczynkę i zdobyć jej uznanie. Jedno tylko ziarnko goryczy zatruwało jego radość: wspomnienie upokorzenia, jakiego doznał w ogrodzie swego anioła. Ale fale szczęścia szybko zmyły to ziarnko.

Gości usadzono na honorowych miejscach, a pan Walters zaraz po zakończeniu swego przemówienia przedstawił ich dzieciom. Mężczyzna w średnim wieku okazał się niezwykle osobistością. Był nim ni mniej, ni więcej, tylko sędzia hrabstwa, a zarazem najdostojniejsza osoba, jaką dzieci widziały w swym życiu. Były ciekawe, z jakiej gliny jest ulepiony, raz chciały, żeby ryknął straszonym głosem, to znów bały się, że ryknie naprawdę. Przybył z Konstantynopola, oddalonego o dwanaście mil od miasteczka, wiele więc podróżował i znał świat. Oczy jego widziały gmach sądu hrabstwa, o którym to gmachu chodziły słuchy, że ma dach kryty blachą. Lęk boży, jaki budziły te myśli, znalazł wyraz w wymownym milczeniu i w rzędach oczu wlepionych w sędziego. A więc to był wielki sędzia Thatcher, brat miejscowego adwokata! Jeff Thatcher od razu wystąpił naprzód, aby pokazać wszystkim, że łączy go zażyłe stosunki z wielkim mężem, i żeby cała szkoła pękła z zazdrości. Gdyby słyszał szepty kolegów, byłyby mu one cudowną muzyką.

- Patrz, Jim! Idzie do niego. Zobacz, podaje mu rękę, naprawdę podaje mu rękę! Jasny gwint! Chciałbym być teraz Jeffem!

Teraz pan Walters zaczął się popisywać. Krzątał się jak mrówka, urzędował, wydawał polecenia, wyrokował - wszędzie go było pełno. Bibliotekarz też się popisywał - biegł tam i z powrotem z pełnym naręczem książek, wzniesając okropny hałas i zamęt co zresztą stanowi

ulubione zajęcie różnych gryzpiórków. Młode nauczycielki popisywały się, pochylając się ze słodkim uśmiechem nad swoimi wychowankami, których przed chwilą targały za uszy. Z wdziękiem podnosiły palce, by pogrozić niedobrym chłopczykom, a grzecznych czule głaskały po główkach. Młodzi nauczyciele popisywali się w ten sposób, że udzielali delikatnych upomnień, łagodnymi środkami zabiegali o utrzymanie powagi i okazywali dowody czulej troski o dyscyplinę, Niemal zaś wszyscy nauczyciele i ich koleżanki nagle zaczęli zaglądać do szafy z książkami, która stała obok ambony. Szukali tam czegoś po kilka razy (i za każdym razem podchodzili tam jakby niechętnie). Dziewczynki popisywały się rozmaicie, a chłopcy robili to z takim zapałem, że w kościele aż pociemniało od latających papierowych kul i kurzu, jaki wzbił się nad walczącymi. A ponad tym wszystkim siedział wielki mąż, rozjaśniał cały kościół swym majestatycznym sędziowskim uśmiechem i grzał się w słońcu własnej wielkości - bo i on się wygłupiał.

Jednego tylko brakowało panu Waltersowi do bezgranicznego szczęścia - nie miał komu wręczyć nagrody w postaci Biblii, nie mógł wystawić na pokaz cudownego dziecka. Wprawdzie niektórzy uczniowie mieli po kilka żółtych karteczek, ale żaden nie miał tyle, ile trzeba - pan Walters obszedł już wszystkich prymusów. Oddałby teraz nie wiadomo co, byle mieć pod ręką owego chłopca, Niemca, tylko ze zdrową głową.

I właśnie w chwili, gdy już wszelka nadzieja umarła, wystąpił Tomek Sawyer ze swoimi kartkami: dziewięć żółtych, dziewięć czerwonych i dziesięć niebieskich... i zażądał Biblii. Był to grom z jasnego nieba. Na to, że zgłosi się Tomek, pan Walters nie liczył, nawet gdy myślał o tym, co się może zdarzyć w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ale fakty mówiły same za siebie - leżały przed nim kwity, które sam wystawił, i trzeba było płacić wedle ich wartości. Tomek został zaproszony na wyżyny, na których siedział pan sędzia i inni wybrańcy losu, a główna kwatery podała wielką nowinę do publicznej wiadomości. Było to najbardziej niesłychane zdarzenie ostatnich dziesięciu lat. Wrażenie było tak ogromne, że pod jego wpływem nowy bohater w oczach publiczności wzniósł się na wyżyny sędziowskie, i szkoła podziwiała teraz, zamiast jednego, aż dwa bóstwa. Zazdrość pożerała chłopców, ale najstraszniejsze męki cierpieli ci, którzy za późno zrozumieli, że sami przyczynili się do zdobycia przez Tomka sławy, której mu teraz zazdrościli. Przecież prehandlowali swe kartki za bogactwa, które zdobył kupując przywilejem bielenia płotu. Sami sobą gardzili, że dali się nabrać cwannemu oszustowi i skusić chytremu wężowi.

Wręczenie nagrody Tomkowi odbyło się z takimi objawami czułości, na jakie dyrektor mógł się w danych warunkach zdobyć. A jednak tym serdecznościom niedostawało natchnienia, bo nieszczęsny dyrektor czuł przez skórę, że tkwi w tym jakaś tajemnica, która może nie zniósłaby światła dziennego. Było coś wprost nedorzecznego w tym, że właśnie ten chłopiec zgromadził w swym magazynie dwa tysiące snopków mądrości biblijnej - nawet tuzin by się tam nie zmieścił, to pewne.

Amy Lawrence była dumna i szczęśliwa. Chciała, żeby Tomek poznał to po jej twarzy, ale on nawet na nią nie spojrział. Zdziwiła się, potem nieco się zaniepokoiła, następnie przyszło

mgliste podejrzenie, zniknęło i znów powróciło. Zaczęła go śledzić - jedno ukradkowe spojrzenie powiedziało jej wszystko. Wówczas serce jej pękło, ogarnęła ją zazdrość i gniew, łzy błysnęły w oczach - znenawidziła cały świat. A najwięcej Tomka (tak jej się zdawało).

Tomek został przedstawiony panu sędziemu, ale język stanął mu kołkiem. Z trudem łapał powietrze, a serce trzęsło się jak galareta - trochę z powodu przerażającej wielkości tego męża, przede wszystkim jednak dlatego, że był to jej ojciec. Gdyby było ciemno, najchętniej upadłby przed nim na kolana i zaczął się do niego modlić. Sędzia położył rękę na głowie Tomka, nazwał go dzielnym malcem i zapytał, jak się nazywa. Chłopiec zająknął się, nie mógł złapać tchu, wreszcie wykrztusił.

- Tomek.

- Ale nie, nie Tomek, tylko...

- Tomasz.

- No widzisz. Ale zdaje mi się, że jeszcze czegoś brakuje. Tomasz - to bardzo ładnie, ale sądzę, że jeszcze jakoś się nazywasz i to właśnie mi powiesz.

- Powiedz panu sędziemu swoje nazwisko, Tomasz - wtrącił się pan Walters - i mów panie sędzio. Nie należy zapominać o dobrym wychowaniu,

- Tomasz Sawyer, panie sędzio.

- No oczywiście. Grzeczny chłopiec, dzielny chłopiec, bardzo dzielny malec. Dwa tysiące wierszy to dużo, bardzo, bardzo dużo. Nigdy nie pożałujesz swego trudu. Wiedza bowiem jest najcenniejszą rzeczą w świecie. Ona to czyni ludzi wielkimi i dobrymi. Ty, Tomasz, też zostaniesz kiedyś wielkim i dobrym człowiekiem, a wówczas spojrzysz wstecz i powiesz: „Wszystko to zawdzięczam temu, że w dzieciństwie miałem wielkie szczęście uczyć się w szkółce niedzielnej. Wszystko to zawdzięczam moim drogim nauczycielom, którzy pokazali mi drogę do wiedzy, wszystko to zawdzięczam zacnemu panu dyrektorowi, który dodawał mi otuchy, czuwał nade mną i dał mi tę piękną Biblię, tę wspaniałą Biblię, abym ją zachował na własność, na całe życie. Wszystko zawdzięczam dobremu wychowaniu!" Tak będziesz mówił, Tomasz, i za żadne pieniądze nie oddasz tych dwóch tysięcy wierszy, za żadne pieniądze! A może teraz powiesz mnie i tej pani coś z tych rzeczy, których się nauczyłeś? Na pewno powiesz. Bo my jesteśmy dumni z chłopców, którzy się dobrze uczą. Otóż zapewne znasz imiona dwunastu apostołów. Może wymienisz nam tych dwóch, którzy najpierw zostali wybrani?

Tomek przez cały czas kręcił guzik i patrzył baranim wzrokiem. Teraz zaczerwienił się i spuścił oczy. Panu Waltersowi zrobiło się słabo. Mówił sobie, że przecież nie jest możliwe, aby ten chłopiec mógł odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Co też skusiło sędziego, żeby go pytać? Czuł się jednak w obowiązku coś powiedzieć.

- Odpowiedz panu sędziemu, Tomasz - powiedział -,nie bój się. Tomek milczał.

- Ale mnie na pewno powiesz - powiedziała pani. - Pierwszymi apostołami byli...

- DAWID I GOLIAT!

Spuśćmy zasłonę miłosierdzia na koniec tej sceny.

### **CHRZĄSZCZ I JEGO OFIARA**

Około pół do jedenastej pęknięty dzwon kościółka jął dzwonić i niebawem ludzie zaczęli się schodzić na ranne kazanie. Dzieci ze szkółki niedzielnej rozproszyły się po całym kościele i zajęły miejsca w ławkach pod nadzorem rodziców. Przyszła też ciocia Polcia. Tomek, Sid i Mary usiedli przy niej. Tomka posadzono po stronie nawy, aby był jak najdalej od otwartego okna i kuszących widoków, jakie lato roztaczało na dworze.

Tłum wypełnił wnętrze kościoła: stary i zabiedzony poczmistrz, który pamiętał lepsze czasy; burmistrz z żoną, - bo miasto miało, obok innych nikomu niepotrzebnych rzeczy, także i burmistrza; sędzia pokoju; wdowa Douglas, przystojna, szykowna, czterdziestoletnia pani, zacna dusza i zamożna osoba, właścicielka jedynej willi w miasteczku, na wzgórzu, bardzo gościnna i znana z najwystawniejszych przyjęć, jakimi St. Petersburg mógł się poszczycić; pochylony wiekiem, czcigodny major Ward z żoną; adwokat Riverson, znakomitość niedawno przybyła ze świata; dalej, miejscowa piękniś z młodą, wystrojonych w batysty i wstążki uwodzicielkę; następnie weszli gromadą wszyscy młodzi tutejsi urzędnicy, którzy tak długo stali w przedsionku, tworząc zbite półkole wypomadowanych i wzdychających wielbicieli, i tak długo ssali gałki swych lasek, dopóki ostatnia dziewczyna nie weszła do kościoła; na koniec zjawił się wzór chłopców, Willie Mufferson, który prowadził matkę pod rękę z taką troskliwością, jakby była z kryształu. Zawsze prowadził matkę do kościoła i był przedmiotem podziwu wszystkich starszych pań. Chłopcy nie cierpieli go właśnie dlatego, że był taki grzeczny i że ciągle stawiano im go za wzór. Jak zwykle w niedzielę, biała chusteczka do nosa zwisała mu z tylnej kieszeni - niby to przypadkiem. Tomek nie miał chusteczki do nosa i uważał za lalusiów chłopców, którzy ją nosili.

Kiedy zebrali się już wszyscy wierni, dzwon odezwał się jeszcze raz, aby przynaglić guzdralskich i maruderów, po czym w kościele zapanowała uroczysta cisza, którą mąciły tylko chichoty i szepty na chórze. Chór zawsze chichotał i szeptał przez cały czas nabożeństwa. Był raz chór, który się zachowywał przyzwoicie, ale już zapomniałem, gdzie to było. Wiele już lat minęło od tej pory i dlatego nie mogę sobie nic o tym chórze przypomnieć, ale zdaje mi się, że to było za granicą.

Pastor zapowiedział hymn, po czym odczytał go z upodobaniem, w szczególny sposób, który w całej okolicy budził powszechny podziw. Zaczynał dość cicho, potem podnosił głos coraz bardziej, aż gdy znalazł się na szczycie, potężnie akcentował ostatnie słowo i dawał nura w dół jak z trampoliny. Wyglądało to tak:

*Czy wolno mi spoczywać w niebiańskich*

*kwietnych*

*łożach,*

*Gdy inni muszą walczyć i tonąć w*

*krwawych*

*morzach?*

Uważano go za świetnego lektora. Na pobożnych zebraniach towarzyskich proszono go zawsze o czytanie wierszy. Gdy skończył, panie podnosiły ręce do góry i opuszczały je bezwładnie na kolana, przewracały oczami i potrząsały głowami, co miało oznaczać: „Niepodobna tego wyrazić słowami, to jest zbyt piękne, zbyt piękne dla tego padołu łez”.

Po odśpiewaniu hymnu wielbny pastor Sprague zamieniał się w tablicę ogłoszeń i czytał komunikaty o zebraniach, posiedzeniach i tym podobnych. Wszystkim się zdawało, że pastor będzie tak czytał aż do dnia Sądu Ostatecznego. Dziwny ten zwyczaj przetrwał w Ameryce do dziś dnia, nawet w miastach, w których jest mnóstwo gazet. Często tak bywa, że im mniej jakiś zwyczaj ma sensu, tym trudniej się go pozbyć.

Potem sam pastor przystąpił do modlitwy. Była to piękna, szlachetna modlitwa i bardzo szczegółowa. Wznoszono modły za Kościół i dzieci Kościoła, za inne Kościoły miasteczka, za miasteczko samo, za hrabstwo, za stan, za urzędników stanu, za Stany Zjednoczone, za wszystkie Kościoły Stanów Zjednoczonych, za Kongres, za prezydenta, za ministrów, za biednych żeglarzy miotanych burzą na morzu, za uciśnione miliony, które jęczą w jarzmie europejskich monarchii i wschodnich despotów, za tych, na których spłynęło światło i dobra nowina, a nie mają oczu, aby widzieć, ani uszu, aby słyszeć, za pogan na dalekich wyspach wśród oceanów - a kończyła się ta modlitwa błaganem, by słowa, które pastor wypowie, zostały wdzięcznie wysłuchane, aby były jako ziarno, które padło na urodzajny grunt i przyniosło bogaty plon wszelkiego dobra. Amen.

Zaszeleściły suknie i wierni usiedli.

Chłopiec, którego dzieje opowiadamy w tej książce, nie cieszył się modlitwą, lecz ledwie ją znosił, a raczej w ogóle jej nie znosił, bo przez cały czas wcale jej nie słuchał. Jakieś echa modlitwy docierały jednak do jego świadomości, mimo że nie uważał. Znał, bowiem od dawna grunt, po którym pastor się poruszał, ilekroć więc duchowny pozwolił sobie na najdrobniejszy choćby dodatek, natychmiast ucho Tomka wychwytywało to i chłopak był do głębi oburzony. Dodatki uważał za zwyczajne oszustwo.

W połowie modlitwy mucha usiadła na oparciu ławki przed Tomkiem i zaczęła się nad nim znęcać. Z całym spokojem opierała jedną nóżkę o drugą, obejmowała głowę łapkami i tarła ją tak gwałtownie, że o mało jej nie oderwała od tułowia. Odsloniła przy tym szyję cieniutką jak nitka. Potem tylnymi nóżkami wycierała skrzydełka i przyciskała je do siebie niby poły fraka. Całą tę toaletę robiła tak, jak gdyby wiedziała, że jest zupełnie bezpieczna. I istotnie tak było, bo choć ręka swędziała Tomka i korciło go, aby schwytać muchę, nie śmiał jednak tego uczynić; był bowiem pewny, że zgubiłby swą duszę, gdyby zrobił coś podobnego podczas modlitwy. Ale przy ostatnich słowach dłoń jego się skurczyła i zaczęła się skradać, a kiedy padło słowo „amen”, mucha była już w niewoli.

Ciotka jednak odkryła ten występek i kazała wypuścić muchę na wolność.

Pastor zapowiedział temat kazania i zaczął brzęczeć w sposób tak beznadziejnie nudny, że głowy jedna po drugiej poczęły się kiwać. Były to wywody, które tak hojnie szafowały wiecznym ogniem i siarką, a liczbę wybrańców do nieba zredukowały do tak małej garstki, że w ogóle szkoda było zachodu koło ich zbawienia.

Tomek liczył stronicie kazania. Po nabożeństwie zawsze wiedział, ile było stronic kazania, ale o jego treści niewiele miał do powiedzenia. Dziś jednak naprawdę zainteresował się na chwilę. Otóż pastor kreślił wspaniałą i porywającą obraz zastępów świata zebranych wspólnie na łonie królestwa bożego na ziemi, kiedy to lew i jagnię będą leżały obok siebie w pokoju, a dziecię będzie ich pilnować. Wzniosłość moralna tego wielkiego widowiska nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Myślał natomiast o świetnej roli głównego bohatera, którą miał grać na oczach ludów świata. Z rozpalonymi policzkami myślał, że mógłby być tym dziecięciem pod warunkiem, oczywiście, że lew będzie oswojony.

Potem znów zaczęła się męka, pastor bowiem powrócił do nudnych tematów. Nagle Tomek przypomniał sobie swój skarb i wyjął go z kieszeni. Był to duży czarny chrząszcz o potężnych szczypcach, nazwany przez Tomka „szczypawką”. Tomek przechowywał go w pudełku od kapiszonów. Kiedy go teraz wyjął, chrząszcz przede wszystkim ugryzł go w palec. Tomek oczywiście dał mu prztyczka w nos. Chrząszcz upadł na podłogę, na środek kościoła, grzbietem na dół, a chłopiec wsadził palec w usta. Owad leżał przebierając bezradnie nóżkami, i nie mógł się odwrócić. Tomek nie spuszczał oka ze swego skarbu i tęsknił do niego, ale nie mógł go dostać ręką. Dla innych wiernych, nieciekawych kazania, chrząszcz stał się miłą rozrywką, zezowali więc w jego kierunku.

Po kościele wałęsał się czyjś pudel. Smutno mu było na duszy, rozleniwiony był ciszą i spokojem dnia letniego, znudzony brakiem swobody, żądny przygód. Zobaczył chrząszcza, podniósł obwisły ogon do góry i zaczął nim merdać. Przyjrzał się zdobyczy, okrążył ją, obwąchał z bezpiecznej odległości, okrążył jeszcze raz, zebrał się na odwagę, obwąchał z bliska, wyszczerzył zęby i kłapnął nimi, ale nie trafił, powtórzył tę próbę dwa razy i bardzo mu się ta zabawa spodobała. Położył się na brzuchu, wziął chrząszcza między przednie łapy i igrał z nim dalej, aż wreszcie znudził się, zobojętniał, uleciał duchem gdzieś indziej. Głowa zaczęła mu się sennie kiwać i morda zniżać się coraz bardziej, aż wreszcie dotknęła wroga, który chwycił ją swymi kleszczami. Rozległ się przejmujący skowyt, pudel podrzucił głowę, chrząszcz przeleciał parę jardów i znów upadł na grzbiet. Najbliżsi widzowie trzęśli się od tłumionego śmiechu, niejedna twarz ukryła się za wachlarzem lub chustką do nosa, a Tomek był w siódmym niebie. Pies miał bardzo niemądrą minę i na pewno czuł się głupio, ale był oburzony i płonął żądzą odwetu. Podkraść się ku chrząszczowi i znów ostrożnie wziął się do niego. Dосkakiwał ze wszystkich stron, napierał przednimi łapami, ale zawsze o cal przed owadem, kłapał zębami coraz bliżej, potrząsał głową i chlastał po niej uszami. Lecz po chwili znudziła mu się ta zabawa. Spróbował złapać muchę, nie przyniosło mu to jednak zadowolenia. Puścił się w pogoń za mrówką, z nosem tuż przy podłodze, ale i do tego się prędko zniechęcił. Ziewnął, westchnął, zupełnie zapomniał o chrząszczu i... usiadł na nim. Przerażliwy skowyt



bólu... i pudel zaczął galopować po kościele. Ze skowytami przebiegł przed ołtarzem, wpadł w boczną nawę i minął drzwi szukając wyjścia. Gonił potęgowała jeszcze jego rozpacz. W końcu przypominał kosmatą kometę wirującą po swej orbicie z szybkością światła. Wreszcie oszalały męczennik porzucił swój tor i skoczył na kolana swemu panu, który wyrzucił go przez okno. Odgłosy były coraz słabsze, aż wreszcie zamarły gdzieś w oddali.

Przez cały ten czas wszyscy w kościele mieli czerwone twarze i krztusili się tłumionym śmiechem, kazanie zaś ugrzęzło w martwym punkcie. Teraz zostało podjęte na nowo, ale wyraźnie kulało - nie było już wdzięcznych słuchaczy, a najbardziej wzniosłe słowa spotykały się ciągle z tłumionymi wybuchami bezbożnej wesołości i chowaniem głów pod ławki, jakby biedny pastor opowiadał jakieś doskonałe dowcipy. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy czas próby minął i pastor pobłogosławił wiernych.

Tomek Sawyer wracał do domu w świetnym humorze. Uważał, że nabożeństwo może być niezłą rzeczą, gdy się je nieco urozmaici. Jedno miał tylko zmartwienie; pies mógł pobawić się jego „szczypawką”, ale nie powinien był jej zabierać.

### **TOMEK POZNAJE BECKY**

W poniedziałek rano Tomek był w podłym nastroju. Zawsze tak było w poniedziałek rano, gdy rozpoczynał się nowy tydzień szkolnej udręki. Tomek wolałby już, żeby niedzieli w ogóle nie było, bo wtedy łatwiej można by się przyzwyczaić do jarzma niewoli.

Leżał w łóżku i rozmyślał. Nagle przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby zachorować i nie pójść do szkoły. Zaświtała mu słaba nadzieja.

Zbadał stan swego zdrowia. Nie odkrył jednak żadnych dolegliwości, wobec czego zbadał się jeszcze raz. Wydało mu się, że są pewne objawy kolki i to mu dodało otuchy. Ale objawy szybko osłabły i jakoś się rozwiały. Zastanawiał się dalej. Nagle coś odkrył. Jeden z górnych przednich zębów wyraźnie się chwia. Świetnie! Już miał - na dobry początek - zacząć jęczeć, gdy przyszło mu na myśl, że jeśli wytoczy tę sprawę przed trybunałem domowym, ciotka wyrwie mu ząb i będzie bolało. Postanowił trzymać ząb w odwodzie i szukać dalej. Ale jakoś nic mu nie przychodziło do głowy, aż nagle przypomniał sobie, że lekarz opowiadał o jakimś czymś, przez co ktoś musiał dwa czy trzy tygodnie leżeć w łóżku i o mały włos nie stracił palca. Czym prędzej wysunął spod kołdry skałeczony palec u nogi i dokładnie go zbadał. Nie wiedział tylko, jakie to mają być objawy. W każdym razie warto było spróbować. Wziął się więc z zapalem do jęczenia.

Sid spał jak zabity.

Tomek jęczał coraz głośniejsze i zdawało mu się, że palec już zaczyna go boleć.

Sid ani mrugnął.

Tomek aż się zziązał z wysiłku. Odsapnął więc, a potem nadał się i wydał całą serię znakomitych jęków.

Sid chrapał dalej.

Tomka ogarnął gniew. Zawołał: - Sid! Sid! - i potrząsnął nim mocno.

Ten sposób okazał się dobry. Tomek więc znów zaczął jęczeć. Sid ziewnął, przeciągnął się, chrapnął, uniósł się na łokciu i wybałuszył oczy na Tomka. Ten jęczał dalej.

- Tomku, coś ty? Tomku! - zawołał Sid. Nie było odpowiedzi.

- Tomku! Tomku! Co ci jest, Tomku?

Sid potrząsnął bratem i z przerażeniem patrzył mu w twarz. Tomek jęknął wreszcie:

- Och, przestań, Sid! Nie szarp mnie.

- Co ci się stało? Trzeba zawołać ciotunię.

- Nie, daj spokój. To może przejdzie. Nie wołaj nikogo...

- Ale muszę! Nie jęcz tak, Tomku, to straszne. Dawno ci to się stało?

- Parę godzin temu. Au! Och, Sid, przestań się kręcić - zabijesz mnie!

- Czemuś mnie wcześniej nie obudził? Och, Tomku, przestań, bo skóra mi cierpnie! Powiedźże, co ci jest!

- Przebaczam ci wszystko, Sid. (Jęk). Wszystko, coś mi zrobił. Gdy mnie już nie będzie...

- Tomku, ty przecież nie umierasz, prawda, że nie umierasz? Nie! Tomku, nie! Może...

- Wszystkim przebaczam, Sid. (Jęk). Powiedz im to, Sid, moją ramę okienną i kota z jednym okiem dasz tej dziewczynce, która niedawno przyjechała do naszego miasta, i powiesz jej...

Ale Sid chwycił ubranie i wybiegł z pokoju. Tomek cierpiał teraz naprawdę, tak dobrze pracowała jego wyobraźnia i tak prawdziwe były jęki, które wydawał.

Sid zbiegł po schodach na dół i zawołał:

- Ach, ciociu, chodź! Tomek umiera!

- Umiera?!

- Tak, ciociu. Na co czekasz? Chodź prędko!

- Bzdury! Nie wierzę!

Ale mimo to skoczyła na górę, a Sid i Mary deptali jej po piętach. Twarz jej zbladła, usta drżały. Stała przed łóżkiem ciężko dysząc i zawołała:

- Rany boskie, Tomku, co ci się stało?

- Ach, ciociu, jestem...

- Co ci się... co ci się stało, moje dziecko?

- Ach, ciociu, mój skaleczony palec... zmartwił zupełnie!

Ciotka padła na krzesło, roześmiała się, zapłakała, a potem śmiała się i płakała równocześnie. To przywróciło jej siły.

- Ach, Tomku, aleś mi stracha napędził! A teraz dosyć tych głupstw i wyłaż z łóżka.

Jęki Tomka ustały i ból palca ustąpił. Trochę mu było głupio.

- Ciociu - powiedział - on naprawdę tak jakoś zmartwiał i tak mnie bolał, że nawet zapomniałem o zębie.

- Jak to o zębie? O jakim zębie?

- Rusza się jeden i boli, że coś okropnego.

- A to dopiero! Tylko proszę już nie jęczeć. Otwórz usta. Tak, ząb rzeczywiście się chwieje, ale od tego nie umrzesz. 'Mary, daj mi kawałek jedwabnej nitki i przynieś palące się polano z kuchni.

- Ach, ciotuniu, proszę cię, nie wrywaj go. Już wcale nie boli. Niech mnie pokręci, jeśli boli. Cioteczko, proszę - nie. Nie chcę zostawać w domu, chcę iść do szkoły.

- Ach to tak? To cała ta komedia tylko po to, żeby wykręcić się od szkoły i pójść na ryby? Ach, Tomku, Tomku; ja cię tak kocham, a ty do grobu mnie wpędzisz swymi dzikimi wybrykami.

Tymczasem zjawily się narzędzia dentystyczne. Starsza pani przywiązała jeden koniec nitki za pomocą pętelki do zęba Tomka, a drugi do krawędzi łóżka. Potem chwyciła płonące polano i nagle zamachnęła się nim aż pod nos Tomka. Ząb dyndał już u krawędzi łóżka.

Ale nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Gdy Tomek po śniadaniu szedł do szkoły, był przedmiotem zazdrości każdego chłopca, którego spotkał, bo szczerba w górnym rzędzie zębów umożliwiała mu spluwanie w nowy i podziwu godny sposób. Szła za nim spora gromadka chłopców, których zainteresował pokaz nowego wynalazku. Chłopiec, który zaciął się w palec i z tego powodu ośniewał wszystkich i cieszył się niezwykłym szacunkiem, stracił nagle swych zwolenników i swą sławę. Było mu ciężko na sercu i oświadczył z udaną pogardą, że całe spluwanie Tomka to żadna sztuka. Ale inny chłopak powiedział mu na to: „Chciałaby dusza do raj!” i bohater, strącony z piedestału, odszedł jak niepyszny.

W chwilę potem Tomek spotkał młodego włóczęgę Huckleberry'ego Finna, syna miejscowego pijaka. Wszystkie matki serdecznie go nienawidziły, i bały się jak ognia, gdyż był to próżniak, łobuz, ulicznik, zły chłopak, a także dlatego, że był przedmiotem podziwu ich dzieci, które mimo zakazów garnęły się do niego i chciały go naśladować. Podobnie jak inni synowie porządnych rodziców Tomek zazdrościł Huckowi jego barwnego życia włóczęgi i otrzymał surowy zakaz bawienia się z tym wyrzutkiem. Bawił się więc z nim, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność. Huck odziewał się w znoszone ubrania dorosłych, które mieniły się od plam i - powiewały strzępami. Kapelusz Hucka był jedną wielką ruiną, a odarty kawał runda zwisał jak wielki półksiężyc. Marynarka - jeśli ją miał na sobie - sięgała mu do pięt, tylne guziki znajdowały się znacznie niżej krzyża, spodnie trzymały się na jednej szelce, siedzenie wyglądało jak pusty worek, a postrzępione nogawki nurzały się w błocie, jeśli nie były podkasane.

Huck chodził sobie, jak chciał. Sypiał na progach domów, gdy było ładnie, a kiedy padał deszcz - w pustych beczkach. Nie musiał chodzić do szkoły ani do kościoła, nie miał żadnego

pana i nikogo nie słuchał. Mógł chodzić na ryby i kąpać się, kiedy i gdzie mu się podobało, i siedział tam, ile tylko dusza zapragnęła. Mógł się też bić, ile chciał, i nie musiał wcześniej chodzić spać. Na wiosnę zawsze pierwszy wychodził boso, a jesienią ostatni wkładał buty. Mógł w ogóle się nie myć i nie nosić czystej bielizny. A kłąć umiał - cudownie. Słowem, chłopak ten miał wszystko, co może życie uczynić pięknym. Takiego zdania byli zahukani i udręczeni synowie przyzwoitych rodziców w miasteczku St. Petersburg. Do tego to romantycznego włości Tomek zawołał:

- Serwus, Huckleberry!
- Serwusik. Co słyszeć?
- Co to jest?
- Zdechły kot.
- Pokaż Huck! O psiakryda, sztywny jak drut. Skąd go masz?
- Kupiłem od jednego chłopca.
- Coś za niego dał?
- Niebieską kartkę i pęcherz z rzeźni.
- Skąd wziąłeś kartkę?
- Przed dwoma tygodniami kupiłem od Bena Rogersa. Dałem mu za nią kijek do koła.
- Słuchaj, Huck, do czego może być zdechły kot?
- Do czego? Do usuwania brodawek.
- Ale skąd! Znam lepszy sposób.
- Niemożliwe. A co to jest?
- Zgniła woda.
- Zgniła woda? Diabła warta.
- Co ty mówisz? A próbowałeś jej kiedy?
- Nie, ale Bob Tanner próbował.
- Kto ci to powiedział?
- On mówił to Jeffowi Thatcherowi, a Jeff Johnny'emu Bakerowi, a Johnny Jimowi Hollisowi, a Jim Benowi Rogersowi, a Ben powiedział pewnemu Murzynowi, a Murzyn mnie. A widzisz!
- No i co z tego? Same kłamczuchy! Może z wyjątkiem Murzyna. Nie znam go. Zresztą głupstwo! Powiedz mi, jak Bob Tanner to robił?
- No co, wsadził rękę w otwór spróchniałego pnia, gdzie się zbiera deszczówka.
- W dzień?
- No pewnie.
- Z twarzą ku drzewu?
- Tak. Chyba tak.

- Czy mówił coś przy tym?

- Zdaje mi się, że nic. Zresztą nie wiem.

- Ano tak! I taki osioł będzie gadał o usuwaniu brodawek zgniłą wodą! W ten sposób nic nie wskórasz. Trzeba pójść samemu w głąb lasu, tam gdzie się wie, że jest pień ze zgniłą wodą, i o północy odwrócić się plecami do drzewa, wetknąć rękę i powiedzieć:

*Hokus, pokus, marokus, zgniła wodo, zjedz brodawki!*

*Dobranoc, pchły na noc, a szczypawki na zabawki.*

Potem trzeba pójść prędko z zamkniętymi oczami jedenaście kroków przed siebie, potem trzy razy się obrócić i iść do domu, a po drodze z nikim nie rozmawiać, bo jak będziesz rozmawiał, to popsujesz czary.

- No tak, może to i dobre. Ale Bob Tanner tak nie robił.

- Nie, mój panie, możesz być o to spokojny. Przecież on ma najwięcej brodawek, a nie miałby ani jednej, gdyby wiedział, jak się obchodzić ze zgniłą wodą. Ja miałem tysiące brodawek na rękach i wszystkich się pozbyłem właśnie w ten sposób. Dużo się bawię żabami i z tego mi się ciągle robią brodawki. Czasem także usuwam je fasolą.

- Tak. Fasola jest dobra. Ja to już robiłem.

- Tak? W jaki sposób?

- Bierzesz fasolę, rozłupujesz ją, nacinasz brodawkę do krwi i smarujesz jedną połówkę fasoli krwią, a potem o północy, na rozstajach, podczas nowiu księżycy zakopujesz w ziemi tę połówkę, drugą zaś palisz. A ta połówka nasmarowana krwią ciągnie i ciągnie, aby przyciągnąć do siebie drugą połówkę, a znowu krew ciągnie krew i brodawka musi odpaść.

- To wszystko prawda, a gdy zakopując fasolę powiesz: „Idź, fasolo, do dziury, precz, brodawko, ze skóry!” - to jeszcze lepiej. Tak właśnie robi Joe Harper, a on już był blisko Coonville i w ogóle wszędzie bywał. Ale powiedz, jak wywabiasz brodawki zdechłym kotem?

- No cóż, bierzesz kota i idziesz z nim na cmentarz około północy, w dniu, kiedy pochowano bezbożnika. O północy przyjdzie diabeł, a może nawet dwa lub trzy, ale widzieć ich nie można, tylko się słyszy jakby wiatr, a czasem rozmowę. A gdy zabierają tego nieboszczyka, trzeba rzucić za nimi kotem i powiedzieć:

*Uciekaj, diable, z trupem,*

*Uciekaj, kocie, z diabłem,*

*Uciekaj, brodawko, z kotem,*

*Już cię nie ma!*

W ten sposób usuniesz każdą brodawkę.

- To mi wygląda na prawdę. Czy próbowałeś już tego, Huck?

- Nie, ale mówiła mi mateczka Hopkins.

-To się na pewno zgadza, bo wszyscy mówią, że mateczka Hopkins jest wiedźmą.

- Oni mówią, a ja wiem! Rzuciła przecież czary na mojego tatusia. Sam to mówi. Raz idzie ojciec i widzi, że ona chce urok na niego rzucić, chwycił więc kamień i gdyby się nie schyliła, byłby ją trafił. I, uważasz, tej samej nocy, kiedy po pijanemu spał na dachu szopy, spadł i złamał sobie rękę.

- Ach, to straszne. A skąd wiedział, że ona go chce zaczarować?

- Mój Boże, tatuś dobrze się na tym zna. Powiada, że gdy ona wlepi w kogo oczy, to czaruje, zwłaszcza jeśli coś przy tym mamrocze. Bo mówi wtedy „Ojczy nasz” na wspak.

- Słuchaj, Huck, kiedy pójdziesz spróbować kota?

- Dziś w nocy. Przypuszczam, że tej nocy diabli przyjdą zabrać starego Hossa Williama.

- Przecież pochowano go jeszcze w sobotę, Huck. Czy w sobotę go nie zabrali?

- Bzdury opowiadasz! Przecież przed północą diabelska moc nie działa, a potem była niedziela. W niedzielę diabły się nie pokazują.

- Prawda, nie pomyślałem o tym. Weźmiesz mnie z sobą?

- Naturalnie, chyba że się boisz.

- Boję się? Co znowu! Przyjdiesz po mnie i zamiauczysz?

- Tak, a ty odpowiesz miauczeniem, jeśli będziesz mógł. Ostatni raz namiauczałem się na próżno, aż stary Hays rzucił we mnie kamieniem i krzyknął: „Diabli nadali tego kota!” Wtedy wrzuciłem mu cegłę przez okno. Ale nie mów o tym nikomu.

- Nie powiem. Wtedy naprawdę nie mogłem miauczeć, bo ciocia mnie pilnowała. Ale dziś się postaram. Co to jest?

- Nic, kleszcz.

- Skąd go masz?

- Z lasu.

- Co chcesz za niego?

- Nie wiem. Nie jest na sprzedaż.

- Jak uważasz. Ale duży to on nie jest.

- Nie sztuka wygadywać na cudzego kleszcza. Mnie on wystarcza. Jestem z niego zupełnie zadowolony.

- E tam, pełno ich w lesie. Mógłbym mieć tysiące, gdybym chciał.

- To czemu nie chcesz? Bo dobrze wiesz, że nie możesz. To jest wczesny kleszcz, pierwszy, jakiego widziałem w tym roku.

- Słuchaj, Huck, dam ci za niego mój ząb.

- Pokaż.

Tomek wyjął papierowe zawiniątko i ostrożnie wysupłał z niego ząb.

Huck oglądał go chciwie. Pokusa była wielka. Wreszcie powiedział:

- Prawdziwy?

Tomek otworzył usta i pokazał szczerbę.

- Dobra jest - powiedział Huck - zrobione!

Tomek schował kleszcza w pudełko od kapiszonów, które przedtem było więzieniem „szczypawki”, i chłopcy rozstali się, obaj przekonani, że się wzbogacili.

Gdy Tomek dotarł wreszcie do małego budynku szkolnego, położonego na uboczu i zbudowanego z bierwion, wszedł do klasy szybkim krokiem z miną człowieka, który rzetelnie się śpieszy. Powiesił kapelusz na kołku, i czym prędzej, jak najpilniejszy uczeń, usiadł na swoim miejscu. Nauczyciel królował na wyżynach katedry w wielkim wyplatany fotelu i drzemał, ukołysany usypiającym szmerem klasy. Obudziło go wejście Tomka.

- Tomasz Sawyer!

Tomek wiedział, że nazwanie go pełnym nazwiskiem nie oznacza nic dobrego.

- Jestem!

- Chodź no tu; Cóż to, przyjacielu, znów się spóźniłeś?

Tomek już miał uciec się do kłamstwa, gdy nagle zobaczył dwa długie, złociste warkoczki spadające na plecy i dzięki magnetyzmowi serca poznał je natychmiast. Obok dziewczynki było jedyne wolne miejsce po tej stronie klasy, gdzie siedziały dziewczęta. Nie myśląc wiele powiedział:

- ZATRZYMAŁEM SIĘ, ABY POMÓWIĆ Z HUCKIEM FINNEM!

Nauczycielowi krew zastęła w żyłach. Bezradnie patrzył przed siebie z oczyma w ślup. W klasie zrobiło się cicho. Wszyscy myśleli, że Tomek do reszty zbzikował.

Nauczyciel zapytał:

- Co... coś robił?

- Zatrzymałem się, aby pomówić z Huckiem Finnem. A więc nikt się tu nie przesłyszał,

- Tomasz Sawyer! Toć to jest najbardziej niesłychane wyznanie, jakie w moim życiu słyszałem. Jedna różga to nic za taką zbrodnię. Ściągaj bluzę! Ramię pedagoga pracowało tak długo, aż opadło z sił, a różga do cna się Wystrzępiła. Wreszcie padł rozkaz:

- A teraz, kochasiu, siądziesz sobie z dziewczynkami! I niech to będzie ci przestrogą na przyszłość.

Śmiech, który przeleciał po klasie, wyraźnie zawstydził Tomka. W gruncie rzeczy jednak przyczyną jego zmieszania było pełne trwogi uwielbienie dla nieznanego bóstwa i straszna radość, że tak mu się powiodło. Usiadł na skraju sosnowej ławki, a dziewczynka odsunęła się jak najdalej od niego i zadarła głowę. Po klasie szły szturchańce, porozumiewawcze znaki i szepty, ale Tomek siedział spokojnie, z rękami na długim, niskim pulpicie i nosem w książce.

Powoli klasa przestała zwracać na niego uwagę i zwykły szum znów ożywił senną atmosferę. Tomek począł rzucać na dziewczynkę ukradkowe spojrzenia. Zauważyła to,

skrzywiła się z niesmakiem i przez minutę pozwoliła mu oglądać tylko tył swojej głowy. Gdy się ostrożnie odwróciła, leżała przed nią brzoskwinia. Odtrąciła ją, Tomek delikatnie znów ją podsunął. Odtrąciła ją znowu, ale już- z mniejszą niechęcią, a Tomek cierpliwie jeszcze raz przesunął brzoskwinie. Zostawiła ją tam, gdzie leżała. Napisał na tabliczce: „Proszę cię, weź, mam więcej”. Dziewczynka zerknęła na tabliczkę, ale nie dała odpowiedzi. Wtedy Tomek zaczął coś rysować na tabliczce, zasłaniając lewą ręką swe dzieło. Przez chwilę nic ją to nie obchodziło, ale wkrótce zwykła ludzka ciekawość zaczęła się nieznacznie objawiać. Chłopiec pracował dalej, jak gdyby nigdy nic.

Dziewczynka nieśmiało zerknęła na tabliczkę, ale on udawał, że nic nie zauważył. Wreszcie uległa i szepnęła niepewnym głosem:

- Pokaż!

Tomek odsonił nieudolną karykaturę domu z dwoma szczytami dachu i wychodzącym z komina dymem w kształcie korkociągu. Dziewczynkę bardzo zainteresowała praca Tomka i zapomniała o wszystkim. Gdy skończył, przyjrzała się rysunkowi i szepnęła:

- To bardzo ładne. Narysuj człowieka.

Artysta narysował przed domem człowieka, podobnego do olbrzymiego dźwigu. Człowiek ten mógł spokojnie przejść ponad domem. Ale dziewczynka nie była surowym sędzią. Potwór przypadł jej do gustu i szepnęła:

- Świetnie! Zrób jeszcze mnie.

Tomek namalował coś podobnego do piaskowego zegara z głową jak księżyc w pełni i słomkami zamiast rąk i nóg. Rozcapierzone palce uzbroił w potężny wachlarz.

- Ach, to śliczne! - rzekła dziewczynka. - Chciałabym tak umieć rysować!

- O, to nie sztuka - szepnął Tomek - mogę cię nauczyć.

- Doprawdy? Kiedy?

- W południe. Czy idziesz do domu na obiad?

- Zostanę, jeśli chcesz.

- Dobrze, zrobione. Jak się nazywasz?

- Becky Thatcher. A ty? Ach, prawda, wiem: Tomasz Sawyer.

- Tak się nazywam, gdy dostaję lanie. Kiedy jestem grzeczny, na imię mi Tomek. Ty będziesz mnie nazywała Tomkiem, prawda?

-Tak.

Znów zaczął coś smarować na tabliczce, kryjąc się z tym przed dziewczynką. Ale ona już się nie odwracała. Poprosiła, żeby pokazał. Odpowiedział:

- O, to nic takiego!

- Nie wierzę.

- Ależ nic. Nie będziesz chciała na to patrzeć.



- Przeciwnie, bardzo, bardzo chcę. Proszę pokazać!

- A nie powiesz?

- Nikomu. Naprawdę, naprawdę... słowo!

- Nie powiesz nikomu? Nigdy, aż do śmierci?

- Nie, nigdy nikomu nie powiem. A teraz pokaż!

- O nie, nie będziesz chciała na to patrzeć!

-Jeśli tak myślisz, to sama zobaczę, Tomku! -i położyła rączkę na jego ręce. Nastąpiła mała utarczka. Tomek udawał, że się naprawdę opiera, ale pomału usuwał rękę, odsłaniając napis: „Kocham cię”.

- Ach, wstrętny! - Dała mu lekkiego klapsa, ale zarumieniła się i widać było, że jest zadowolona.

Właśnie w tej chwili chłopiec poczuł, że jakieś straszne kleszcze zaciskają się powoli wokół jego ucha i coś ciągnie go mocno do góry. W ten sposób pod huraganowym ogniem szyderczego śmiechu Tomek został przeprowadzony przez całą klasę i znów znalazł się na swym starym miejscu. Nauczyciel stał nad nim przez kilka straszliwych chwil, ale wreszcie bez słowa wlaź na swój tron. Choć ucho Tomka piekło, radowało się jego serce.

Gdy w klasie znów zapanował spokój, Tomek usiłował rzetelnie wziąć się do nauki, ale zamęt serca był zbyt wielki. Gdy przyszła na niego kolej czytania, strzelał same byki. Potem na lekcji geografii zamieniał jeziora w góry, góry w rzeki, rzeki w łądy stałe, tak że znów zapanował chaos jak przed stworzeniem świata. W dyktandzie strzelał byki w dzieciennie łatwych słowach, tak że spadł w klasie na ostatnie miejsce i oddał blaszany medal, który w nagrodę za dobrą pisownię nosił z dumą przez kilka miesięcy.

### **WYŚCIGI KLESZCZA I ZŁAMANE SERCE**

Im bardziej starał się Tomek przykuć uwagę do książki, tym bardziej uciekały mu myśli. Wreszcie westchnął, ziewnął i dał spokój. Zdawało mu się, że przerwa obiadowa nigdy nie nadejdzie. Powietrze zmartwiało, nie ożywiało go najłżejszy powiew. Był to najbardziej senny ze wszystkich sennych dni. Monotonne mamrotanie dwudziestu pięciu uczących się dzieci kołysało do snu jak brzęczenie pszczół. W jaskrawym blasku słońca łagodnie zieleniły się zbocza wzgórza Cardiff, widoczne poprzez iskrzące się od żaru powietrze, purpurowe w oddali. Wysoko szybowało leniwie kilka ptaków. Poza tym nie było widać żywego ducha - z wyjątkiem paru krów zmorzonych snem.

Dusza Tomka wrywana się na wolność, a przynajmniej szukała czegoś, co by jej pozwoliło przetrwać ciężkie chwile. Sięgnął ręką do kieszeni i nagle błysk radości rozjaśnił mu twarz - była to prawdziwa modlitwa, choć o tym nie wiedział. Ukradkiem wyjął pudełko od kapiszonów. Wypuścił kleszcza na wolność i posadził go na długim, płaskim pulpicie. Kleszcz pewnie zapłonął gorącą wdzięcznością za wolność, ale jego rachuby okazały się przedwczesne, bo ledwie ruszył w drogę, Tomek za pomocą szpilki począł kierować jego krokami.

Obok Tomka siedział jego serdeczny przyjaciel, który cierpiał tak samo jak on i teraz ochoczo i z wdzięcznością przyłączył się do zabawy. Nazywał się Joe Harper. Obaj chłopcy przez cały tydzień byli serdecznymi przyjaciółmi, a w soboty toczyli ze sobą zażarte wojny. Joe wyjął szpilkę z klapy bluzki i przyłączył się do musztrowania jeńca. Zabawa stawała się coraz bardziej zajmująca. Wkrótce jednak Tomek oświadczył, że nawzajem sobie przeszkadzają i że żaden z nich nie ma wszystkich korzyści, jakie dać może kleszcz. Położył więc na pulpicie tabliczkę Joe'ego Harpera i na jej środku rysikiem narysował pionową linię.

- Teraz - powiedział - póki kleszcz jest po twojej stronie, możesz go poganiać, jak chcesz, ale gdy ucieknie na moją stronę, musisz go zostawić w spokoju, dopóki nie umknie mi za granicę.

- Dobrze. Odjazd! Puszczaj go!

Kleszcz szybko uciekł Tomkowi i przekroczył granicę. Joe męczył go przez chwilę, aż znowu przeszedł na drugą stronę. Powtórzyło się to kilka razy. Gdy jeden znęcał się nad kleszczem z największym zainteresowaniem, drugi przyglądał się z zapartym oddechem. Dwie głowy pochylały się razem nad tabliczką i obaj chłopcy zapomnieli o świecie bożym. Wreszcie szczęście zaczęło "się przechylać na stronę Joe'ego. Kleszcz miotał się na prawo i lewo i był tak samo zdenerwowany i podniecony jak chłopcy. Za każdym razem, gdy szczęście uśmiechało się do Tomka i ręce już mu się trzęsły nad zdobyczą, szpilka Joe'ego umiała zgrabnie zawrócić kleszcza z granicy i zatrzymać go w swej mocy. Wreszcie Tomek nie wytrzymał. Pokusa była zbyt silna. Wyciągnął rękę i pomógł kleszczowi szpilką. Joe wpadł w gniew.

- Tomek, zostaw go w spokoju.

- Chciałem go tylko trochę rozruszać.

- Nie, mój drogi, to nieuczciwe. Puść go natychmiast.

- Coś ty! Tylko troszkę go popchnę.

- Mówię ci, puść!

- A ja nie chcę!

- Musisz, przecież jest po mojej stronie!

- Słuchaj Joe, czyj to kleszcz?

- Nic mnie to nie obchodzi, jest po mojej stronie i nie waż się go tknąć!

- Właśnie, że go tknę. To jest mój kleszcz i zrobię z nim, co mi się będzie podobało.

Straszliwy cios spadł na plecy Tomka i drugi taki sam na plecy Joe'ego. Przez dwie minuty kurz leciał z dwóch bluz i przez dwie minuty klasa miała uciechę. Chłopcy tak byli zajęci, że nie zauważyli ciszy, jaka zapanowała w klasie, gdy nauczyciel począł się skradać na palcach w stronę ich ławki i nagle stanął nad nimi. Dostyc długo przyglądał się zabawie chłopców, zanim się zdecydował urozmaicić ją nieco swym osobistym udziałem.

Gdy wreszcie nadeszła przerwa południowa, Tomek podbiegł do Becky Thatcher i szepnął jej do ucha:

- Włóż kapelusz i udawaj, że idziesz do domu, a gdy dojdiesz do rogu, puść koleżanki przodem i wróć tutaj boczną uliczką. Ja pójdę inną drogą i zrobię tak samo.

Tak się też stało. Tomek poszedł zjedną grupą dzieci, a Becky z drugą. Po chwili spotkali się u wylotu bocznej uliczki i wrócili do szkoły, którą mieli teraz na swój wyłączny użytek. Usiedli obok siebie i położyli na ławce tabliczkę; Tomek podał dziewczynce rysik; trzymając jej rękę w swojej i prowadząc ją stworzył nowy przepiękny dom. Gdy zainteresowanie sztuką osłabło, zaczęli rozmawiać. Tomek był wniebowzięty.

- Czy lubisz szczury? - zapytał.

- Nienawidzę!

- No tak, żywe. Ale co innego zdechłe, którymi można na sznurku wywijać naokoło głowy?

- Nie, żadnych szczurów nie lubię. Przepadam za to za gumą do żucia.

- Owszem, dobra rzecz. Szkoda, że nie mam przy sobie.

- Chcesz? Ja mam. Dam ci na chwilę, ale musisz mi oddać. Tomek zgodził się, żuli więc na zmianę i aż huścili nogami z nadmiaru szczęścia.

- Byłaś kiedy w cyrku? - zapytał Tomek.

- Tak, i tatuś jeszcze mnie tam zabierze, jeśli będę grzeczna.

- Ja byłem w cyrku trzy, cztery razy, wiele razy. Kościół nie umywa się do cyrku. W cyrku przez cały czas coś się dzieje. Gdy dorosnę, zostanę kłownem.

- Ojej, naprawdę? To cudnie! Kłowni noszą zawsze takie piękne, kolorowe stroje.

- Ano, właśnie! A pieniędzy ile zarabiają! Najmniej dolara dziennie. Ben Rogers mi to mówił. Słuchaj, Becky, czy byłaś zaręczona?

- Co to jest?

- No, jakże... zaręczyny, a potem ślub.

- Nie.

- A chciałabyś?

- Owszem. Zresztą nie wiem. A jak to jest?

- Jak jest? To żadna sztuka. Musisz tylko powiedzieć chłopcu, że nie chcesz mieć innego, tylko jego, na zawsze, zawsze, zawsze, a potem się całujecie i koniec. Każdy to potrafi.

- Całować się? Po co?

- Widzisz, to jest... no wiesz, wszyscy tak robią.

- Wszyscy?

- No pewnie, jeśli się kochają. Czy pamiętasz, co ci napisałem na tabliczce?

- Ta-ak. - Co?

- Nie powiem.

- Mam ci powiedzieć?

- Ta-ak, ale kiedy indziej.

- Nie, teraz!

- Nie, nie teraz... Jutro.

- O nie, teraz Becky, proszę. Ja tylko szepnę, cichutko szepnę. Becky zawahała się. Tomek uznał milczenie za zgodę, objął ją jedną ręką w pól i wyszeptał wyznanie cichutko, z ustami tuż przy jej uchu. Potem dodał:

- Teraz ty mi szepnij... to samo.

Becky opierała się chwilę,, a potem powiedziała:

- Musisz się odwrócić i nie patrzeć na mnie, to powiem. Ale nie powtórzysz tego nikomu, pamiętaj, Tomku! Więc nie powiesz nikomu?

- Nie, nigdy, nigdy w życiu! No już, Becky...

Odwrócił się. Ona nachyliła się nieśmiało, aż jej oddech musnął jego włosy, i wyszeptała:

- Ko-cham cię! Potem odskoczyła i zaczęła uciekać między ławkami, a Tomek biegł za nią. Wreszcie schroniła się w kącie, zasłaniając sobie twarz białym fartuszkiem. Tomek objął ją za szyję i prosił:

- Becky, już po wszystkim, jeszcze tylko pocałunek. Nie bój się, to nic takiego. Becky, proszę cię!

Próbował zdjąć jej fartuszek i rękę z twarzy. Becky powoli ustępowała i opuszczała rękę. Ukazała się twarzyczka zaczerwieniona od szamotania się, i poddała się Tomkowi. Pocałował czerwone usteczka i powiedział:

- Już po wszystkim, Becky. Od tej chwili, pamiętaj, nie wolno ci kochać nikogo, tylko mnie, i nie wolno ci wyjść za innego, tylko za mnie, nigdy, przenigdy... Powiedz sama.

-Tak, nigdy nie będę kochała innego, tylko ciebie, Tomku, i nie wyjdę za nikogo, tylko za ciebie, a ty też nie ożenisz się z inną, tylko ze mną.

- Naturalnie, to jasne! Zawsze do szkoły i ze szkoły do domu musisz iść ze mną, gdy nikt nie będzie widział. We wszystkich grach będziesz wybierać mnie, a ja ciebie - tak postępują narzeczeni.

- Ach, to cudowne! Nigdy o tym przedtem nie słyszałam.

- To bardzo wesołe. Gdy ja i Amy Lawrence...

Wielkie oczy Becky powiedziały mu, że palnął głupstwo. Urwał zmieszany.

- Ach, Tomku. Więc ja nie jestem pierwszą, miałeś już narzeczoną! Zaczęła płakać.

- Nie płacz, Becky - powiedział Tomek - ona mnie już nie obchodzi.

- Nie, nie, ty sam wiesz, że tak nie jest!

Tomek chciał ją objąć za szyję, ale odepchnęła go, odwróciła się do ściany i płakała rzewnymi łzami. Tomek przysunął się do niej i starał się ją pocieszyć, ale znów został

odepchnięty. Obudziła się w nim duma, odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę stał przed szkołą w rozterce ducha, spoglądając ku drzwiom. Miał nadzieję, że Becky pożałuje swego postępu i wyjdzie do niego. Ale nie przychodziła. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, czuł, że to była jego wina. Stoczył ze sobą walkę. Ciężko mu było jeszcze raz wyciągnąć do niej rękę, ale wreszcie przemógł się i wrócił do klasy. Becky ciągle jeszcze stała w kącie twarzą do ściany i pochlipywała. Tomkowi serce omal nie pękło. Podszedł do niej i stał chwilę nie wiedząc, co począć, wreszcie powiedział nieśmiało:

- Becky, poza tobą naprawdę nikt mnie nie obchodzi. Nie było odpowiedzi - dziewczynka łkała.

- Becky! - błagał - Becky! Powiedz choć słówko. Znów łkanie.

Tomek wydobył największy swój skarb, mosiężną gałkę od kominka, podsunął jej przed oczy, żeby zobaczyła, i powiedział:

- Becky, chcesz to?

Becky strąciła gałkę na ziemię. Wówczas Tomek odmaszerował i poszedł, gdzie go oczy poniosły, by tego dnia już nie wrócić do szkoły.

Becky tknęło złe przecucie. Wybiegła, ale nigdzie nie było go widać, pobiegła na dziedziniec szkolny. Tomka nie było. Zaczęła wołać:

- Tomku, wróć! Tomku!

Nasłuchiwała, ale nikt nie odpowiedział. Cisza i pustka. Była sama. Usiadła, płakała i robiła sobie gorzkie wyrzuty, aż dzieci znów zaczęły się schodzić do szkoły. Musiała kryć swój ból i ukoić złamane serce. Dźwigała brzemień długiego, ponurego popołudnia, nie mając wśród obcych dzieci nikogo, z kim mogłaby podzielić się swym cierpieniem.

### **NIEUSTRASZENI PIRACI**

Tomek kluczył zaułkami, aż znalazł się w przyzwoitej odległości od szlaku, którym jego koledzy wracali do szkoły, i ociężałym krokiem ruszył w drogę. Dwa czy trzy razy przeszedł w bród strumień, ulegając rozpowszechnionemu wśród chłopców przesądowi, że przeprawa przez rzekę udaremnia pościg. W pół godziny później zniknął za willą pani Douglas na szczycie wzgórza Cardiff. Za jego plecami, daleko w dolinie majaczył budynek szkolny. Tomek wszedł w las, przez gęstwinę przedarł się do środka i usiadł na mchu pod rozłożystym dębem. Najlżejszy powiew nie poruszał liści, w zabójczym żarze południa zamarł nawet śpiew ptaków. Przyrodę ogarnęło nieme odrętwienie, nie przerywane żadnymi odgłosami: tylko od czasu do czasu z daleka dobiegało stukanie dzięcioła, które pogłębiało jeszcze wrażenie przejmującej ciszy i pustki. Dusza chłopca pograżyła się w smutku, jego uczucia nastrojone były na tę samą nutę co otoczenie. Długo siedział i dumał oparty łokcie na kolanach, a dłońmi podtrzymując podbródek. Uważał, że życie jest, w najlepszym razie, jednym pasmem udręk i niewiele brakowało, a byłby zazdrościł Jimowi Hodgesowi, który przed paru dniami rozstał się z życiem. Myślał sobie, że dobrze i słodko byłoby leżeć i śnić wiecznie, kiedy wiatr szepce w liściach drzew, pieści trawy i kwiaty na grobie, a człowiek wolny jest na zawsze od trosk i smutków.

Ba, gdyby tylko miał dobre świadectwo ze szkółki niedzielnej, chętnie by odszedł z tego świata i skończył z tym wszystkim. Weźmy na przykład tę dziewczynę. Co on jej zrobił? Nic. Miał przecież najuczciwsze w świecie zamiary, a ona postąpiła z nim jak z psem, jak z najgorszym kundlem. Kiedyś jeszcze tego pożałuje, ale wtedy będzie już za późno. Ach gdyby tak mógł na jakiś czas umrzeć!

Ale prężne młode serce nie da się ścisnąć na długo. Tomek zaczął pomału żeglować ku sprawom tego świata. Co by było, gdyby odwrócił się do niej plecami i zniknął w tajemniczy sposób? Gdyby tak pojechał daleko, hen, daleko, w nieznane zamorskie kraje - i nigdy już nie wrócił? Jak by ona wówczas wyglądała? Znowu przyszło mu na myśl, aby zostać kłownem, ale wnet napełniło go to niesmakiem. Płaskie dowcipy i pstre trykoty byłyby tylko zniewagą dla jego ducha, który uleciał w mgliste i szczęśliwe królestwo marzeń; Nie, zostanie żołnierzem i po wielu latach wróci sterany trudami wojny i okryty chwałą. Albo jeszcze lepiej: pójdzie do Indian, będzie polował na bizona, kroczył po ścieżkach wojennych, wśród dzikich gór i przez niezmiernie bezdrożne prairie Dzikiego Zachodu, aż kiedyś, kiedyś wróci jako wielki wódz najeżony orlimi piórami, okryty potwornym malowidłem wojennym. Pewnego gnuśnego ranka wpadnie do szkółki niedzielnej z mrozującym krew w żyłach okrzykiem wojennym na ustach, a kolegom oczy na wierzch wyjdą z zazdrości. Albo nie, jest jeszcze coś wspanialszego. Zostanie piratem! Otóż to właśnie. Teraz jasno widział swą przyszłość w blasku nieopisanej chwały. Imię jego rozstawi się na cały świat i wszyscy będą przed nim drżeli. Opromieniony sławą, prąd będzie wzburzone morze na swym długim,, wąskim, pomalowanym na czarno żaglowcu „Duch Burzy”, z czarną banderą powiewającą na maszcie! A gdy już stanie u szczytu sławy, zjawi się kiedyś niespodziewanie w swym rodzinnym miasteczku, brązowy, ogorzały od wicherów morskich, i wkroczy dumnie do kościoła w czarnym aksamitnym kaftanie i takich samych spodniach, w wielkich butach z cholewkami, przepasany szkarłatną szarfą, z kawaleryjskimi pistoletami za pasem, z pokrytym krwawą rdzą kordelasem u boku, w szerokim kapeluszu z, powiewającymi piórami, z rozwiniętą czarną chorągwią, na której widnieć będzie trupia czaszka i skrzyżowane piszczele - tak wejdzie i będzie pęczniał z dumy, słysząc szepty: „To jest pirat Tomek Sawyer; Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód!”

Tak, postanowione. Wybrał swą drogę życiową. Ucieknie z domu i zacznie nowe życie. Zrobi to jutro rano. Trzeba więc natychmiast przygotować się do drogi, przede wszystkim - zebrać środki materialne. Podeszedł do spróchniałego pnia i zaczął kopać pod nim swym szczyrzykiem marki Barlow. Wkrótce natrafił na drzewo, które wydało głuchy odgłos. Włożył rękę do dołka i zaintonował takie zaklęcie:

*Czego nie było - niech tu przybieży!*

*Co tu leżało - niech sobie leży!*

Potem rozkopał ręką ziemię; ukazała się sosnowa deszczułka. Wyciągnął ją i odkrył małą, zgrabną skrytkę z sosnowych deseczek. Leżała tam kula do gry. Zdziwienie Tomka nie miało granic! Zbity z tropu, podrapał się w głowę i powiedział:

- A to ładna historia!

Odrzucił kulę ze złością i głęboko się zamyślił. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że tym razem zawiodły czary, które on i jego koledzy uważali dotąd za niezawodne: wystarczy zakopać kulę i wymówić przy tym przepisane zaklęcie, a po dwóch tygodniach odkopać to miejsce, pod wtór słów, które Tomek przed chwilą wypowiedział, aby znaleźć tam wszystkie kule, jakie się kiedykolwiek zgubiło, choćby nie wiedzieć, jak były rozproszone. A tutaj nic z tego nie wyszło. Wiara Tomka zachwiała się w posadach. Tyle razy słyszał, że to się udawało, a nigdy nie słyszał, że skrewiło. Zapomniał, że sam już kilkakrotnie próbował tej sztuki i że się nie udało, bo nie mógł odnaleźć skrytki. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że musiała się tu wtrącić jakaś czarownica i wszystko popsuła. Postanowił to sprawdzić. Szukał dokoła, aż znalazł w piasku małe lejkowate zagłębienie. Położył się, przytknął usta do zagłębienia i zawołał:

*Powiedz mi, chrząszczu, powiedz mi, chrząszczu,  
to, co chciałbym wiedzieć!*

*Powiedz mi, chrząszczu, powiedz mi, chrząszczu,  
to, co chciałbym wiedzieć!*

Piasek zaczął się ruszać i ukazał się mały czarny chrząszcz, ale przestraszony zaraz się schował.

- Nic nie mówi! A więc to robota czarownicy. Od razu wiedziałem. Dobrze wiedział, że z czarownicami lepiej nie zaczynać, dał więc za

wygraną. Przyszło mu jednak na myśl, że mógłby przynajmniej zachować kulę, którą przed chwilą wyrzucił, rozpoczął więc cierpliwe poszukiwania. Ale nie mógł jej znaleźć. Wrócił do skarbcza, ustawił się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wyrzucił kulę, wyjął z kieszeni drugą i rzucił w tym samym kierunku mówiąc te słowa.

- Szukaj, bracie, brata!

Zapamiętał, gdzie kula upadła, poszedł tam i szukał. Musiała jednak upaść za blisko, albo za daleko. Powtórzył próbę jeszcze kilka razy, aż wreszcie się udało. Obie kule leżały o krok od siebie.

W tej właśnie chwili pod zielonym sklepieniem lasu rozległ się słaby dźwięk małej blaszanej trąbki. Tomek zrzucił z siebie bluzę i spodnie, przepasał się szelkami, odgarnął chrust leżący za spróchniałym pniem i wydobył z ukrycia łuk własnego wyrobu, strzałę, drewniany miecz i blaszaną trąbkę. Porwał to wszystko i bosy, w rozwianej koszuli, popędził przed siebie. Stał pod wysokim wiązem, zagrał odzew na trąbce, wznosił się na palcach i zza drzewa ostrożnie rozglądał się na wszystkie strony. Swej niby drużynie rzucił przez zęby rozkaz:

- Stanać, chłopcy! Kryć się, póki nie zatrabię!

Na widowni ukazał się Joe Harper, tak samo lekko odziany i również w pełnej zbroi. Tomek zawołał:

- Stój! Kto śmie wchodzić do lasu Sherwood bez mego pozwolenia?
- Guy z Guisborne nie potrzebuje niczyjego pozwolenia! A kto jesteś ty, który... który...
- .. śmiesz do mnie mówić w te słowa? - żwawo podpowiedział Tomek, gdyż mówili „z książki”, którą znali na pamięć.
- Kto jesteś ty, który śmiesz do mnie mówić w te słowa?
- Ja? Zaiste! Jam jest Robin Hood, o czym się wkrótce przekona twój nędzny zewłok!
- A więc to ty jesteś owym słynnym zbójcą? Rad zmierzę się z tobą i niechaj się rozstrzygnie, czyje będą drogi w tym uciśnym lesie. Nuże!

Dobyli drewnianych mieczy, resztę zbroi rzucili na ziemię, stanęli w pozycji szermierzy, noga przy nodze, i rozpoczęli poważny, systematyczny pojedynek - dwa uderzenia w górę, dwa w dół.

- No, skapowałeś już? Wal teraz śmiało! - zawołał Tomek.
- Obaj więc „walili śmiało”, aż się zziąjali i spocili. Wreszcie Tomek krzyknął:
- Padnij, padnij! Czemu nie padasz?
  - Nie chce mi się! Czemu ty sam nie padłeś? Przecież oberwałeś znacznie Więcej!
  - I co z tego? Ja nie mogę polec, bo tego nie ma w książce. Tam jest powiedziane: „Potem potężnym ciosem w plecy powalił nieszczęsnego Guya z Guisborne”. Musisz się odwrócić, a ja ci zadam cios w plecy.

Powaga drukowanego słowa była ogromna, Joe więc odwrócił się, otrzymał cios i padł. '

- A teraz - powiedział Joe wstając - pozwól, że ja cię zabiję. To mi się należy.
- Nie, to niemożliwe! Tego w książce nie ma.
- To jest zwyczajne świństwo, wiesz?
- Czekaj, Joe. Możesz być mnichem Tuckiem albo Muchem, synem młynarza, i obłożyć mnie kijem. Albo ja będę szeryfem z Nottingham, a ty chwilę Robin Hoodem, i zabijesz mnie.

To było do przyjęcia. Propozycje Tomka zostały wykonane. Następnie Tomek znów został Robin Hoodem i mniszka zdrajczyni nie przewiązała mu rany, by umarł z upływu krwi. Wreszcie Joe, który wyobrażał całą bandę zbójców, gorzko płacząc powlókł Robin Hooda po ziemi i wcisnął mu łuk i strzałę w słabnące ręce. Tomek powiedział:

- Gdzie padnie ta strzała, tam pochowacie biednego Robin Hooda pod zielonym drzewem.
- Wypuścił strzałę, padł na wznak i byłby umarł, gdyby nie trafił na pokrzywy i nie zerwał się na równe nogi, zbyt żywo jak na trupa.

Chłopcy ubrali się, pochowali swój oręż i poszli biadając, że nie ma już na świecie zbójców i nowoczesna cywilizacja niczym właściwie nie wyrównała im tej straty. Zgodzili się, że woleliby być przez jeden rok zbójcami w lasach Sherwood niż przez całe życie prezydentem Stanów Zjednoczonych.



## ZBRODNIA NA CMENTARZU

Owego wieczoru, jak zwykle, o godzinie pół do dziesiątej Tomek i Sid musieli iść spać. Zmówili pacierze i Sid wkrótce usnął. Tomek leżał z otwartymi oczami i drżał z niecierpliwości. Już mu się zdawało, że zbliża się świt, gdy usłyszał, jak zegar bije dziesiątą. Ogarnęła go rozpacz. Chciało mu się przewracać i rzucać na łóżku, ale bał się obudzić Sida. Leżał więc cicho i wpatrywał się w mrok. Dokoła panowała grobowa cisza. Pomału poczęły się z niej wyłaniać stłumione, ledwie dosłyszalne odgłosy. Najpierw dało się słyszeć tykanie zegara. Stare belki zaczęły trzeszczeć tajemniczo. Cichutko skrzypiały schody. Widocznie duchy chodziły po domu. Z pokoju ciotki dobiegało regularne stłumione chrapanie, potem zaczęło się natrętne ćwierkanie świerszcza -choćbyś pękł, nie dojdiesz, z której strony. Następnie upiorne kołatanie kornika w ścianie, tuż nad jego głową, przejęło go dreszczem, oznaczało ono, że czyjeś dni są policzone. Dalekie wycie psa przerwało nocną ciszę: odpowiedziało mu drugie, jeszcze dalsze.

Tomek był w śmiertelnym strachu. Wreszcie z ulgą stwierdził, że czas się skończył i rozpoczęła się wieczność. Choć opierał się jeszcze, pomału zasypiał. Zegar wybił jedenastą, ale Tomek już tego nie słyszał. Wtem, wśród jego beładnych jeszcze snów, ozwało się jakieś niezmiernie smutne miauczenie kota. W sąsiednim domu ktoś otworzył gwałtownie okno i Tomek się ocknął. Okrzyk: „Przeklęte kocisko!” i brzęk pustej butelki, rozbitej o tylną ścianę drewnianej ciotki, oprzytomniły go zupełnie. W ciągu minuty był ubrany, wyskoczył oknem i już posuwał się na czworakach po dachu przybudówki. Miauknął cicho raz czy dwa, po czym skoczył na dach drewnianej, a stamtąd na ziemię. Stał tam Huckleberry Finn ze swym zdechłym kotem. Chłopcy ruszyli w drogę i zniknęli w mroku nocy. Po upływie pół godziny brodzili już w bujnej trawie cmentarza.

Był to cmentarz podobny do wszystkich staroświeckich cmentarzy w zachodniej Ameryce. Leżał na wzgórzu w odległości półtorej mili od miasteczka. Otoczony był zmurszałymi sztachetami, przegiętymi na zewnątrz lub do środka, ale nigdzie nie stojącymi równo. Trawa i zielsko porastały bujnie cały cmentarz. Stare groby pozapadały się w ziemię, ani jeden nagrobek nie stał na swym miejscu jak należy. Półokrągłe, zbutwiałe, zjedzone przez robaki tabliczki pochylały się nad grobami, na próżno szukając oparcia. Kiedyś było na nich wypisane „Świętej pamięci...” takiego i takiego, ale dziś większość napisów była nieczytelna, nawet za dnia.

Wiatr cicho łkał w gałęziach drzew, a Tomek pomyślał ze strachem, że to dusze zmarłych skarżą się na tych, którzy mącą ich spokój. Mówili niewiele i tylko szeptem, bo czas, miejsce i uroczysta cisza działały na nich przygnębiająco. Znaleźli świeżo usypany, kanciasty grób, którego szukali, i ukryli się za trzema wysokimi wiązami rosnącymi nad grobem.

Czekali w milczeniu, a czas dłużył im się niezmiernie. Dalekie pohukiwanie puszczyka było jedynym głosem, który zakłócał grobową ciszę. Tomkowi było coraz bardziej nieswojo. Chciał koniecznie coś powiedzieć, szepnął więc cichutko:

- Powiedz, Huck, czy umarli cieszą się, żeśmy tu przyszli? Huck odpowiedział szeptem:

- A bo ja wiem? Strasznie tu, no nie?

- Chyba.

Nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której chłopcy borykali się ze swymi myślami.

Potem Tomek znów szepnął:

- Słuchaj, Huck, jak uważasz? Czy ten stary piernik Williams nas słyszy?

- Oczywiście, a przynajmniej jego dusza. Tomek po chwili:

- To szkoda, że nie powiedziałem: pan Williams. Ale nie chciałem go obrazić. Wszyscy mówili na niego „stary piernik”.

- Jak się mówi o zmarłych, trzeba na zimne dmuchać, Tomku.

To nie zachęcało do dalszej rozmowy i chłopcy znów zamilkli. Nagle Tomek chwycił przyjaciela za ramię i szepnął:

- Pssst!

- Co to, Tomku? - i obaj przylgnęli do siebie, a serca im łomotały.

- Pssst! Znowu! Nie słyszysz?

- Nie...

- Tam! Słyszysz teraz?

- O, Boże. Tomku, idą! Idą na pewno! Co robić?

- Nie wiem. Jak myślisz, zobaczą nas?

- Och, Tomku, może oni widzą w ciemności jak koty. Po cośmy tu przyszli?

- Och, czego się boisz? Chyba nie będą się nas czepiali. Nie zrobiliśmy im nic złego! Zresztą siedźmy cichutko, może w ogóle nas nie zauważą.

- Tak, Tomku, siedźmy cichutko. O, Boże! Trzęsę się ze strachu!

- Słyszysz?

Chłopcy pochylili głowy ku sobie i ledwie śmieli oddychać. Z drugiej strony cmentarza dolatywały jakieś stłumione głosy.

- Patrz, widzisz? - szepnął Tomek. - Co to?

- To ogień piekielny. Och, Tomku, to straszne.

Kilka niewyraźnych postaci zbliżało się do nich w mroku, kołysząc starą blaszaną latarnią, która sypała po cmentarzu niezliczonymi plamkami światła, małymi jak piegi. Huck wzdrygnął się i szepnął:

- To diabły! Na pewno! Trzy! O, Boże! Tomku, już nas nie ma. Umiesz się modlić?

- Spróbuję. Ale czego się boisz? Nic nam nie zrobią. Aniele Boży, stróżu mój...

- Pssst!

- Co znowu?

- To ludzie! Jeden przynajmniej jest człowiekiem. Poznaję głos starego Muffa Pottera.

- Co ty mówisz? Naprawdę?

- Załóż się! Tylko się nie ruszaj! Ten nas na pewno nie zobaczy. Jest pijany jak zwykle, stary opój.

- Dobrze, już będę cicho. Stanęli. Szukają czegoś. Nie mogą znaleźć. Znow idą tutaj. Ciepło. Zimno. Ciepło! Gorąco jak w piecu! Idą prosto na nas. Wiesz co, Huck, poznałem głos drugiego: To Metys Joe.

- Tak, to ten przeklęty mieszaniec! Wolałbym zobaczyć diabła. Czego oni tu chcą?

Szepty zamilkły, gdyż trzech mężczyźni doszli do grobu i zatrzymali się w odległości zaledwie kilku stóp od kryjówki chłopców.

- To tu - powiedział trzeci głos. Ten, który mówił, podniósł latarnię i w jej świetle chłopcy ujrzeli twarz młodego doktora Robinsona.

Potter i Indianin Joe nieśli maty, a na nich dwie łopaty i sznur. Rzucili ciężar na ziemię i zabrali się do rozkopywania grobu. Doktor postawił latarnię u wezłowia grobu i usiadłszy oparł się o pień wiązu. Był tak blisko, że chłopcy mogli go dotknąć palcem.

- Prędeży! - powiedział cichutko. - Lada chwila może ukazać się księżyc.

Tamci dwaj coś odburknęli i kopali dalej. Przez pewien czas słychać było tylko jednostajne zgrzytanie łopat i szelest wyrzucanej ziemi i żwiru. Wreszcie trumna uderzona łopata wydała głuchy, drewniany odgłos. W chwilę potem wydobyli ją na wierzch, podważyli łopatami wieko, wyciągnęli trupa i brutalnie rzucili go na ziemię. Księżyc wynurzył się zza chmur i oświetlił blade lica zmarłego. Ustawili nosze, ułożyli na nich zwłoki, nakryli je płachtą i przywiązali sznurem. Potter wyciągnął duży nóż sprężynowy i uciął kawałek zwisającego sznura.

- Gotowe - rzekł. - Cholera nie robota. Możesz pan piłować kości, ile dusza zapragnie. Wyciągnij pan jeszcze piątkę, bo go tu zostawim.

- Święte słowa! - dodał Indianin.

- Słuchajcie, co to znaczy? - powiedział doktor. - Przecież zażądaliście zapłaty z góry i wszystkoście dostali.

- O, tak, i jeszcze coś dostałem - odparł Indianin podchodząc do doktora, który wstał z miejsca. - Przed pięciu laty pewnego wieczoru wypędziłeś mnie jak psa z kuchni twojego ojca, gdym prosił o kawałek chleba. Powiedziałaś, że przyszedłem w złych zamiarach. A kiedy przysiągłem, że się kiedyś z tobą porachuję, choćby za sto lat, ojciec twój kazał mnie zamknąć jak włóczęgę. Czyś myślał, że zapomnę? Nie darmo płynie we mnie indiańska krew. Teraz wpadłeś w moje ręce i zapłacisz mi za tamto, rozumiesz?

Mówiąc to wygrażał doktorowi pięścią przed samym nosem. Nagle doktor jednym uderzeniem powalił łotra na ziemię. Potter wypuścił nóż z ręki i krzyknął:

- Co? Bijesz mego kolegę? - i rzucił się na doktora.

Zwarli się ze sobą z całych sił, gnietli trawę i ryli obcasami ziemię. Joe zerwał się na nogi, oczy płonęły mu nienawiścią. Chwycił nóż Pottera. Skradał się kocimi ruchami, obchodził walczących i wypatrywał odpowiedniej chwili. Nagle doktor wyrwał się z rąk Pottera, chwycił ciężką tablicę z grobu Williamsa i wyrzucił ją przeciwnika w głowę. Potter zwał się na ziemię. W tej samej chwili mieszaniec wbił młodzieńcowi w pierś nóż aż po rękojeść. Doktor zachwiał się i runął na Pottera, brocząc na niego krwią. Chmura przysłoniła potworny widok i zrobiło się ciemno. Przerażeni chłopcy rzucili się na oślep do ucieczki.

Gdy księżyc znów wypłynął, Indianin stał nad dwoma leżącymi ciałami i patrzył. Doktor bełkotał przez krótką chwilę, potem dwa razy głęboko westchnął i ucichł. Mieszaniec warknął:

- Rachunek wyrównany, ty psie!

Potem obrabował zwłoki, wcisnął zdradziecki nóż w otwartą prawą dłoń Pottera i usiadł na rozbitej trumnie. Minęły trzy, cztery, pięć minut... Potter począł się ruszać i jęczeć. Ścisnął nóż w rękę, podniósł go do oczu, obejrzał, zadrżał z przerażenia i upuścił na ziemię. Podniósł się, spychając z siebie ciało zabitego, potem błędnym wzrokiem patrzył na niego i rozglądał się wokół. Wzrok jego spotkał się z oczyma Joe'ego.

- O, Boże! Co to znaczy, Joe? - zapytał.

- Mokra robota - odparł Joe nie ruszając się z miejsca. - Dlaczegoś to zrobił?

- Ja? Ja tego nie zrobiłem!

- Daj spokój. Gadaniem nie obmyjesz się z krwi. Potter zadrżał i zbladł.

- Myślałem, że już wytrzeźwiałem. Po com tyle piłem dziś wieczór. Jeszcze teraz szumi mi w głowie, więcej niż kiedyśmy szli tutaj. Tak mi się we łbie kręci, że niczego sobie nie mogę przypomnieć. Powiedz mi, Joe, mój stary, ale uczciwie: czy ja to naprawdę zrobiłem? Ja tego nie chciałem, Joe, niech mnie piekło pochłonie, słowo honoru daję - nie chciałem! Joe, powiedz, jak to było? Och, to straszne! Taki młody, życie miał przed sobą!

- No cóż, biliście się, on cię uderzył deską i zwałeś się jak długi. Potem podniosłeś się, trochę się chwiałeś i zataczałeś. Porwałeś nóż i wpakowałeś mu w pierś, właśnie gdy walił cię w łeb po raz drugi. I tak żeś tu leżał martwy jak kłoda, aż do tej chwili.

- Ach, nie wiedziałem, co robię. Niech skonam, jeśli wiedziałem. Wszystkiemu winna wódka i słabe nerwy. Nigdy w życiu nie użyłem noża w bójce. Biłem się nieraz, ale nigdy na noże. Wszyscy to poświadczą. Joe, ty mnie nie wydasz! Joe powiedz, że mnie nie zdradzisz! Ty jesteś porządny chłop. Zawsze cię lubiłem i broniłem. Pamiętasz? Nie wydasz, prawda, Joe?

Nieszczęsny Potter rzucił się na kolana przed zimnym mordercą i złożył przed nim ręce jak do modlitwy.

- Słuchaj, Potter, nic mi złego nie zrobiłeś, ja cię nie wydam. Tyle ci mogę uczciwie powiedzieć.

- Ach, Joe, jesteś anioł, nie człowiek... Będę cię za to błogosławił przez całe życie!

Potter zalał się łzami.

- No, dość tego. Nie czas teraz, żebyś się tu mazał. Uciekaj tędy, a ja pójdę tam. Jazda! Żebyś tylko śladów za sobą nie zostawił!

Potter szedł najpierw szybkim krokiem, a potem puścił się biegiem. Mieszaniec patrzył za nim przez chwilę, wreszcie mruknął do siebie:

- Zdaje się, że uderzenie dobrze go zamoczyło, a rum jeszcze mu z głowy nie wyszumiał. Chyba nie przypomni sobie teraz o nożu, a gdy już będzie daleko, nie odważy się wrócić na cmentarz sam - boi się własnego cienia!

W kilka minut potem jeden tylko księżyc spoglądał na ciało zamordowanego, nakryte płachtą zwłoki, trumnę bez wieka i otwarty grób. Zapadła znów głęboka cisza.

### **ZŁOWRÓŻBNE WYCIE PSA**

Chłopcy, zdjęci niemyim przerażeniem, gnali bez tchu w stronę miasteczka. Od czasu do czasu rzucali za siebie wystraszone spojrzenia, jakby w obawie, że ktoś ich ściga. Każdy pień wynurzający się na drodze przybierał w ich oczach ludzkie kształty, groził im, zapierał dech w piersiach. Gdy mijali domki rozrzucone na skraju miasteczka, ujadanie zbudzonych psów dodało skrzydeł ich nogom.

- Żeby się tylko dostać do starej garbarni, zanim padniemy! - szepnął Tomek dysząc po każdym słowie. - Ja już nie mogę dalej.

Ciężkie sapanie Hucka było jedyną odpowiedzią. Z oczami utkwionymi w zbawczą garbarnię dobywali resztek sił. Cel ich wysiłków coraz bardziej się zbliżał, aż wreszcie wpadli razem w otwartą bramę i runęli na ziemię do cna wyczerpani, lecz szczęśliwi, że okrył ich mrok garbarni. Kiedy już nieco odetchnęli, Tomek szepnął:

- Huck, powiedz, co z tego będzie?

- Jeśli doktor Robinson umrze, to będzie z tego strybek.

- Tak uważasz?

- Nie, nie uważam, tylko wiem. Tomek myślał chwilę, potem rzekł;

- Ale kto o tym doniesie? My?

- Co ty pleciesz! Może coś się stać, że nie powieszą Indianina, a wtedy on nas prędzej czy później zamorduje. To jest pewne tak samo jak to, że tu teraz leżymy.

- Właśnie to samo sobie myślałem.

- Jeśli ktoś ma donieść, niech to zrobi Potter. To dureń i do tego wiecznie pijany.

Tomek myślał chwilę, a potem szepnął:

- Huck, przecież Potter nic o tym nie wie. Jakże mógłby oskarżyć Joe'ego?

- Dlaczegoż to nic nie wie?

- Dlatego, że leżał nieprzytomny, gdy Indianin to zrobił. Czy myślisz, że mógł coś widzieć? Że on coś wie?

- Na rany koguta, Tomku, to prawda!  
- A zresztą, wiesz co, może tak dostał, że już się nie pozbierał?  
- To niemożliwe, Tomku! Był zalany, sam to widziałem. Zresztą on zawsze jest zalany. Gdy mój tatunio sobie podpije, możesz mu cały kościół na głowę zwalić, nic mu nie zrobisz. Sam to mówi. Podobnie, oczywiście, ma się rzecz z Potterem. Gdyby był zupełnie trzeźwy, to chyba miałby dość. Zresztą, bo ja wiem?

Po chwili namysłu Tomek powiedział:

- Huck, czy potrafisz trzymać język za zębami?  
- Musimy obaj milczeć, Tomku. Sam wiesz. Ten gałgan Indianin bez skrupułów utopi nas jak parę kociaków, jeśli puścimy parę z ust, a on uniknie stryczka. Słuchaj, musimy sobie przysiąc, że nie piśniemy ani słówka.

- Zgadzam się z tobą, Huck. Tak będzie najlepiej. Podnieś rękę i przysięgnij, że...  
- O nie, taka przysięga tu się nie nadaje. To jest w sam raz w drobnych sprawach, na przykład z dziewczętami, bo one lubią wykręcać się cudzym kosztem i jak wpadną, to sypią innych. Ale w takiej poważnej sprawie przysięga musi być spisana. I to krwią.

Tomek głęboko przyklasnął pomysłowi, który był głęboki, ciemny i budził grozę. Myśl Hucka odpowiadała nocnej godzinie, okolicznościom sprawy i otoczeniu, w jakim się znajdowali. Tomek podniósł z ziemi czystą deszczułkę, która białała w świetle księżyca, wyjął z kieszeni kawałek minii, usiadł tak, aby światło padało na deszczułkę, i z trudem nagryzmolił następujące słowa (przygryzając język, gdy pismo szło w dół, a wysuwając go, gdy szło do góry):

Huck nie mógł się nadziwić, że Tomek pisze z taką łatwością i tak pięknie. Wyjął szpilkę z klapy marynarki i już miał ukłuć się w palec, gdy Tomek zawołał:

- Stój! Nie rób tego! Szpilka jest z miedzi, może być w niej grynszpan.  
- Co to jest grynszpan?  
- Trucizna. Rozumiesz? Połknij tylko, a zobaczysz!

Tomek odwinął nitkę z jednej ze swych igieł, po czym obaj ukłuli się w duży palec i wycisnęli po kropli krwi. Po długim naciskaniu udało się Tomkowi napisać małym palcem swoje inicjały. Potem pokazał Huckowi, jak się pisze H i F - i akt przysięgi był gotów. Wśród groźnych ceremonii i zaklęć zakopali deszczułkę pod samą ścianą. Oznaczało to, że usta mieli teraz zamknięte na kłódkę, a klucze zostały wyrzucone.

Jakaś postać przemknęła się chyłkiem przez otwór po drugiej stronie ruin budynku, lecz chłopcy nic nie zauważyli.

- Tomek - szepnął Huck - czy to nas zmusza do milczenia na zawsze?  
- Jasna rzecz. Cokolwiek się stanie, musimy milczeć jak zaklęci. Inaczej padniemy trupem, sam chyba wiesz.

- Tak, wiem.

Jakiś czas jeszcze szeptali coś do siebie. Nagle przed garbarnią, parę kroków od nich, jakiś pies zawył przeciągle i złowieszczo. Śmiertelnie przerażeni przytulili się do siebie.

- Którego z nas ma na myśli? - szepnął Huck.

- Nie wiem. Wyjrzyj przez otwór, prędko!

- Nie, ty wyjrzyj!

- Ja nie mogę, Huck, nie mogę!

- Proszę cię, Tomku! O, znowu!

- Och, Bogu dzięki! - szepnął Tomek. - Znam głos tego psa. To Buli Harbison!\*

- To dobrze. Mówię ci, o mało nie umarłem ze strachu. Byłbym przysięgł, że to BEZPAŃSKI PIES.

Pies zawył po raz wtóry. Chłopcy znów zamarli z przerażenia.

- O, Boże! To nie jest Bull Harbison! - szepnął Huck. - Tomku, patrz!

Drżąc ze strachu, Tomek usłuchał i przyłożył oko do otworu. Ledwie dosłyszalnym szeptem powiedział:

- Och, Huck, to BEZPAŃSKI PIES.

- Prędko, Tomku, prędko. Komu on wyje?

- Z pewnością nam obu, bo przecież jesteśmy razem!

- Och, Tomku, wybiła nasza godzina. Szkoda każdego słowa, wiem, dokąd pójdę po śmierci. Wielkim byłem grzesznikiem.

- Aleśmy wpadli! Widzisz, tak kończą ci, którzy chodzą na wagary i nie słuchają starszych. A mogłem być grzeczny, jak na przykład Sid, gdybym tylko chciał, ale nie -nie chciało mi się, oczywiście! Jeśli jednak wyjdę stąd żywy, słowo daję, że przez całe życie będę chodził do niedzielnej szkółki!

I Tomek zaczął z lekka popłakiwać.

- Co tam ty! - Huck też pociągał nosem. - Daj spokój, ty jesteś aniołek w porównaniu ze mną. O, mój Boże! Żebym miał choć połowę tych widoków na zbawienie duszy.

Tomek nagle przestał szlochać i szepnął:

- Patrz, Huck, on siedzi tyłem do nas! Huck wyjrzał i radość wypełniła mu serce.

- O, rany! Rzeczywiście tyłem. A przedtem jak siedział? .

\* Gdyby pan Harbison miał niewolnika imieniem Buli, Tomek mówiłby o nim „Buli Harbisona”, ale syn lub pies tego imienia nazywał się „Buli Harbison” (przyp. autora).

- Tak samo. Że też o tym nie pomyślałem. A to osioł ze mnie. Wiesz, byczo jest! Ale komu on wyje?

Wycie zamilkło. Tomek nadstawił uszu.

- Pssst! Co to może być?

- Coś jakby świnia chrząkała. Nie, Tomku, to ktoś chrapie.

- Tak! Ale gdzie to może być, Huck?

- Zdaje mi się, że tam po drugiej stronie. Tak, chyba tam. Mój tatuś czasem tu sypiał razem ze świniami, ale jak on chrapie, to rany boskie, dom się trzęsie! Zresztą tata już chyba nigdy nie wróci do naszego miasta.

W chłopcach znów odezwała się awanturnicza żyłka.

- Huck, pójdiesz ze mną?

- Wiesz, wolałbym nie. To może być Indianin Joe!

Strach obleciał Tomka. Ale pokusa była zbyt wielka. Postanowił zobaczyć, co to jest, i dać nogę gdyby chrapanie ustało. Zaczęli się skradać na palcach, jeden za drugim. Gdy się znaleźli w odległości pięciu kroków od chrapiącego, Tomek stąpnął na gałąź, która złamała się z głośnym traskiem. Śpiący stęknął i skulił się tak, że światło księżyca padło na jego twarz. Był to Muff Potter. Gdy się poruszył, serca zamarły im z przerażenia - teraz ochłonęli. Wyszli na palcach za rozwalony mur i nieco dalej zatrzymali się, by zamienić parę słów na pożegnanie. Przeciągłe, żalosne wycie znów rozległo się wśród ciemności. Odwrócili się i zobaczyli obcego psa, który stał o kilka kroków od legowiska Pottera i wył z zadartym ku niebu pyskiem.

- O, Boże, marny jego los! - krzyknęli razem chłopcy.

- Wiesz co - powiedział Huck - ludzie mówią, że dwa tygodnie temu jakiś bezpański pies wył o północy pod domem Johnny'ego Millera i tej samej nocy przyleciał puszczyk, siadł na balustradzie i hukał, a przecież nikt tam do dziś nie umarł.

- Tak, wiem o tym. I co z tego? A wiesz, że tydzień temu, w sobotę, Gracja Miller upadła na rozżarzoną blachę w kuchni i strasznie się poparzyła?

- No tak, ale nie umarła. A nawet ma się już lepiej.

- Doskonale! Poczekaj, a zobaczysz. Przyjdzie na nią kreska, tak samo jak na Muffa Pottera. Mówią to Murzyni, a oni już dobrze się na tym znają.

Chłopcy rozeszli się, obaj bardzo zamyśleni.

Świtało, gdy Tomek wśliznął się przez okno sypialni. Rozebrał się jak najostrożniej i zasnął gratulując sobie, że nikt nie wie o jego nocnej wycieczce. Nie domyślał się, że pochrapujący Sid nie śpi już od godziny.

Gdy się obudził, Sid już się ubrał i wyszedł. W świetle słońca i w powietrzu było coś, co świadczyło, że jest już bardzo późno. Tknęło go złe przeczucie. Dlaczego go nie obudzili, nie czepiali się jak zwykle, póki nie wstał? Tak, coś niedobrego wisiało w powietrzu. W pięć minut ubrał się i szedł na dół. Czuł się źle i był niewyspany. Wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, ale już było po śniadaniu. Nie usłyszał jednak złego słowa. Ale odwrócone na niego oczy, ogólne milczenie i jakiś uroczysty nastrój przeszyły dreszczem serce winowajcy. Siadł za stołem i



udawał wesołego - szło mu jak po grudzie. Nikt mu nie odpowiadał ani się nie uśmiechnął. Zamilkł, a serce jego pograżyło się w otchłani smutku.

Po śniadaniu ciotka wzięła go na bok. Odetchnął z ulgą, bo był pewien, że dostanie w skórę. Ale stało się inaczej. Ciotka płakała i pytała się, jak on może tak pomiatać jej starym sercem, powiedziała, żeby robił tak dalej, żeby sam się zmarnował, a ją, posiwiałą od zgryzoty, wpędził do grobu, bo szkoda już dla niego czasu i atłasu. To było gorsze niż tysiąc kijów; serce bolało Tomka więcej, niżby go bolało co innego. Płakał i błagał o przebaczenie i raz po raz przyrzekał poprawę. Został wreszcie odprawiony, ale czuł, że otrzymał tylko częściowe rozgrzeszenie i że nie bardzo mu wierzą.

Wyszedł z tej rozmowy tak złamany, że nie miał nawet ochoty do zemsty na Sidzie. Dlatego też tamten niepotrzebnie zwiął w popłochu tylnymi drzwiami. Tomek powlókł się do szkoły posępny i smutny. Dostał razem z Joe'em Harperem lanie za to, że poprzedniego dnia poszedł na wagary, ale przyjął je z miną człowieka, który ma poważniejsze zmartwienia, i nie zwraca uwagi na głupstwa. Potem usiadł na swoim miejscu, oparł łokcie na ławce, schował twarz w dłoniach i wpatrywał się w ścianę skamieniałym wzrokiem męczennika, którego cierpienie doszło już do dna i tam się zatrzymało. Pod łokciem poczuł jakiś twardy przedmiot. Po długiej chwili, powoli, ze zbolałą miną zmienił pozycję, westchnął i wziął ów przedmiot do ręki. Był zawinięty w papier. Rozwinął opakowanie. Nastąpiło przeciągłe, tęskne i potężne westchnienie - serce mu pękło. Była to jego miedziana gałka!

Stała się przysłowiowym piórkim, pod którym ugiął się objuczony wielbłąd.

### **SUMIENIE NIE DAJE TOMKOWI SPOKOJU**

Koło południa całe miasteczko zostało zelektryzowane straszną nowiną. Chociaż w owych czasach nikomu się jeszcze nie śniło o telegrafii, wieść podawana z ust do ust biegła od jednej grupy ciekawych do drugiej, od domu do domu z szybkością niemal telegraficzną. Nauczyciel, oczywiście, zwolnił dzieci po południu od nauki; całe miasteczko miałoby mu za złe, gdyby tego nie zrobił.

Obok ciała zamordowanego znaleziono skrwawiony nóż, w którym, jak mówiono, ktoś rozpoznał własność Muffa Pottera. Opowiadano też, że jakiś zapóźniony obywatel widział, jak Potter o godzinie pierwszej czy drugiej nad ranem mył się w potoku, a na jego widok rzucił się do ucieczki. Były to poważne poszlaki, tym bardziej że mycie nie należało do zwyczajów Pottera. Dalej mówiło się, że przetrząsnięto już całe miasto w poszukiwaniu „mordercy” (ludzie, jak wiadomo, nie bawią się długo z dowodami winy i szybko wydają wyroki), lecz jeszcze go nie ujęto. Policja konna rozjechała się na wszystkie strony i szeryf był pewny, że zbrodniarz jeszcze przed zapadnięciem nocy zostanie schwytany.

Całe miasto wyległo na cmentarz. Tomek zapomniał o tym, że serce mu pękło, i przyłączył się do procesji. Wprawdzie tysiąc razy wolałby iść gdzie indziej, ale jakaś nieprzeparta, niezrozumiała siła ciągnęła go na cmentarz. Po przybyciu na miejsce przestępstwa przycisnął

się przez tłum i ujrzał straszny widok. Zdawało mu się, że sto lat minęło od chwili, gdy był tutaj.

Ktoś uszczypnął go w ramię. Odwrócił się i jego wzrok spotkał się ze Spojrzeniem Hucka. Patrzyli każdy w inną stronę w obawie, że ktoś może wyczytać prawdę w ich oczach. Wszyscy jednak rozprawiali o zbrodni i nie odrywali oczu od strasznego widoku.

- Biedaczysko!
- Taki młody!
- To jest nauczka dla tych, którzy okradają groby!
- Muff Potter będzie wisiał, jeżeli go złapią! Tak mówili ludzie, pastor zaś rzekł:
- Oto wyrok niebios, oto karząca dłoń Boga!

Nagle Tomek zadrżał od stóp do głowy: wzrok jego padł na obojętną twarz Indianina Joe'ego.

W tej chwili tłum się zakotłosał, powstał ścisk i dały się słyszeć głosy:

- To on! To on! Sam tu idzie!
- Kto? Kto? - wołali inni. - MuffPotter!
- Widzicie? Zatrzymał się! Patrzcie! Wraca! Trzymać go.

Ludzie, którzy siedzieli na gałęziach drzew nad głową Tomka, krzyknęli, że Potter wcale nie próbuje uciekać, że jest tylko wystraszony i oszołomiony.

- Szatański bezwstyd - powiedział ktoś ze stojących obok. - Chciał tu przyjść i z zimną krwią patrzeć na swoje dzieło! Nie spodziewał się pewnie, że spotka tu ludzi.

Tłum rozstał się i przepuścił szeryfa, który przeszedł środkiem, z poważną miną ciągnąc za rękę Pottera. Na twarzy nieszczęśnika malowało się przygnębienie, a z oczu wodziła trwoga. Kiedy stanął przed zwłokami zamordowanego, zatrzęsł się jak w konwulsjach, ukrył twarz w dłoniach i zalał się łzami.

- Ja tego nie zrobiłem, ludzie kochani - powiedział płacząc. - Wierzcie mi, uczciwie mówię, ja tego nie zrobiłem.

- A któż cię o to oskarża? - krzyknął ktoś z tłumu.

Głos ten jak kula utkwiał w celu. Potter odjął ręce od twarzy i rozejrzał się wokół z wyrazem wstrząsającej rozpacz. Nagle spostrzegł Indianina i zawołał:

- Och, Joe, przyrzekłeś mi, że nigdy...
- Czy to twój nóż? - zapytał szeryf podsuwając mu nóż przed oczy.

Potter byłby upadł, gdyby go ludzie nie podtrzymali i nie posadzili na ziemi.

- Jakiś głos mówił mi - odezwał się po chwili - że jeśli tu nie wrócę i nie zabiorę... - Zadrżał. Bezradnie machnął ręką, jakby na znak, że się poddaje, i rzekł: - Powiedz im, Joe, powiedz... nie ma innej rady.

Huck i Tomek stali jak wryci i z szeroko otwartymi oczami słuchali zeznań Joe'ego, które ten kłamca bez serca i bez sumienia składał najspokojniej w świecie. Myśleli, że lada chwila piorun z jasnego nieba uderzy w tego nędznika, i dziwili się, że tak długo stał przed nimi cały i zdrów, ich nieśmiały zamiar- złamać przysięgę i ocalić życie biednemu, oszukanemu więźniowi - zbladł i rozwiął się jak dym. Doszli bowiem do wniosku, że zbrodniarz Joe po prostu zaprzedał duszę diabłu, ten więc, kto by go ruszył, okropnie by się naraził mocom piekielnym.

- Dlaczego nie uciekłeś? Po coś tu przyszedł? - zapytał ktoś Pottera.

- Nie mogłem... nie mogłem... - jęczał Potter. - Chciałem uciekać, ale nogi same mnie tu przyniosły. - I znów się rozpłakał.

Parę minut później, w czasie przesłuchania pod przysięgą Joe z takim samym spokojem powtórzył swoje zeznanie. I tym razem piorun go nie spalił, co ostatecznie upewniło chłopców, że musiał zaprzedać się diabłu. Tym razem Joe stał się dla nich najstraszliwszym i najciekawszym człowiekiem na świecie. Nie mogli wprost oderwać od niego oczu.

W duchu postanowili śledzić go po nocach, ilekroć nadarzy się sposobność, aby chociaż na jedno oko ujrzyć jego straszliwego pana. Joe pomógł dźwignąć ciało zamordowanego i położyć na wóz, który miał je zabrać. Tłum zadrżał z przerażenia; ludzie szeptali, że rana lekko krwawi. Chłopcy myśleli, że może skieruje to podejrzenie we właściwą stronę, ale zawiedli się, gdyż ludziska tak sobie to wytłumaczyli: - Krew się pokazała, bo przy zwłokach stał Potter.

Tomek, pod grozą straszliwej tajemnicy i wyrzutów sumienia, nie mógł spać przez cały tydzień. Pewnego rana przy śniadaniu Sid powiedział:

- Tak się rzucasz w nocy i tyle gadasz przez sen, że nie dajesz mi spać.

Tomek zbladł i spuścił oczy.

- To zły znak - powiedziała ciotka z powagą. - Co ci dolega, Tomku?

- Nic. Właściwie nic - odparł Tomek, ale ręka mu tak drżała, że rozlał kawę.

-I wygadujesz takie głupstwa - powiedział Sid. - Dziś w nocy wołałeś: „To krew! To krew! Widzisz przecież, że to krew!" Powtarzałeś to w kółko. A potem wołałeś znowu: „Nie męczcie mnie tak, powiem wszystko!" Co powiesz? Coś chciał powiedzieć?

Tomkowi zawirowało przed oczami. Nie wiadomo, co by z tego wynikło, ale na szczęście oblicze ciotki rozpogodziło się i sama o tym nie wiedząc, przyszła Tomkowi z pomocą.

- Oj, tak! - powiedziała. - To przecież to okropne morderstwo! Mnie też się to ciągle śni. Czasem śni mi się nawet, że sama zamordowałam.

Mary wtrąciła, że też bardzo się tym przejęła. Sid niby to dał za wygraną. Tomek czym prędzej się ulotnił. Potem przez cały tydzień skarżył się na ból zębów, a idąc spać owijał sobie twarz chustką. Nie wiedział jednak, że Sid czuwa po nocach, że zdejmuje mu z twarzy chustkę i wsparty na łokciu długo nasłuchuje jego majaczeń, a potem znów zakłada mu chustkę. Powoli niepokój wewnętrzny Tomka przechodził, a ból zębów znudził mu się i został

poniechany. Jeżeli Sidowi udało się coś sklecić z sennych majaczyń Tomka, zachował to dla siebie.

Tomkowi zdawało się, że koledzy już nigdy nie przestaną bawić się w śledztwo w sprawie zdechłego kota i nie pozwolą mu zapomnieć o jego udręce. Sid zauważył, że Tomek ani razu nie grał roli sędziego śledczego, chociaż dotąd miał zwyczaj przewodzić we wszystkich nowych imprezach. Zauważył też, że Tomek nie występował nawet w roli świadka, a to było już co najmniej dziwne. Nie uszło wreszcie jego uwagi, iż brat odnosił się z wyraźną odrazą do zabawy w śledztwo i unikał jej, jak mógł. Sid dziwił się wielce, ale nic nie mówił. Wreszcie zabawa w śledztwo wyszła z mody i przestała dręczyć sumienie Tomka.

W owych ciężkich dla Tomka czasach biedny chłopak wypatrywał codziennie albo przynajmniej co drugi dzień odpowiedniej chwili, aby się zakraść do małego zakratowanego okienka więzienia i podrzucić „mordercy” jakiś drobny podarunek. Więzienie było małym domkiem z cegły, stojącym tuż za miastem, na bagnistym gruncie. Nie było strzeżone, gdyż rzadko ktoś tam siedział. Podarunki składane więźniowi przynosiły ulgę sumieniu Tomka.

Mieszkańcy miasteczka mieli wielką ochotę oblać Indianina smołą, wytarzać go w pierzu i powozić trochę na taczkach za znieważenie zwłok. Ale tak się go wszyscy bali, że nikt się nie podjął roli mistrza ceremonii; i sprawa utknęła na martwym punkcie. Zresztą Joe swoje zeznania w śledztwie rozpoczynał przezornie od opisu bójki, nie wspominając ani słowem o ograbieniu mogiły, które bójkę poprzedziło. Wobec tego uznano za rzecz najrozsądniejszą na razie nie wytaczać mu sprawy przed sądem.

### **KOT I „MORDERCA CIERPIEŃ”**

Tajemne niepokoje, które dręczyły Tomka, pierzchły pod wpływem nowego, bardzo poważnego zmartwienia. Becky Thatcher nie przychodziła do szkoły. Kilka dni zmagał się Tomek ze swą dumą, chciał „gwizdnąć” na Becky, ale nie dał rady. Skończył na tym, że kręcił się w nocy koło domu jej ojca i czuł się bardzo nieszczęśliwy. Była chora. A gdyby umarła? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Nic już go nie obchodziła wojna ani nawet piraci. Życie straciło cały urok, pozostała tylko straszliwa pustka. Porzucił kółko i kijek - nie dawały mu już zadowolenia.

Ciotka była zmartwiona. Zaczęła stosować rozmaite leki. Należała do tych, którzy ślepo wierzą w każde opatentowane lekarstwo, i wszelkie nowinki medyczne, co to wzmacniają organizm i usuwają dolegliwości. Była niezmordowana w eksperymentach na tym polu. Gdy tylko ukazało się coś nowego z tej dziedziny, nie spoczęła, póki nie wypróbowała - nie na sobie, gdyż była zdrowa jak ryba, ale na kimkolwiek, kto jej wpadł w rękę. Abonowała wszystkie czasopisma „medyczne” i inne bujdy na resorach z dziedziny „frenologii”. Upajała się uroczystą powagą, jaką nadęte były te pisma. Świącie wierzyła w bzdury, jakie tam wypisywano na następujące tematy: jak wietrzyć mieszkanie, jak udawać się na spoczynek, jak wstawać, co jeść, co pić, jak zażywać ruchu, w jakim nastroju utrzymywać umysł, jak się ubierać itd. Dlatego też nie zauważyła, że bieżąca prasa lekarska ma zwyczaj przestrzegać

przed tym wszystkim, co przed miesiącem zalecała. Była naiwna i łatwowierna jak dziecko i nietrudno ją było nabrać na fundusz. Gromadziła szalbiercze pisma oraz oszukańcze leki i ze śmierć w zawody gnała na swym koniu, a piekło ją ścigało -jeśli wolno nam użyć tej przenośni. Nigdy jej na myśl nie przyszło, że nie jest dla cierpiących sąsiadów ani aniołem pocieszenia, ani balsamem niebiańskim, przebrany za ciocię Poicie.

Obecnie ostatnią nowością było wodolecznictwo, toteż kiepska kondycja Tomka była dla cioci nie lada gratką. Codziennie wywlekała go o świcie, stawiała w drewnutni, wylewała na niego cały potop zimnej wody, nacierała ręcznikiem szorstkim i ostrym jak pilnik, prowadziła do domu, owijała mokrym prześcieradłem, pakowała pod stertę kołder i trzymała tam aż do siódmych potów, z którymi „wszystkie grzechy wylażyły jak żółte plamy” - wedle słów Tomka.

Nic to jednak nie pomagało. Chłopak był coraz smutniejszy, bledszy i coraz bardziej zniechęcony do życia. Ciotka dodała gorące kąpiele, nasiadówki, natryski i nurzanie w wodzie. Chłopiec był ponury jak katafalk. Starła się dopomóc wodzie kleikiem z płatków owsianych i gorącymi okładami. Błędnie oceniając pojemność Tomka lała w niego co dzień najrozmaitsze cudowne leki, czyli świństwa, jakby był kubłem, a nie dzieckiem.

Tomek znosił te prześladowania obojętnie, co wielce zaniepokoiło starszą panią. Obojętność musiała być złamana za wszelką cenę. W tym właśnie czasie dowiedziała się o istnieniu „mordercy cierpień”. Zamówiła od razu większą ilość tego leku. Spróbowała i serce jej wezbrało wdzięcznością: był to po prostu ogień w płynie. Natychmiast przerwała kurację wodną i wszystkie inne. Teraz całą nadzieję pokładała tylko w „mordercy cierpień”. Dała Tomkowi pełną łyżeczkę od herbaty tego leku i czekała na wynik drżąc z niepokoju. W mgnieniu oka ukoił się zamęt w jej sercu; obojętność Tomka przeszła jak ręką odjął. Bardziej dzikiego i gorącego zainteresowania życiem Tomek nie okazałby nawet, gdyby rozpała pod nim ogień.

Chłopiec poczuł, że pora już ocknąć się z letargu. Życie, jakie wiódł ostatnimi czasy, nie było pozbawione uroku klęski, ale nie przynosiło wielkich wzruszeń i zbyt było urozmaicone przykrościami. Długo myślał nad różnymi sposobami ratunku, wreszcie znalazł: zaczął udawać, że przepada za „mordercą cierpień”. Tak często się go domagał i tak zmęczył tym ciotkę, że wreszcie mu powiedziała, aby brał sobie lekarstwo sam, a jej dał święty spokój. Gdyby to był Sid, nic by nie zmąciło jej zadowolenia,, ponieważ jednak chodziło o Tomka, ukradkiem zerknęła na butelkę. Okazało się, że lekarstwa istotnie ubywa. Nie przyszło jej do głowy, że Tomek leczy „mordercą cierpień” dziurę w podłodze.

Pewnego razu właśnie przygotowywał lekarstwo dla tej dziury, gdy wszedł żółty kot ciotki. Mruczał, chciwie spoglądał na łyżeczkę i prosił, by mu dać spróbować. Tomek powiedział:

- Lepiej nie proś, Piotrusiu, jeśli nie musisz. Ale Piotruś dał do zrozumienia, że musi.
- Zastanów się dobrze. Piotruś już się zastanowił.
- Hm, sam chciałeś, więc ci dam, bo nie jestem liczykrupą. Ale jeśli ci nie będzie smakowało, nie miej pretensji do nikogo, tylko do siebie samego.

Piotruś zgodził się na wszystko. Tomek otworzył mu więc pyszczek i wlał łyk „mordercy cierpień”. Piotruś podskoczył na wysokość dwóch metrów, wydał dziki okrzyk wojenny, po czym zaczął się miotać po pokoju jak szalony, tłukł się o meble, przewracał doniczki z kwiatami i szerzył ogólne spustoszenie. Następnie stanął na tylnych łapach i z głową odrzuconą w tył zatańczył w obłądnym zachwycie, głośno obwieszczając swe bezgraniczne szczęście. Potem puścił się galopem po całym domu i siał po drodze chaos i zniszczenie. Ciotka weszła w sam raz, aby zobaczyć, jak Piotruś fiknął podwójnego koziołka, zawołał gromkim głosem „hura!” i szurnął przez otwarte okno, pociągając za sobą resztę doniczek. Ciotka Polcia skamieniała z osłupienia i tylko sponad okularów patrzyła, co się tu dzieje. Tomek leżał na ziemi ledwie żywy ze śmiechu.

- Tomek, na miłość boską, co mu się stało?
- Nie wiem, ciociu - wykrztusił chłopak.
- Jak żyję, nie widziałam czegoś podobnego. Co go do tego skłoniło?
- Naprawdę nie wiem, ciociu. Koty zawsze tak robią, gdy im wesoło.
- Czyżby naprawdę?

W głosie ciotki było coś, co zaniepokoiło Tomka.

- Tak, ciociu. Tak mi się zdaje.
- A, zdaje ci się...
- Tak, ciociu.

Starsza pani pochyliła się. Tomek obserwował ją z zaciekawieniem, spotęgowanym przez obawę. Za późno jednak domyślił się, do czego ciocia zmierza. Na podłodze leżała łyżeczka i zdradziecko wyzierała zza kapy okrywającej łóżko. Ciotka podniosła ją i pokazała Tomkowi. Chłopak zadrżał i spuścił oczy. Ciotka jak zwykle chwyciła go za ucho, podniosła w górę i głośno wystukała mu nauczkię napaństwem po głowie.

- A teraz powiedz, mój panie, czemuś tak się obszedł z biednym, bezbronny stworzeniem?

- Zrobiłem to z litości nad nim, bo biedaczek nie ma cioci.
- Nie ma cioci? Bałwan jeden! Co ciocia ma do tego?
- Bardzo dużo. Gdyby miał ciocię, to już ona by mu przypiekła! Podsmażyłaby mu wnętrzności tak samo okrutnie jak ludzkiemu stworzeniu.

Ciocia Polcia doznała nagle wyrzutów sumienia. To ukazało jej sprawę w nowym świetle: co było okrucieństwem wobec kota, mogło być okrutne i wobec chłopca. Serce cioci zmiękło, zrobiło jej się żal chłopca, oczy zaszyły łzami. Położyła mu rękę na głowie i powiedziała łagodnie:

- Chciałam jak najlepiej, Tomku. Sam wiesz, że ci to pomogło. Tomek spojrzał jej w twarz z powagą, pod którą igrał ledwie dostrzegalny, szelmowski uśmiech.

- Wiem, że chciałaś jak najlepiej, ale ja też nie chciałem zrobić krzywdy Piotrusiowi. To mu także pomogło. Nigdy jeszcze nie fruwał tak wysoko...

- Och, idź już sobie, Tomku, pókim dobra. Spróbuj choć raz być grzecznym chłopcem; a lekarstwa możesz już nie zażywać.

Tomek przyszedł do szkoły przed dzwonkiem. Wszyscy zauważyli, że w ostatnich czasach ten niezwykły fakt powtarza się co dnia. Od jakiegoś czasu nie bawił się rano z kolegami, lecz wystawał przed bramą szkolnego dziedzińca. Mówił, że jest chory, i rzeczywiście źle wyglądał. Udawał, że patrzy gdziekolwiek, tylko nie w tę stronę, w którą istotnie patrzył, to znaczy - na drogę. Dzisiaj, gdy Jeff Thatcher ukazał się na horyzoncie, rozpogodziła się twarz Tomka. Jeszcze chwilę patrzył na drogę, potem odwrócił się ze smutkiem. Kiedy Jeff Thatcher wszedł na podwórze, Tomek zagadnął go i ostrożnie sterował rozmową w kierunku Becky, ale gapowaty Jeff nawet nie zauważył przynęty. Tomek patrzył i patrzył na, drogę. Ilekroć pojawiła się tam spódniczka, podskakująca wraz ze swą panią, budziła się w nim nadzieja, ale po chwili nienawidził właścicielki spódniczki, kiedy się okazało, że to nie ta, na którą czeka. Wreszcie spódniczki przestały się pokazywać i Tomek popadł w bezgraniczną rozpacz. Wszedł do pustej szkoły, usiadł i pograżył się w cierpieniu. Wtem jeszcze jedna spódniczka weszła w bramę i serce Tomka wysoko podskoczyło z radości. Wybiegł na dziedziniec i zaczął stroić Indianina: wył, śmiał się, gonił kolegów, przeskakiwał przez parkan z narażeniem życia i nóg, koziołkował, stawał na głowie - słowem, dokonywał wszelkich bohaterских czynów, jakie mu tylko wpadły do głowy, a podczas tego co chwila nieznacznie zerkał na Becky, czy patrzy na niego. Ona jednak udawała, że nic nie widzi, i nie patrzyła w jego stronę. Czy to możliwe, żeby nie spostrzegła, że on tu jest? Przeniósł swoje występy tuż przed Becky. Obiegł ją wokół z wyciem wojennym, zerwał jednemu chłopcu czapkę, rzucił ją na dach szkoły, potem wpadł w gromadę chłopców, roztrzącił ich na wszystkie strony i runął jak długi u stóp Becky, tak że omal jej nie przewrócił. Odwróciła się, zadarła nosek i powiedziała:

- Fi! Niektórym się zdaje, że są bardzo dowcipni i wszystko robią na pokaz!

Policzki Tomka stanęły w ognjach. Pozbierał się z ziemi i zdruzgotany poniesioną klęską wyniósł się chyłkiem.

### **PIRACI ROZWIJAJĄ ŻAGLE**

Tomek powziął ostateczną decyzję. Wpadł w ponury nastrój, był gotów na wszystko. Powiedział sobie, że jest sam na świecie; przyjaciele go opuścili, nikt go nie kocha. Gdy się dowiedzą, do czego go popchnęli, może będzie im żal. Chciał się przecież poprawić, ale mu nie dali. Oni tylko patrzyli, jak by go się pozbyć — niech im będzie! Będą, naturalnie, uważali, że to jego wina — proszę bardzo! Czyż człowiek, który jest sam jak palec, ma w ogóle prawo się skarżyć? No, tak, w końcu zmusili go do tego, że będzie wiódł życie zbrodniarza. Nie było wyboru.

Wśród takich rozmyślań zaszedł daleko ulicą Łąkową i dzwonek szkolny, zwiastujący koniec przerwy, ledwie już dolatywał do jego uszu. Załkał na myśl, że już nigdy, przenigdy nie

usłyszy tego drogiego mu głosu. Było to bardzo przykre, ale co robić, zmusili go do tego. Wypędzili go w świat, ma głód, chłód i poniewierkę — trudno, już im przebaczył. Płakał rzewnymi łzami.

I wtedy to właśnie natknął się na swego serdecznego druha Joe'ego Harpera. Stalowe wejście przyjaciela świadczyło dobitnie, że waży w sercu jakieś wielkie i straszne zamiary. Nie ulegało wątpliwości, że spotkały się dwie dusze ożywione jedną myślą. Tomek, ocierając łzy rękawem, płaczącym głosem powiadomił przyjaciela o swym postanowieniu: w domu źle się z nim obchodzono i nikt go nie lubił, wobec czego ucieka za granicę, na wędrowną podróż po szerokim świecie, aby już nigdy nie wrócić. W końcu wyraził nadzieję, że Joe o nim nie zapomni.

Okazało się jednak, że Joe chciał prosić Tomka o to samo i że właśnie w tym celu go poszukiwał. Matka dała mu w skórę za to, że wypił śmietanę, a on ani jej nie tknął, ani na oczy nie widział. W ten sposób okazało się, że mamusia ma go dość i chce się go pozbyć. Wobec tego nie było innego wyjścia i musiał ulec woli matki. Teraz będzie szczęśliwa i wcale nie pożałuje, że swego biednego syna wyгнаła w bezlitosny świat na poniewierkę i śmierć.

Idąc razem i biadając nad swym losem, przyjaciele zawarli nowe przymierze: będą się wspierać jako bracia i nigdy się nie rozłączą, aż do śmierci, która położy kres ich udrękom. Potem zaczęli wspólnie snuć plany na przyszłość.

Joe chciał zostać pustelnikiem, mieszkać w pieczarze na odludziu, żywić się korą z drzew i umrzeć z chłodu, głodu i żalu. Kiedy jednak wysłuchał Tomka, przyznał, że życie zbrodniarza ma swoje dodatnie strony, i zgodził się zostać piratem.

W odległości trzech mil od St. Petersburg, w dół Missisipi, w miejscu gdzie rzeka ma niewiele ponad milę szerokości, leżała długa, wąska, zalesiona wyspa z ławicą od strony miasta. Było to wymarzone miejsce spotkań piratów. Bezludna ta wyspa leżała bliżej drugiego brzegu rzeki, na którym rozciągał się gęsty las, niemal zupełnie niezamieszany. Wybór padł zatem na Wyspę Jacksona. Kto będzie ofiarą ich korsarskich wypraw, o tym zupełnie nie myśleli. Następnie wytropili Hucka, który bez namysłu do nich przystał, bo było mu wszystko jedno, jaką zrobi karierę. Rozstali się z tym, że spotkają się w ustronnym miejscu nad brzegiem rzeki, dwie mile powyżej miasta, o godzinie, która im najbardziej odpowiadała, to znaczy o dwunastej w nocy. Stała tam mała tratwa, którą postanowili uprowadzić. Każdy z nich miał przynieść wędkę, haczyki i żywność, którą trzeba było ukraść w sposób najbardziej skryty i zagadkowy, jak przystoi wyrzutowi społeczeństwa.

Zanim zmrok zapadł, wszyscy trzej zdążyli rozpuścić pogłoskę, że „niebawem miasto o czymś się dowie”, a uczynili to z niemałą przyjemnością. Każdego, komu udzielili tej nieco mętnej wiadomości, przestrzegali, by „trzymał język za zębami i czekał na to, co będzie”.

Około północy zjawił się Tomek z gotowaną szynką i paru drobiazgami. Zatrzymał się w gęstych zaroślach nad urwiskiem nadbrzeżnym, tuż ponad punktem zbornym. Noc była



gwiazdzista i cicha. Potężna rzeka leżała nieruchoma jak morze w czasie ciszy. Tomek chwilę nasłuchiwał, ale żaden głos nie mącił milczenia. Potem cicho, lecz wyraźnie gwizdnął.

Odpowiedziano mu z dołu. Gwizdnął jeszcze dwa razy i otrzymał taką samą odpowiedź. Następnie stłumiony głos zapytał:

- Kto idzie?

- Tomek Sawyer, Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód. Wymieńcie swoje nazwiska.

- Huck Finn, Krwawa Ręka, Joe Harper, Postrach Mórz. Tomek zaczerpnął te tytuły ze swojej ulubionej lektury.

- Dobrze. Podać hasło!

W mroku- nocy dwa głosy naraz wypowiedziały ochrypłym szeptem jedno straszne słowo:

-KREW!

Wówczas Tomek kulnął szynkę po urwisku w dół, po czym sam zjechał za nią, rozdzierając sobie po drodze skórę i ubranie. Była tam wprawdzie wygodna ścieżka, która biegła na dół wzdłuż brzegu, ale brakowało jej dwóch zalet: niedostępności i niebezpieczeństwa, tak wysoko cenionych przez piratów.

Postrach Mórz przyniósł poćć słoniny, tak wielki, że omal nie padł pod jego ciężarem. Krwawa Ręka gwizdnął kociołek do gotowania i większą ilość nie dosuszonych liści tytoniu. Przyniósł też garść łodyg kukurydzianych, z których można było zrobić fajki. Poza nim żaden wszakże z piratów nie palił ani nie żuł tytoniu. Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód orzekł, że nie można wybrać się w drogę bez ognia. Myśl była cenna, zapalki bowiem należały wówczas do rzadkości. Ujrzeni ogień tłący się na wielkiej tratwie o jakieś sto jardów wyżej, zakradli się więc tam i podwędzili jedną głównię. Zrobili z tego nie lada wyprawę. Po drodze bez przerwy psykali na siebie, zatrzymywali się nagle, przykładając palec do ust, chwyтали niby to za rękojeść sztyletu i groźnym szeptem podawali sobie rozkazy, na przykład, żeby „wrogowi”, jeśli tylko drgnie, „wpakować ten interes aż po rękojeść”, albowiem „umarli milczą jak zakłęci” itd. Wiedzieli aż nadto dobrze, że wszyscy flisacy poszli do miasta i śpią tam lub hulają, ale nie był to dostateczny powód, by piraci zachowali się nie po piracku!

Niebawem odbili od brzegu. Tomek był kapitanem, Huck pracował wiosłem z tyłu, a Joe z przodu tratwy. Kapitan stał na środku, nachmurzył brwi, skrzyżował ręce na piersi, i głuchym, groźnym szeptem wydawał rozkazy:

- Ostrzej do wiatru!

- Tak jest, kapitanie!

- Tak trzymać, trzy-y-mać!

- Tak trzymać, kapitanie!

- Rumb od wiatru!

- Rumb, kapitanie!

Chłopcy bez przerwy sterowali ku środkowi rzeki, nie ulegało więc żadnej wątpliwości, że rozkazy wydawane były jedynie dla „fasonu” i na tym kończyło się ich znaczenie.

- Jakie żagle postawiono?
- Dolne, marsie i bom-kliwer, kapitanie.
- Podnieść bom-bram! Żywo na reje, sześciu chłopców na bom-bram foka. Żywo!
- Rozwinąć bom-bram grota! Stanąc na szoty i brasy! Żywo, chłopaki!
- Tak jest kapitanie!
- Ohej raz! Lewo na burt! Przygotować się do abordażu na statek nieprzyjacielski. Lewo, lewo! Teraz, chłopcy, śmiało naprzód! Tak trzyy-y-mać!
- Tak trzymać, kapitanie!

Tratwa minęła środek rzeki, chłopcy ustawili ją z prądem i przyłożyli się do wiosel. Stan wody nie był wysoki i rzeka płynęła z szybkością dwóch do trzech mil na godzinę. W ciągu trzech kwadransów nikt nie powiedział ani słowa. Tratwa mijala właśnie St. Petersburg. Na dalekim brzegu po drugiej stronie niezmierzonej toni usianej gwiazdami mrugało kilka światełek, wskazując, gdzie leży miasteczko, spowite w błogim śnie i nieświadome wielkich wydarzeń, jakie rozgrywają się na rzece. Czarny Mściciel stał wciąż ze skrzyżowanymi rękami, „rzucając ostatnie spojrzenia” miejscu swych dawnych radości i niedawnych cierpień. Och, żeby Ona mogła go zobaczyć, jak płynie po wzburzonym morzu i bez trwogi w sercu stawia czoło niebezpieczeństwu i śmierci, jak z gorzkim uśmiechem na ustach idzie na pewną zgubę. Wyobraźnia Mściciela bez najmniejszego wysiłku przesunęła Wyspę Jacksona tak, że nie było jej widać z miasta, dzięki czemu mógł posłać miastu swe „ostatnie spojrzenie”, a uczynił to z sercem złamanym i zarazem szczęśliwym. Pozostali piraci również rzucali „ostatnie spojrzenia” i czynili to tak długo, że niewiele brakowało, a prąd byłby ich poniósł za wyspę. W porę jednak odkryli niebezpieczeństwo i sprawnie je odwrócili. Około drugiej nad ranem tratwa osiadła na mieliźnie, dwieście jardów powyżej przylądka wyspy. Chłopcy brodzili po wodzie tam i z powrotem, póki nie przenieśli ładunku na ląd. Na tratwie znalazł się stary żagiel. Rozpięli go na kształt namiotu w zacisznym miejscu w zaroślach, aby osłonić zapasy żywności. Sami postanowili sypiać pod gołym niebem - zwłaszcza że była pogoda - jak przystało ludziom poza nawiasem społeczeństwa.

Weszli w ciemną gęstwinę lasu na jakieś trzydzieści kroków i pod olbrzymią kłodą rozpalili ognisko. Usmażyli, patelnię słoniny na kolację i zjedli połowę kukurydzianych placków, jakie ze sobą przynieśli. Wspaniała to była rzecz taka uczta pierwotnych ludzi w dziewiczym lesie, na niezbadanej i bezludnej wyspie, z dala od ludzkich siedzib. Postanowili więc, że nigdy już nie wrócą na łono cywilizacji.

Buchające płomienie oświetlały ich twarze i rzucały czerwone blaski na kolumnadę drzew tej leśnej świątyni, na lśniące, jakby lakierowane liście i girlandy winorośli.

Gdy zniknął ostatni kawałek słoniny i pochłonięta została ostatnia porcja placka kukurydzianego, chłopcy niezmiernie zadowoleni, rozciągnęli się na trawie. Można było znaleźć chłodniejsze miejsce, ale nie mogli sobie odmówić niecodziennej przyjemności wygrzewania się przy obozowym ognisku. - Ale wesoło, co? - rzekł Joe.

- Klawo! - odparł Tomek. - Co by powiedzieli chłopcy, gdyby nas tu zobaczyli?

- Co by powiedzieli? Życie by oddali, żeby być razem z nami, no nie, Huck?

- Owszem - zgodził się Huck. - W każdym razie mnie się to podoba. Nie trzeba mi nic więcej. Dawniej nigdy nie mogłem najeść się do syta, a poza tym nikt tutaj nie będzie się czepiał człowieka i wiercił mu dziury w brzuchu.

- To raj, nie życie! - zawołał Tomek. - Nie trzeba rano wstawać, iść do szkoły, myć się i zajmować tylu innymi bzdurami. Widzisz, Joe, pirat na łodzi nie robi w ogóle nic, a taki pustelnik musi się bez przerwy modlić i jakież on może mieć rozrywki, jeśli ciągle jest sam?

- Tak, to prawda - zgodził się Joe. - Widzisz, ja o tym nie pomyślałem. Ale teraz, gdy już zasmakowałem w tym życiu, tysiąc razy wolę być piratem.

- Widzisz - ciągnął Tomek. - W dzisiejszych czasach pustelnicy to już nie to co dawniej, a piraci są zawsze poważani. A przy tym pustelnik musi spać na miejscu tak twardym, żeby go wszystkie kości bolały, chodzić w worku; posypywać głowę popiołem, wystawać na deszczu i...

- Dlaczego musi chodzić w worku i posypywać głowę popiołem? -zapytał Huck.

-Nie wiem. Ale musi. Pustelnicy zawsze tak robią. Ty byś też musiał, gdybyś był pustelnikiem.

- Gdyby mi się chciało - wtrącił Huck.

- Jak to, a cóż byś robił?

- Nie wiem, ale tego bym nie robił.

- Ależ Huck, musiałbyś! Jakżebyś się od tego wykręcił?

- No jak, po prostu bym nie wytrzymał i zwiął.

- Zwiął! Tobys był oferma, a nie pustelnikiem. Wstydu byś sobie narobił!

Krwawa Ręka nie odpowiedział, bo co innego miał do roboty. Właśnie wydrążył głębi kukurydziany, przymocował do niego cybuch z łydygi i tę fajkę nabił liśćmi tytoniu. Potem położył na wierzchu rozżarzony węgielek i otoczył się chmurą wonnego dymu. Oblicze Hucka promieniało rozkoszą. Inni piraci zazdrościli mu tego wspaniałego nałogu i skrycie postanowili, że w najbliższym czasie pójdą w jego ślady.

- A co właściwie mają piraci do roboty? - zapytał Huck.

- Och - odrzekł Tomek - klawe mają życie. Zdobywają okręty i puszczają je z dymem, a pieniądze zabierają zakopują na swojej wyspie, na uroczysskach, gdzie strzegą ich duchy i różne takie, a na okręcie wszystkich mordują i siup! Z deski wyrzucają do morza.

- Ale kobiety zabierają na wyspę - powiedział Joe - kobiet nie zabijają.

-Nie - przyznał Tomek. - Kobiet nie zabijają, są na to zbyt szlachetni. I kobiety są zawsze piękne.

- A jak fajno są ubrani! No nie! Samo złoto, srebro i diamenty! - wtrącił Joe z zachwytem.

- Kto? - zapytał Huck.

- Jak to kto, piraci. Huck ze smutkiem obejrzał swe ubranie,

- Zdaje mi się, że moje ubranie nie pasuje do pirata - rzekł z żalem. Ale innego nie mam.

Obaj koledzy wytłumaczyli mu jednak, że piękny strój prędko się znajdzie, gdy tylko rozpoczną burzliwe życie korsarskie. Dali mu do zrozumienia, że jego nędzne łachmany wystarczą od biedy, na początek, choć nie ukrywali, że zamożni piraci zwykli przystępować do dzieła od razu w odpowiednim stroju.

Rozmowa poczęła się rwać i sen zaczął kleić powieki małych włóczęgów. Fajka wypadła z dłoni Krwawej Ręki, który zasnął snem sprawiedliwego i zmęczonego. Nie tak łatwo poszło Postrachowi Mórzu i Czarnemu Mścicielowi Hiszpańskich Wód. Pacierze odmówili po cichutku i leżąc, bo nie było tutaj nikogo, kto by im kazał uklęknąć i modlić się głośno. Prawdę mówiąc, mieli zamiar w ogóle się nie modlić, ale bali się posunąć aż tak daleko, bo wtedy mógłby ich spalić nagły piorun, posłany im z nieba. Potem, gdy już zaczęli się plątać na granicy snu, zjawił się nieproszony gość i nie chciał się odczepić. Było to sumienie. Zaczęli odczuwać niewyraźną obawę, że może źle zrobili uciekając z domu. Potem przypomniało im się skradzione mięso, to już była prawdziwa męka. Starali się odegnać precz głos sumienia przypominając mu, że przecież tyle już razy ściągali słodycze i jabłka, ale sumienie nie dawało się zagłuszyć tak słabymi argumentami. W końcu doszli do wniosku, że fakty są uparte i że kto bierze łakocie, ten je „podwędza”, a kto bierze słoninę, szynkę i inne wartościowe rzeczy, dopuszcza się pospolitej kradzieży, wyraźnie zabronionej w dziesięciu przykazaniach. W głębi ducha postanowili więc, że jak długo trudnić się będą korsarskim rzemiosłem, nigdy nie splamią się zbrodnią kradzieży. Wówczas sumienie zgodziło się na zawieszenie broni i nasi niekonsekwentni piraci zapadli w błogi sen.

### **SZCZĘŚLIWY OBÓZ PIRATÓW**

Gdy Tomek obudził się rano, nie mógł sobie zrazu przypomnieć, gdzie jest. Usiadł, przetarł oczy i rozejrzał się wokół. Wreszcie zrozumiał.

Był dopiero chłodny, szary świt. Lasy, pogrążone w głębokim śnie, tchnęły błogą ciszą i spokojem. Nie drgnął ani listek, najłżejszy szmer nie zmaćcił głębokiej zadumy przyrody. Paciorki rosy rozsypały się po liściach i trawie. Biała warstwa popiołu okryła ognisko, a cienki, błękitny dymek unosił się prosto w górę. Joe i Huck jeszcze spali.

Naraz, daleko w głębi lasu, zawołał ptak; odpowiedział mu drugi. Dało się słyszeć stukanie dzięcioła. Chłodny, szary brzask poranka białiał coraz wyraźniej, a równocześnie przybywało dźwięków - odzywało się życie. Rozmarzonym oczom chłopca ukazał się cud przyrody, otrząsającej się ze snu i przystępującej do pracy. Po okrytym rosą liściu pełzła zielona

gąsieniczka, podnosząc co chwila do góry dwie trzecie tułowia, „węszyła” na wszystkie strony, a potem znów posuwała się naprzód. Widocznie mierzy liść - pomyślał Tomek.

A kiedy z własnej chęci zbliżyła się do niego, siedział cichutko i ani drgnął, a nadzieje jego na przemian rosły, to słabły, w miarę jak stworzonko posuwało się ku niemu lub wahało się, czy nie pójść gdzie indziej. Wreszcie gąsieniczka, po dłuższym, kłopotliwym namyśle z tułowiem wygiętym w górę, zdecydowanie przelazła na jego nogę i wyruszyła po niej w dalszą podróż. Ucieszył się z całego serca, bo oznaczało to, że dostanie nowe ubranie; nie było cienia wątpliwości, że będzie to barwny mundur pirata. Potem, nie wiadomo skąd, nadeszła cała procesja mrówek, podążających w różnych sprawach. Jedna z nich mężnie borykała się ze zdechłym pajakiem, pięć razy większym od niej, taszcząc go na plecach w górę po pniu drzewa. Brązowo nakrapiana biedronka wdrapywała się na zawrotne wyżyny żdźbła trawy. Tomek pochylił się tuż nad nią i powiedział:

*Niechże biedronka do domu polecí,*

*Bo tam się pali i płaczą twe dzieci!*

Biedronka rozpięła skrzydła i poleciała, by zobaczyć, co się tam dzieje, a Tomek wcale się nie zdziwił, bo od dawna wiedział, jak łatwo jest wmówić naiwnej biedronce, że się pali, i sam nieraz się przekonał o jej łatwowierności. Następnie przyszedł żuk, energicznie tocząc swą kulkę, a Tomek dotknął go palcem, żeby zobaczyć, jak podwinie nóżki i będzie udawał nieboszczyka.

Tymczasem ptaki podniosły wrzawę. Drozd, szyderca wśród ptaków północy, usiadł na drzewie nad głową Tomka i z nadmiaru dobrego humoru zaczął naśladować trele swych sąsiadów. Krzykliwa sójka sfrunęła na dół jak niebieska błyskawica, usiadła na gałęzi tak blisko chłopca, że mógł prawie dosięgnąć jej ręką, przechyliła główkę i z zaciekawieniem wprost pożerała oczami nieznanymi przybyszów. Szara wiewiórka i jakiś większy zwierzak z rodziny lisów przebiegły żwawo, przysiadając od czasu do czasu, by przyjrzeć się chłopcom i pokazać im zęby. Widocznie te dzikie stworzenia nie widziały jeszcze ludzi i nie wiedziały, czy bać się ich, czy nie. Przyroda obudziła się już na dobre i las pełen był życia. Długie włócznie słońca przebijały na wylot gęste listowie. Na widowni pojawiło się, trzepocząc skrzydełkami, parę motyli.

Tomek obudził pozostałych piratów. Wszyscy z krzykiem kopnęli się ku rzece. W parę minut później, rozebrani, gonili się i przewracali w płytkiej, przezroczystej wodzie nad białą piaszczystą mielizną. Nie tęsknili bynajmniej za miasteczkiem, które tam daleko, po drugiej stronie majestatycznego bezmiaru wód, pogrążone było we śnie. Jakaś zabłąkana fala lub może lekki przypływ wody poniósł tratwę, ale to ich tylko ucieszyło, gdyż oznaczało spalenie mostów między nimi a cywilizowanym światem.

Wrócili do obozowiska cudownie odświeżeni, na sercu było im lekko, a głodni byli jak wilki. Natychmiast rozpalili ogień. Huck odkrył w pobliżu czyste, chłodne źródło. Z szerokich liści

dębowych i orzechowych sporządzili sobie kubki, i uznali, że woda przyprawiona smakiem puszczy śmiało może zastąpić kawę.

Joe zaczął krajać słoninę na śniadanie, ale Tomek i Huck kazali mu chwilę zaczekać. Pobiegli nad rzekę i w obiecującym zakątku zarzucili wędki; ryby brały aż miło. Zanim Joe zaczął się niecierpliwic, wrócili z pięknym okazem lina, parą okoni i malutkim sumem. Był to połów, którym można by nakarmić całą rodzinę. Usmażyli ryby na słoninie i ze zdziwieniem stwierdzili, że są smaczne jak nigdy. Nie wiedzieli, że ryba rzeczna jest tym smaczniejsza, im prędzej dostanie się na ogień i nie przyszło im do głowy, że najlepszą przyprawą jest sen pod gołym niebem, ruch na świeżym powietrzu, kąpiel i głód.

Po śniadaniu położyli się wszyscy w cieniu, a Huck zapalił fajeczkę. Potem ruszyli w las na rozpoznanie terenu. Wesoło i radośnie przeskakiwali butwiejące pnie, przedzierali się przez splecione zarośla, mijali dostojnych patriarchów puszczy, którym spływały do ziemi królewskie płaszcze z dzikiej winorośli. Po drodze spotykali zaciszne ustronia, wysłane zielonymi kobiercami i przystrojone w klejnoty kwiatów.

Odkryli mnóstwo rzeczy, które ich zachwyciły, ale nic takiego, co by ich zdziwiło. Okazało się, że wyspa ma około trzech mil długości, a ćwierć mili szerokości i że od bliższego brzegu rzeki oddziela ją wąska odnoga szerokości zaledwie dwustu jardów. Co godzinę kąpali się, toteż gdy wrócili do obozu, było już dobrze po południu. Zbyt głodni, by iść jeszcze na ryby, uraczyli się szynką na zimno, po czym legli w cieniu i gawędzili.

Rozmowa jednak jakoś się nie kleiła i szybko zamilkła. Przenikała ich cisza, uroczyste milczenie lasu i uczucie osamotnienia. Popadli w zamyślenie. Ogarnął ich jakiś nieuchwytny smutek, który z wolna przybierał coraz wyraźniejsze kształty, aż wreszcie okazało się, że roślinie w nich tęsknota za domem. Nawet Finn, Krwawa Ręka, marzył o swych progach i pustych beczkach. Wstydzili się jednak tej słabości i żaden nie miał odwagi powiedzieć, co myśli.

Od dłuższego czasu dobiegały ich z daleka jakieś dziwne odgłosy, ale nie zwracali na to uwagi, podobnie jak często nie zauważamy tykania zegara. Teraz jednak owe tajemnicze dźwięki stały się wyraźniejsze i same wpadały w ucho. Chłopcy wzdrygnęli się, spojrzeli po sobie i zaczęli nasłuchiwać. Nastąpiła długa, głęboka, niczym nie zmacona cisza - a potem głucho, posępne „bum” nadleciało z oddali.

- Co to jest? - stłumionym głosem krzyknął Joe.
- A bo ja wiem? - szeptem odparł Tomek.
- To nie jest grzmot! - rzekł wystraszony Huck - bo grzmot...
- Cicho! - rozkazał Tomek. - Słuchać i milczeć!

Czekali chwilę, która wydała im się wiekiem, i znów głucho „bum” zamąciło uroczystą ciszę.

- Trzeba zobaczyć, co to jest.

Zerwali się na równe nogi i popędzili na brzeg, z którego widać było miasto. Rozchylili zarośla i wyjrzeni na rzekę. O milę poniżej miasta płynął z prądem mały parowiec. Na jego szerokim pokładzie roilo się od ludzi. Mnóstwo łodzi krążyło wokół statku albo płynęło z prądem obok niego, ale chłopcy nie mogli dostrzec, co robili ludzie w tych łódkach. Nagle z boku parowca strzeliła smuga białego dymu, a gdy się rozeszła i podniosła w górę leniwym obłokiem, do uszu chłopców doleciał ten sam głuchy grzmot.

- Już wiem! - zawołał Tomek. - Ktoś utonął!

- Na pewno - odezwał się Huck. - Tak robili zeszłego lata, kiedy utonął Bili Turner. Strzelają z armaty tuż ponad wodą i topielec wypływa. No tak, biorą także bochenki chleba, wkładają do środka rtęć i puszczają na wodę, a one płyną do miejsca, gdzie leży topielec, i tam się zatrzymują.

- Tak, słyszałem o tym - powiedział Joe. - Nie wiem tylko, czemu chleb zatrzymuje się nad topielcem.

- A ja myślę, że to nie tyle chleb - wyjaśnił Tomek - ile słowa, jakie nad nim wymawiają, zanim go puszczą na wodę.

- Ale oni nad chlebem nic nie mówią - rzekł Huck. - Sam widziałem, że nic nie mówili.

- Hm, to ciekawe - odparł Tomek. - Pewnie mówią coś pod nosem. Już wiem dlaczego. Żeby ich kto nie podsłuchał.

Chłopcy zgodzili się, że Tomek wiele im wyjaśnił. Bo przecież głupi kawałek chleba nie pouczony za pomocą zaklęcia, nie mógłby w rozsądny sposób wykonać tak ważnego zadania.

- O rany! Chciałbym tam być - rzekł Joe.

- Ja też! - dodał Huck. - Dałbym wiele za to, żeby wiedzieć, kto utonął.

Chłopcy nasłuchiwali dalej i patrzyli na rzekę. Nagle genialna myśl jak błyskawica przeszła mózg Tomka. Zawołał:

- Chłopaki! Wiem, kto utonął... My!

W jednej chwili poczuli się bohaterami. Toż to było wspaniałe zwycięstwo! Ktoś jednak tęsknił za nimi, rozpaczał, komuś serce z żalu pękało, polały się czyjeś łzy. Ozwały się wyrzuty sumienia, że jednak źle się obchodzili z biednymi chłopcami, którzy zginęli, a teraz ponieważ żałują, że byli dla nich niedobrzy. Co zaś najważniejsze: całe miasto mówi o zaginionych i zazdroszczy im wszyscy chłopcy, wiadomo czego - olśniewającej sławy! Ach, jakże to piękne! Czasem, mimo wszystko, warto być piratem.

Gdy zapadł zmrok, parowiec znów zaczął kursować, między jednym brzegiem rzeki a drugim. Łódki zniknęły. Piraci wrócili do obozu. Serca rozpieła im duma z powodu sławy, jaką zdobyli, i wspaniałego zamieszania, jakie wywołali w mieście. Nałowili ryb, przyrządzili i zjedli kolację, a potem zajęli się zgadywaniem, co tam w mieście o nich myślą i mówią. Namalowali sobie obraz powszechnej żałoby w miasteczku i z wielką przyjemnością oglądali ten obraz - ze swego punktu widzenia.

Kiedy jednak zaczęły ich okrywać cienie nocy, jeden po drugim milkli i siedzieli potem zapatrzeni w ogień, myślami błądząc daleko. Podniecenie minęło, a Tomek i Joe nie mogli odpędzić od siebie myśli, że pewne osoby w domu nie są tak zachwycone ich wspaniałym figlem jak oni. Zbudziły się jakieś niedobre przeczucia, opanował ich niepokój, posmutnieli, wyrwało się parę westchnień. Joe, z daleka i ogródkami, próbował zasięgnąć języka - szło mu o to, jak by inni piraci zapatrywali się na powrót do świata cywilizowanego, och, nie zaraz, ale...

Tomek zmiażdżył go pogardliwym śmiechem. Huck, który jeszcze niczym się Tomkowi nie naraził, przeszedł na jego stronę. Chwiejny Joe składał się teraz, jak umiał najlepiej, i był rad, że z trudnej sytuacji wyszedł obronną ręką, lekko tylko splamiony małoduszną tęsknotą za domem. Na razie bunt został stłumiony.

Gdy noc zapadła, Huck zaczął się kiwać, a po chwili chrapał już w najlepsze. Joe poszedł w jego ślady. Tomek wsparty na łokciu, leżał jakiś czas bez ruchu, bacznie śledząc kolegów. Wreszcie ostrożnie się podniósł i począł się czołgać na kolanach, szukając czegoś w trawie przy migotliwym świetle ogniska. Zbierał większe kawałki zwiniętej, cienkiej, białej kory platanu, następnie dokładnie ją obejrzał i wreszcie wybrał dwa, które mu się wydawały najodpowiedniejsze. Ukląkł przy ognisku i z mozołem nagryzmolił coś minią na obu kawałkach kory. Jeden z nich zwinął i wsunął do kieszeni kurtki, drugi włożył do kapelusza Joe'ego odsuwając go nieco od właściciela. Ponadto wrzucił do kapelusza kilka uczniowskich bezcennych skarbów, jak na przykład kawałek kredy, piłkę gumową, trzy haczyki do wędki i jedną szklaną kulę, z rodzaju tych, które uchodzą za „prawie kryształowe”. Potem ostrożnie, na palcach, ruszył w drogę przemyskając się od drzewa do drzewa. Gdy był pewien, że już go nie mogą usłyszeć, puścił się galopem prosto ku ławicy.

### **TOMEK ZAKRADA SIĘ DO DOMU**

W kilka minut później Tomek brodził już po mieliźnie ku bliższemu brzegowi rzeki, to znaczy nie temu, na którym leżało miasteczko. W pół drogi woda ledwie sięgała mu pasa, ale wartki prąd zbijał go z nóg, śmiało więc puścił się wpław, by przebyć sto jardów dzielące go od brzegu. Mimo że płynął na ukos pod prąd, rzeka zniosła go dalej, niż się spodziewał. Wreszcie dotarł jednak do brzegu. Przez chwilę płynął z prądem w dół, aż trafił na płaski brzeg i wyszedł z wody. Sięgnął ręką do kieszeni kurtki i stwierdził, że kory nie zgubił. Ruszył w drogę lasem, wzdłuż wybrzeża.

Ubranie ociekało wodą. Krótco przed dziesiątą dotarł do pola na wysokości miasteczka i zobaczył, że w cieniu drzew i wysokiego brzegu stoi statek parowy.

Było cicho, gwiazdy lśniły na niebie. Tomek zsunął się z urwiska, rozejrzał się bacznie na wszystkie strony, ześliznął się w wodę i kilku ruchami dopłynął do łódki uwiązanej do rufy statku. Włazł do niej, położył się pod ławkami i czekał z bijącym sercem.

Naraz głucho zabrzmiał dzwon i padła komenda: „Odjazd!” W dwie minuty później woda, wzburzona obrotem kół, podniosła w górę dziób łodzi i rozpoczęła się podróż. Tomek cieszył



się bardzo, bo wiedział, że jest to ostatni kurs statku przed nocą. Po upływie długich dwunastu czy piętnastu minut koła przestały się obracać. Tomek ześliznął się w wodę i po ciemku popłynął do brzegu. Wylądował pięćdziesiąt jardów poniżej statku, w miejscu gdzie nie groziło mu spotkanie ze spóźnionymi przechodniami.

Przebiegł puste zaułki i zatrzymał się na tyłach domostwa ciotki. Przelazł przez parkan, podszedł do przybudówki i zajrzał przez okno do pokoju, w którym paliło się światło. Zebrali się tam na pogawędkę: ciocia Polcia, Sid, Mary i matka Joe'ego Harpera. Siedzieli przy łóżku, które dzieliło, ich od drzwi. Tomek podszedł na palcach i leciutko nacisnął klamkę. Potem delikatnie pchnął drzwi - odchyliły się nieco. Pchał ostrożnie dalej, drżąc za każdym skrzypnięciem. Wreszcie uznał, że już zdoła przecisnąć się na kolanach przez szparę, wetknął więc głowę do środka i zaczął ostrożnie posuwać się naprzód.

- Dlaczego świeca tak mruga? - zapytała ciotka. Tomek nie tracił czasu.

- Co to, drzwi się same otworzyły? No, rzeczywiście. Co się to dzisiaj u nas wyprawia! Idź, Sid, zamknij drzwi.

Tomek w samą porę zniknął pod łóżkiem. Poleżał chwilę, by uspokoić oddech, potem przyczołgał się do ciotki tak blisko, że mógł ją chwycić za nogę.

- Co to chciałam powiedzieć? - podjęła ciotka. - Aha, nie był to zły chłopiec, tylko straszny, że tak powiem, gałgan. Po prostu roztrzepaniec, proszę pani, i szalona pałka. A rozbrykany - jak młody żrebak! Ale złości w nim ani krzty nie było, złote chłopak miał serce... - tu ciocia się rozbeczała.

- To samo mój Joe. Głowę miał pełną psich figlów i psocił bez przerwy, ale dobre i pocziwe to było dziecko, ze świecą drugiego takiego szukać. A ja,, Boże odpuść, zbiłam go za śmietaną; na śmierć zapomniałam, że sama wylałam, bo mi skwaśniała. I teraz nigdy już nie zobaczę mego biednego, skrzywdzonego chłopca, nigdy, nigdy! - Pani Harper zaczęła płakać i zdawało się, że serce jej pęknie.

- Tomkowi pewnie jest teraz lepiej niż tutaj - powiedział Sid - a gdyby był grzeczniejszym chłopcem...

- Sid! - Tomek poczuł surowe spojrzenie ciotki, choć go nie widział. -Jak śmiesz tak mówić o nieboszczyku! Bóg weźmie go już w swoją opiekę, nie martw się o to, mój drogi! Och, pani Harper kochana, nie wiem, jak ja to przeżyję, doprawdy nie wiem. Ten chłopak był moją jedyną nadzieją, choć nieraz serce mi się przez niego krajało.

- Bóg dał, Bóg wziął, chwała Mu na wysokościach! Ale ciężko człowiekowi z tym się pogodzić, och, bardzo ciężko! Jeszcze w sobotę strzelił mi kapiszonem pod samym nosem, za co dostał takiego kuksańca, że aż się przewrócił. Któż by wtedy przypuszczał, że tak prędko... Och, gdyby się odstało to, co się stało, i znów mi strzelił kapiszonem, przycisnęłabym go do serca i pobłogosławiłabym chłopcu.

- Oj, tak, tak, kochana pani Harper, ja panią dobrze rozumiem, bardzo dobrze. Nie dalej jak wczoraj w południe nakarmił kota „mordercą cierpień". Myślałam, że biedne zwierzę

rozniesie mi dom i, Boże przebacz, wytłukłam naparstkiem głowę mego biednego, świętej pamięci, chłopca. Teraz jest już wolny od wszystkich cierpień. Ale ostatnie słowa, jakie z ust jego usłyszałam, były wyrzutem...

To wspomnienie było zbyt bolesne i zupełnie ciotkę załamało. Tomek sam pochlipywał, więcej z żalu nad własnym losem niż ze współczucia dla innych. Słyszał, jak płakała Mary i jak od czasu do czasu dorzucała do rozmowy jakieś dobre słowo pod jego adresem.

Sam nabrał teraz lepszego o sobie mniemania. Jednakże ból ciotki też go wzruszył. Najchętniej wyskoczyłby teraz spod łóżka, aby sprawić jej szaloną radość, zwłaszcza że teatralny efekt takiej sceny silnie przemawiał do jego wyobraźni. Ale oparł się pokusie i leżał cicho.

Słuchał dalej i z urywków rozmowy domyślił się, że chłopcy utonęli podczas kąpieli. Potem zauważono brak małej tratwy. Następnie kilku chłopców zeznało, jakoby zaginieni przebakiwali, że wkrótce miasto „o czymś się dowie”. Mądre głowy - „zestawiając, panie dziej, jedno z drugim” - doszły do wniosku, że chłopcy popłynęli sobie tratwą i że niebawem odnajdą się w najbliższym miasteczku nad rzeką. Koło południa jednak znaleziono tratwę przy brzegu Missouri, o pięć czy sześć mil poniżej St. Petersburg. Wówczas wszelka nadzieja zgasła. Musieli utonąć, bo inaczej głód by ich sprowadził do domu najpóźniej wieczorem. Poszukiwanie zwłok uważano za stratę czasu, bo chłopcy niechybnie utonęli na samym środku rzeki. Gdyby im się coś stało bliżej brzegu, jako dobrzy pływacy sami by się uratowali. Była środa wieczór. Jeśli do końca tygodnia zwłoki się nie odnajdą, trzeba będzie pożegnać się z nadzieją i w niedzielę rano zostanie odprawione nabożeństwo żałobne. Tomek zadrżał.

Pani Harper powiedziała przez łzy „dobranoc” i zabrała się do wyjścia. Pod wpływem wspólnego impulsu obie osierocone niewiasty padły sobie w objęcia, wyplakały się i to im trochę ulżyło. Wreszcie się pożegnały. Ciocia Polcia powiedziała Sidowi i Mary „dobranoc” znacznie czulej niż zwykle. Sid lekko tylko pociągnął nosem, za to Mary zalewała się łzami.

Ciotka uklękła i modliła się za Tomka tak serdecznie i gorąco, z tak bezgraniczną miłością w słowach i drżącym starczym głosem, że pirat pod łóżkiem utonął we własnych łzach, zanim zdążyła skończyć.

Gdy ciotka się położyła, musiał jeszcze długo siedzieć cicho, bo co chwila głośno jęczała, rzucała się niespokojnie i przewracała z boku na bok. Wreszcie ucichła i tylko pojękiwała przez sen. Tomek ostrożnie wyszedł z kryjówki, stanął przy łóżku, zastonił świecę ręką i przyglądał się śpiącej. Bardzo było mu jej żal. Wyjął z kieszeni zwitek kory i położył go obok świecy. Nagle coś mu przyszło do głowy i przez chwilę się zastanawiał. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła - widocznie znalazł jakieś szczęśliwe rozwiązanie problemu. Szybko schował korę do kieszeni. Pochylił się nad ciotką, ucałował jej zwiędłe usta i wyszedł na palcach, zamykając drzwi za sobą.

Przemknął się z powrotem do miejsca postoju parowca. Nie było tam żywej duszy. Śmiało wszedł na pokład, bo wiedział, że prócz wartownika, który zawsze śpi w kajucie jak zabity, na

statku nie ma nikogo. Odwiązał łódkę od rufy, wskoczył do niej i począł ostrożnie wiosłować w górę rzeki. Gdy znalazł się milę powyżej miasta, skierował łódkę ku brzegowi, nieco pod prąd, i dobrze przyłożył się do wiosł. Do miejsca po drugiej stronie rzeki, gdzie można było wylądować, trafił bez trudu, bo taka wyprawa nie była mu pierwszą. Miał wielką ochotę *zagrabić* łódkę, gdyż można ją było uważać za okręt, a tym samym za prawowity łup pirata. Wiedział jednak, że przetrząśnięto by wtedy całe wybrzeże, co mogłoby się skończyć odkryciem obozu piratów. Wyskoczył więc na brzeg i wszedł do lasu.

Usiadł. Długo odpoczywał, uparcie walcząc ze snem, wreszcie ruszył w stronę obozu.

Noc szybko pierzchła, a gdy się znalazł na brzegu, naprzeciw ławicy, był już jasny dzień. Usiadł i odpoczywał, aż słońce wzniosło się wysoko i blaskiem swym ozłociło rzekę. Wówczas wszedł do wody. W chwilę potem, cały mokry, stanął u wejścia do obozu i usłyszał głos Joe'ego Harpera:

- Nie, Huck, Tomek nie zdradzi, wróci na pewno. Tomek nie zdezerteruje. Wie przecież, że byłoby to hańbą dla pirata. Jest na to zbyt dumny. Coś musiał mieć na oku, tylko nie wiadomo co.

- Ale te rzeczy są już chyba nasze?

- Niby tak, ale jeszcze nie. Napisał, że rzeczy są nasze, jeśli nie wróci przed śniadaniem.

- Ale wrócił! - zawołał Tomek i wkroczył do obozowiska niczym na scenę.

W chwilę potem zasiedli do wystawnego śniadania, składającego się z ryb na słońnie. Tomek opowiedział swoje przygody dodając to i owo. Gdy skończył, wszyscy uważali się za bohaterów i rozpierała ich pycha.

Potem Tomek zaszył się w cienistym zakątku i spał tam do południa, a reszta piratów poszła łowić ryby i badać nieznaną wyspę.

### **PIERWSZE FAJKI. „ZGUBIŁEM SCYZORYK”**

Po obiedzie cała banda udała się na mieliznę w poszukiwaniu żółwich jaj. Chodzili i dźgali kijami piasek, a gdy trafili na pulchny grunt, klękali i rękami odgarniali ziemię. Z jednej jamy wydobywali czasem pięćdziesiąt do sześćdziesięciu jaj, okrągłutkich, białych, nieco mniejszych od włoskich orzechów. Wieczorem mieli wspaniałą ucztę ze smażonych jaj. Równie świetne śniadanie zjedli na drugi dzień rano, w piątek.

Potem, drąc się wniebogłoso i brykając, wypadli na mieliznę i jak szaleni gonili się w kółko. W biegu zrzucali z siebie ubrania. Golusieńcy pobiegli przed siebie po płytkiej wodzie mielizny i zapędzili się tak daleko, że bystry prąd zaczął ich zbijać z nóg, co im się bardzo spodobało. Stawali naprzeciw siebie i pryskając sobie wodą w twarze, szli wolno do siebie z odwróconymi głowami, by nie zachłysnąć się pianą. Wreszcie zaczęli się mocować. Kiedy któremuś udało się zanurzyć kolegę, wszyscy dawali nurka i tworzyli pod wodą kłębowisko białych rąk i nóg. Wydobywali się potem na powierzchnię i naraz parskali, pluli wodą, śmiali się i dyszeli.

Gdy się zmęczyli, wybiegli na brzeg, kładli się na suchej, rozgrzanej plaży i zakopywali się w piasku, by po chwili znów skoczyć do wody i dać jeszcze raz to samo przedstawienie. Wpadli na pomysł, że ich naga skóra może doskonale zastąpić cieliste trykoty, zakreslili więc koło na piasku i urządzili cyrk- z trzema kłownami, bo żaden nie chciał odstąpić drugiemu tego zaszczytu.

Powyciągali kule i grali nimi, póki im się nie sprzykrzyło. Joe i Huck poszli znowu pływać, ale Tomek się bał, bo przy ściąganiu spodni zgubił bransoletę z kręgów ogonowych grzechotnika, którą nosił na nodze przy kostce. Bardzo się dziwił, że mógł bez tego magicznego amuletu tak długo pływać i nie chwycił go kurcz. Nie odważył się teraz wejść do wody -musiał wpierw *znaleźć* swą zgubę. Ale Joe i Huck już się zmęczyli i chcieli odpocząć.

Trójka zaczęła się rozsypywać. Chłopcy leżeli samotnie i w smętnym nastroju ducha tęsknym okiem spoglądali na daleki brzeg rzeki, gdzie wygrzewając się w słońcu drzemało ich rodzinne miasteczko. Tomek złapał się na tym, że dużym palcem nogi pisze na piasku „BECKY”. Czym prędzej starł napis, zły, że okazał się słabym człowiekiem. Ale po chwili napisał to samo - widocznie nie było na to rady. Znowu wymazał to słowo z piasku i uciekł od pokus w ten sposób, że zebrał z powrotem rozproszoną bandę.

Joe zupełnie upadł na duchu; nie rokował już żadnej nadziei. Tak tęsknił za domem, że sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Łzy cisnęły mu się do oczu. Huck także czuł się podle. Tomek był przygnębiony, ale zaciskał zęby, aby nie dać tego po sobie poznać. Krył pewną tajemnicę, której nie chciał na razie wyjawić. Gdyby jednak buntownicze nastroje nie dawały się inaczej zażegnać, gotów był odkryć karty. Z równie wielką, jak sztuczną wesołością powiedział:

- Idę o zakład, chłopcy, że na tej wyspie żyli kiedyś piraci. Musimy to zbadać. Na pewno zakopali gdzieś skarby. Co byście powiedzieli, gdybyśmy tak trafili na spróchniałą skrzynię, pełną złota i srebra... co?

Wywołało to lekkie ożywienie, które natychmiast zgasło. Piraci milczeli. Tomek próbował innych pokus - nic nie pomogło. Szkoda było zachodu. Joe z ponurą miną grzebał kijem w piasku. Wreszcie powiedział:

- Chłopcy, dajmy temu spokój. Chcę wrócić do domu. Tu jest tak smutno.
- Ależ Joe, z czasem będzie ci weselej - odparł Tomek. - Pomyśl tylko, ile tu ryb.
- Gwiżdżę na ryby. Chcę wrócić do domu.
- Ależ Joe, nigdzie nie znajdziesz takiej kąpieli jak tutaj.
- Co mi po kąpieli? Wielka mi przyjemność, jeśli nikt mi jej nie zabrania. Wracam do domu.
- Ech, nie zwracaj gitary! Dzijdzius! Chce do mamy!
- No tak, chcę wrócić do mamy i ty byś także chciał, gdybyś miał matkę. A dzidzius jestem taki sam jak ty.

Tu Joe lekko pociągnął nosem.

- Wiesz co, Huck, niech sobie ten beksa wraca do mamusi, prawda? Biedny bobasek! Chce zobaczyć mamusię! A niech ją zobaczy! Ale tobie się tu podoba, co, Huck? My dwaj zostaniemy, no nie?

Huck odparł „t-a-k”, ale jakoś niewyraźnie.

- Do końca życia nie odezwę się do ciebie - powiedział Joe wstając. Zapamiętaj to sobie!

Odszedł nachmurzony i zaczął się ubierać.

- Mam zmartwienie! - odciął się Tomek.- - Możesz nie mówić do nikogo. Wracaj do domu na pośmiewisko. Ładny pirat, co? My nie beksy, ja i Huck. My tu zostaniemy, prawda? A ten niech sobie idzie, gdzie chce. Obejdziemy się bez niego.

Zrobiło mu się jednak nieswojo i zaniepokoiło go, że Joe zawzięcie się ubiera. Wcale mu się też nie podobało, że Huck bacznie obserwuje przygotowania Joe'ego i milczy jak zakłęty. Bez słowa pożegnania Joe zaczął brodzić ku brzegowi. Tomkowi zrobiło się smutno. Spojrzał na Hucka. Ten nie wytrzymał jego spojrzenia i spuścił oczy. Po chwili rzekł:

- Tomku, ja też chcę wracać. Tu się zrobiło tak smutno, a teraz będzie jeszcze gorzej. Chodźmy, Tomku!

- Nie chce mi się! Możecie sobie obaj iść, jeśli wam się podoba! Ja zostanę!

- Tomku, ja chyba pójdę.

- To się wynoś, kto cię tu trzyma?

Huck zaczął zbierać rozrzucone części garderoby.

- Tomku - powiedział - może byś jednak poszedł z nami? Jeszcze się zastanów. Zaczekamy na brzegu.

- Aha, czekaj zdrów. Koniec i kropka.

Huck odszedł przygnębiony, a Tomek stał i patrzył za nim. Miał wielką ochotę zdjąć pychę z serca i dołączyć do towarzyszy. Łudził się jeszcze, że zawrócą, ale oni, wolno brodząc po mieliźnie, coraz bardziej się oddalali. Nagle poczuł, że ze wszystkich stron obstepuje go cisza i pustka. Stoczył rozstrzygającą walkę z własną dumą i puścił się pędem za przyjaciółmi, wołając:

- Czekajcie! Stać! Coś wam powiem!

Zatrzymali się i odwrócili. Dopędziwszy ich Tomek zaczął rozwijać przed nimi swe tajemnicze plany. Zrazu słuchali niechętnie, lecz gdy wreszcie zrozumieli, o co mu idzie, gromkimi okrzykami wojennymi wyrazili swą zgodę. Pomysł Tomka uznali za „cudną rzecz” i oświadczyli, że gdyby im od razu o tym powiedział, nigdy by nie odeszli. Tomek usprawiedliwiał się dosyć zręcznie, choć istotnym powodem jego milczenia była obawa, że nawet tajemnica, którą im wyjawiał, nie zatrzyma ich długo, i dlatego chował ją jako ostatnią deskę ratunku.

Wrócili ochoczo na wyspę i znów bawili się jak przedtem, wychwalając bez ustanku piramidalny i arcywładny pomysł Tomka. Po wyśmienitym obiedzie, na który złożyły się jajka i ryby, Tomek oświadczył, że chce się nauczyć palić. Joe poparł tę inicjatywę i powiedział, że też by chciał spróbować. Huck tedy sporządził fajki i nabił je liśćmi tytoniowymi. Obaj nowicjusze palili dotąd tylko cygara z liści dzikiego wina, które szczypały w język i w ogóle nie miały nic wspólnego z prawdziwym „męskim” tytoniem.

Położyli się wygodnie, podparli na łokciach i zaczęli pykać ostrożnie i nie bez obawy. Dym miał nieprzyjemny smak i drażał w gardło, ale Tomek oświadczył:

—To żadna sztuka! Gdybym wiedział, że to takie proste, dawno bym się nauczył palić.

- Ja też - rzekł Joe. - Przecież to nic nie jest.

- Właśnie. Nieraz patrząc, jak inni palili, myślałem sobie, że chciałbym się tego nauczyć, i nawet mi do głowy nie przyszło, że umiem -powiedział Tomek.

- Tak samo było ze mną, no nie, Huck? Mówiłem ci kropka w kropkę to samo, może nie? No powiedz.

- Tak, mówiłeś sto razy - przyznał Huck.

- Ja też mówiłem to ze sto razy- wtrącił Tomek. - Raz mówiłem to pod rzeźnią. Pamiętasz, Huck? Był przy tym Bob Tanner, był Johnny Miller i Jeff Thatcher. Przypominasz sobie, Huck, że tak mówiłem?

- No tak - potwierdził Huck. - To było tego samego dnia, com zgubił białą kulę... Nie, to było dzień przedtem.

— A widzisz, że mówiłem! — zawołał Tomek. — Huck dobrze pamięta.

- Mógłbym chyba palić fajkę od rana do nocy - powiedział Joe. - Nic mnie nie mdli.

- Mnie też nie - oświadczył Tomek. - Mógłbym palić przez cały dzień, ale założę się, że Jeff Thatcher nie dałby rady.

- Jeff Thatcher! Idźże! Po dwóch dymach będzie leżał na ziemi. Niech tylko spróbuje... umarł w butach!

-Jasna rzecz! A Johnny Miller? Chciałbym wiedzieć, jak on by się brał do tego.

- Johnny? Skąd! - przytaknął Joe. - Ręczę, że Johnny nie da rady. Powącha tylko i będzie miał dość.

- Ma się rozumieć. Ale wiecie co, chciałbym, żeby chłopcy mogli nas teraz zobaczyć.

- Właśnie.

- Wiecie co? Nie mówcie o tym nikomu. Kiedyś, gdy zbiorą się wszyscy, ja podejść do ciebie i zapytam: „Joe, masz fajkę przy sobie? Chętnie bym zapalił”. A ty na to odpowiesz, tak od niechcienia, jakby to była zwykła rzecz: „Tak, mam swoją starą fajkę i tę drugą, ale wiesz, tytoń mam dość kiepski”. A ja na to: „Wszystko jedno, żeby tylko był mocny”. Wtedy wyjmiesz z kieszeni fajki i zapalimy sobie jakby nigdy nic. A im oczy na wierzch wyleżą!

- Holender! To będzie heca! Szkoda, że zaraz tego nie można zrobić!

- No pewnie! A jeszcze gdy im powiemy, że nauczyliśmy się palić, gdyśmy byli piratami, pękną z zazdrości.

- Och, pękną na pewno. Muszą.

W tym duchu rozmowa toczyła się dalej. Nagle jednak poczęła utykać i wyraźnie się rozprzegać. Przerwy stawały się coraz dłuższe, a spluwanie niepomiarne przybierało na sile. Każdy por w jamie ustnej zamienił się w tryskające źródło. Nie mogli nadażyć z wypróżnianiem zbiorników pod językiem, grożących powodzią. Mimo usilnych starań nie udało się zatamować strumyczków, które wciskały się do gardła i wywoływały gwałtowne ataki mdłości. Obaj zbledli bardzo i wyglądali jak półtora nieszczęścia. Fajka wypadła z bezsilnych palców Joe'ego, fajka Tomka poszła w jej ślady. Obie krynice pracowały jak szalone, a pompy natężyły wszystkie siły, aby im dotrzymać kroku. Joe odezwał się słabym głosem:

- Zgubiłem scyzoryk. Idę go szukać. Tomek, jękając się, odparł drżącymi ustami:

- Ja ci pomogę. Ty idź tędy, a ja będę szukał przy źródle. Nie, nie, Huck, zostań, my sami znajdziemy.

Huck usiadł i czekał godzinę. Potem zrobiło mu się smutno samemu i poszedł szukać kolegów. Znalazł ich w głębi lasu, jednego daleko od drugiego. Obaj twardo spali. Byli bardzo bladzi, a Huck łatwo się domyślił, że jeśli im coś dolegało, to już im ulżyło.

Tego wieczoru przy kolacji nie kwapili się do rozmowy. Wyglądali żałośnie. Kiedy Huck po zjedzeniu nabił swą fajkę i chciał przyrządzić fajki przyjaciół, podziękowali, gdyż, jak mówili, nie bardzo dobrze się czuli, pewnie zjedli coś niedobrego na obiad i to im zaszkodziło.

Koło północy Joe ocknął się i obudził przyjaciół. W powietrzu leżała jakaś przytłaczająca duszność, która zapowiadała coś niedobrego. Chłopcy przylgnęli do siebie i przysunęli się do przyjaznego ogniska, choć było tak gorąco, że z trudem łapali oddech w dusznym i zastygłym w bezruchu powietrzu. Siedzieli bez słowa i czekali w naprężeniu.

Trwała uroczysta cisza. Poza kręgiem ogniska wszystko pochłonęła czarna jak smoła ciemność. Nagle zjawił się jakiś drżący blask, rzucił niepewne światło na liście drzew i zniknął. Po chwili ukazał się drugi blask, nieco silniejszy. Potem jeszcze jeden. Przez gałęzie drzew przeleciał cichy jęk i westchnienie. Lekki powiew musnął policzki chłopców. Wzdrygnęli się na myśl, że był to Duch Nocy. Znowu zrobiło się cicho. Potem straszliwa błyskawica zamieniła noc w dzień, ukazując chłopcom wyraźnie każdą trawkę u ich stóp i oświetlając trzy blade, przerażone twarze. Głuchy łoskot gromu stoczył się z nieba i dudnił ponuro, aż zamarł w oddali. Przeleciał zimny wiatr, zaszeleścił liśćmi i sypnął popiołem ogniska jak śniegiem. Jeszcze jeden oślepiający blask oświetlił las, a potem tak trzasnęło, jakby zostały rozdarte wierzchołki drzew, tuż nad głowami chłopców. W czarnych ciemnościach, jakie teraz nastąpiły, wystraszeni chłopcy przytulili się do siebie. Kilka wielkich kropli deszczu zabębniło po liściach.

- Prędko, chłopcy! Do namiotu! - zawołał Tomek.

Skoczyli przed siebie i potykając się w ciemnościach o korzenie drzew i plącąc się w gałęziach winorośli, biegli w trzech różnych kierunkach. Wściekły wichur zawył w konarach drzew i napełnił cały las szumem. Raz po raz oślepiające błyskawice rozdzierały ciemności i jeden po drugim ogłuszająco grzmiały pioruny. Lunał gwałtowny deszcz, a wzmagający się huragan miotał poziomo całymi strugami wody. Chłopcy nawoływali się, ale ryk wichru i huk piorunów zupełnie zagłuszył ich głosy. Wreszcie jednak, pojedynczo, dotarli do namiotu i ukryli się pod nim, zmarznięci, przerażeni i ociekający strumieniami wody. W tej biedzie jedyną dla nich pociechą było to, że są razem. Nie mogli rozmawiać ze sobą, nawet gdyby przekrzyczeli burzę, bo stary namiot tłukł się jak opętany i nie dał im dojść do słowa.

Burza wzmagala się ciągle. Nagle płótno namiotu urwało się i poleciało z wiatrem. Chłopcy chwycili się za ręce. Potykając się i nabijając sobie guzy biegli na wybrzeże, gdzie znaleźli schronienie pod wysokim dębem. Nad nimi szalała walka żywiołów. W nieustannym blasku błyskawic, śmigających płomieniami po niebie, widać było jak na dłoni, jasno i ostro, gnące się drzewa i wzburzoną rzekę okrytą białą pianą i chmurą wodnego pyłu. Poprzez pędzące w rozsypce chmury, za skośną zasłoną deszczu, majaczyły zarysy wysokich urwisk na drugim brzegu rzeki. Co chwila jakiś olbrzym leśny padał w walce i z trzaskiem łamał pod sobą młodsze drzewa. Raz po raz pioruny eksplodowały z przeraźliwym hukiem, który rozdzierał uszy i budził nieopisaną grozę. Burza tak się rozwściekliła, że wyglądało na to, iż rozniesie wyspę, spali ją, zatopi aż po wierzchołki olbrzymich drzew, zmiecie ją z powierzchni ziemi, ogłuszy wszelkie żywe stworzenie - a wszystko to zrobi za jednym zamachem! Była to noc grozy dla bezdomnych młodych włóczęgów, którzy spędzali ją pod gołym niebem.

Wreszcie jednak bitwa ucichła. Wojska odmaszerowały. Pomału milkły w oddali ich pogroźki i gniewne pomruki. Pokój znów objął władzę.

Chłopcy w niemalym strachu wrócili do obozu. Okazało się, że los nie obszedł się z nimi wcale łaskawie. Otóż podczas ich nieobecności olbrzymi platan, pod którym ustali sobie legowisko, padł rażony piorunem.

W obozie wszystko, nie wyłączając ognia, zalane było wodą. Chłopcy bowiem, z beztroską właściwą swemu wiekowi, nie pomyśleli o zabezpieczeniu się przed deszczem. Sytuacja była rozpaczliwa, gdyż przemokli i trzęśli się z zimna. Biadali więc nie żałując słów. Odkryli jednak, że ogień dostał się pod pień leżącego drzewa, przy którym go rozpalili (pień był krzywy i w tym miejscu nie przylegał do ziemi), dzięki czemu tlił się jeszcze na małym skrawku, który nie zamókł na deszczu. Wytrwale i cierpliwie podsycali go chrustem i korą, które wyciągali, spod osłoniętych kłód, aż wreszcie znów buchnął płomieniem. Ułożyli na nim stos suchych gałęzi. Po chwili ogień huczał niczym w piecu. Otucha wstąpiła znów w serca chłopców. Osuszyli gotowaną szynkę, najedli się do syta, a potem, siedząc wokół ogniska, aż do białego rana rozprawiali o swojej nocnej, wspaniałej przygodzie. Spać i tak nie mogli, bo nie było ani odrobiny suchego miejsca.



Gdy pierwsze promienie słońca przekradły się przez liście drzew, ogarnęła ich senność. Poszli na plażę i ułożyli się do snu. Wkrótce jednak słońce zaczęło przypiekać, podnieśli się więc niechętnie i z ponurymi minami przygotowali posiłek. Po śniadaniu siedzieli ze spuszczonej nosami. Bolały ich kości i znów odezwała się tęsknota za domem. Widząc, co się dzieje, Tomek robił, co mógł, by rozweselić piratów. Ale oni za nic mieli kule, cyrk, kąpiel i wszystko. Dopiero gdy przypomniał im wielką tajemnicę, zabłysła iskierka radości. Zanim zgasła, Tomek zdążył zainteresować ich nowym pomysłem. Szło o to, by na jakiś czas poniechać pirackiego rzemiosła i dla odmiany przedzierzgnąć się w Indian. Bardzo im się to spodobało. Niewiele myśląc zrzucili z siebie ubrania i czarnym błotem wymalowali się w pasy od stóp do głów, tak że wyglądali jak zebry, i pomknęli w las, aby dokonać napadu na angielskie osiedle. Wszyscy trzej byli oczywiście wodzami.

Z czasem podzielili się na trzy wrogie plemiona, które, ze straszliwymi okrzykami wojennymi na ustach wypadły na siebie z zasadki, wymordowały dobre parę tysięcy ludzi i tyleż oskalpowały. Dzień to był krwawy, a tym samym nad wyraz udany.

W porze obiadowej znów zeszli się w obozie, głodni i szczęśliwi. Ale wyłoniła się pewna trudność: zwaśnieni Indianie nie mogli łamać się chlebem, jeśli przedtem nie zawarli pokoju. Przymierze zaś było czystym niepodobieństwem bez wypalenia fajki pokoju. Dobrze wiedzieli, że nie da się tego inaczej załatwić. Dwaj dzicy żałowali teraz, że poniechali korsarstwa. Ale nic się nie dało zrobić. Wodzowie tedy, z przyjemnym wyrazem twarzy, na jaki tylko ich było stać, kazali sobie podać fajkę, po czym -jak każe obyczaj - puścili ją w krąg i jeden po drugim zaciągali się dymem.

Byli nawet zadowoleni, że się stali barbarzyńcami, gdyż czegoś się jednak nauczyli. Okazało się, że mogą już trochę popalić i nie muszą zaraz biegać śladem zgubionego szczyryka. Mdlilo ich, ale nie tak znowu, żeby byli narażeni na grubsze nieprzyjemności. Nie chcieli oczywiście utracić tak cennej zdobyczy przez zwykły brak wprawy, po kolacji więc ćwiczyli się ostrożnie w tej sztuce i uzyskali wcale dobre wyniki. Dzięki temu wieczór spędzili bardzo wesoło. Nowa sztuka napełniła ich większą dumą i szczęściem, niż gdyby oskalpowali i obdarli ze skóry cały Związek Sześciu Plemion.

Niechże więc palą sobie, gawędzą i przechwalają się do woli, bo na razie do niczego innego nie są nam potrzebni.

### **PIRACI NA WŁASNYM POGRZEBIE**

Atoli w naszej mieścinie owego cichego, sobotniego wieczoru nikomu nie było wesoło. Dom ciotki Polci i wszyscy Harperowie, okrywszy się kirem żałoby, pogrążyli się w smutku i gorzkich łzach. Niezwykła cisza zalegała miasteczko, które, Bogiem a prawdą, nigdy gwarne nie było. Obywatele załatwiali swoje sprawy z jakimś roztargnieniem, mało przy tym mówili, a często wzdychali. Wolne od nauki sobotnie popołudnie wcale dzieci nie cieszyło. Zabawa jakoś im nie szła i szybko ją porzuciły.

Pod wieczór na opustoszałym dziedzińcu szkolnym plątała się smętna Becky Thatcher, nie mogąc nawet tutaj znaleźć ukojenia. Zaczęła mówić sama do siebie:

- Ach, gdybym choć miała tę miedzianą gałkę! Nic mi nie zostało na pamiątkę po nim.

Przełknęła łzy. Przystanęła i powiedziała:

- Tak, to było tutaj. Ach, gdyby wróciła ta, chwila, już bym mu tak nie odpowiedziała, za nic na świecie! Ale on nie żyje i nigdy, nigdy, nigdy już go nie zobaczę.

Ta myśl tak ją zgnębiła, że odeszła zalewając się łzami. Przyszła gromadka chłopców i dziewcząt, towarzyszy zabaw Tomka i Joe'ego. Przystanęli, zaglądali przez sztachety i z szacunkiem mówili o tym, co Tomek robił, kiedy go widzieli po raz ostatni, i jak to Joe powiedział kilka na pozór błahych słów, ale brzmiących strasznym proroctwem - co dopiero dziś jasno widać! Każdy z nich dokładnie pokazywał miejsce, gdzie wówczas stali zaginęci chłopcy, i dodawał taki mniej więcej komentarz:

- Ja stałem właśnie tu gdzie teraz, a on stał tuż przy mnie, tu gdzie ty, i uśmiechał się, o, tak się uśmiechał! Aż tu nagle coś mnie obleciało, wiesz, coś takiego strasznego. Naturalnie nie wiedziałem wtedy, co to ma znaczyć, i dopiero teraz jestem mądry!

Potem zaczął się spór, kto ostatni widział ich żywych. Wielu ubiegało się o ten smutny zaszczyt i powoływało się na zeznania mniej lub więcej fałszywych świadków. Gdy wreszcie ustalono, kto naprawdę ostatni widział zmarłych i ostatni z nimi rozmawiał, szczęśliwcy od razu zhardzieli i nabrali majestatu, a inni tylko się na nich gapili i zazdrościli im sławy.

Jakiś mizerak, nie mając żadnego innego tytułu do wielkości, oświadczył z nieukrywaną dumą:

- A mnie Tomek Sawyer raz porachował kości!

W ten sposób jednak sławy zdobyć nie było można. Większość chłopców mogła powiedzieć to samo, co znacznie obniżyło wartość takiego wyróżnienia. Gromadka powędrowała dalej, z nabożnym szacunkiem snując wspomnienia o zmarłych bohaterach.

Nazajutrz, po zakończeniu nauki w szkółce niedzielnej, dzwon nie zadzwonił jak zwykle, lecz zaczął dudnić. Niedziela była cichutka, a żałobny dzwon harmonizował z zadumą, która otuliła całą naturę. Mieszkańcy miasteczka przybywali do kościoła, po drodze przystając na chwilę w przedsionku, aby poszeptać o smutnym wydarzeniu. W samym jednak kościele milkły szepty i w ciszy słychać było tylko pogrzebowy szelest sukien kobiet podążających do ławek. Najstarsi ludzie nie pamiętali takiej ciszy w małym kościółku.

Nastąpiła wreszcie pełna oczekiwania, głęboka cisza i wtedy weszła ciotka Polcia, za nią Sid i Mary, a za nimi rodzina Harperów - wszyscy w ciężkiej żałobie. Cała gmina, nie wyłączając starego pastora, podniosła się z szacunkiem i stała, aż osierocone rodziny usiadły w pierwszej ławce. Znowu zapadła przejmująca cisza, którą przerywało tylko stłumione łkanie. Potem pastor wyciągnął ręce przed siebie i zaczął modlitwę. Wszyscy odśpiewali chórem podniosły psalm, po czym pastor wygłosił kazanie na temat: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot”.

W toku kazania pastor w takich kolorach ukazał cnoty zaginionych chłopców, ich chwalebne zachowanie i niezwykle widoki na przyszłość, że wszyscy wierni, widząc przed oczyma duszy te wizerunki, z goryczą w sercu wspominali, jak się byli zawzięli w swej ślepotcie i z jakim uporem dopatrywali się tylko wad i skaz w tych biednych chłopcach. Duchowny przypomniał też kilka wzruszających wydarzeń z życia zmarłych, które świadczyły o tym, że byli łagodni jak baranki, a serca mieli szlachetne. Wszyscy ujrzeli teraz bez trudu, jak wzniosłe i piękne były to czyny, i ze smutkiem przypominali sobie, że owego czasu postęпки te wydawały im się tylko zwykłymi łajdactwami, godnymi rzemienia. W miarę jak pastor rozwijał swój wzruszający wątek, wierni coraz bardziej miękli, aż wreszcie tak się wszyscy rozczulili, że chórem powszechnego płaczu dołączyli do pochlipujących rodzin zmarłych, a sam kaznodzieja na ambonie też nie zdzierzył i zapłakał jak bóbr.

Jakiś szmer dał się słyszeć na galerii, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. W chwilę potem zaskrzypiały drzwi kościoła. Pastor odjął chusteczkę od zapłakanych oczu i - skamieniał. Za jego wzrokiem podążyła wpierw jedna, potem druga para oczu, aż wreszcie wszyscy jak na komendę zerwali się z miejsc i z osłupieniem patrzyli na trzech umrzyków maszerujących gęsiego środkiem kościoła. Na czele kroczył Tomek, drugi szedł Joe, a za nimi, okryty od stóp do głów łąchmanami, chyłkiem podążał Huck. Ukryci na pustej galerii, chłopcy wysłuchali poświęconej im mowy pogrzebowej!

Ciotka Polcia, Mary i Harperowie rzucili się na powróconych do życia chłopców i zasypali ich lawiną pocałunków, dziękując Bogu za ich ocalenie. Biedny Huck stał z boku zmieszany i nieswój, nie wiedząc, co z sobą począć i gdzie się schować przed tyłu niechętnymi spojrzzeniami. Właśnie gdy już dawał nura, złapał go Tomek.

- Ciociu, to nieładnie - powiedział. - Ktoś musi się ucieszyć z powrotu Hucka.

- Oczywiście, Tomku, cieszę się bardzo, że znów widzę tego biedaczka, sierotkę.

Nie nie mogło bardziej dobić Hucka niż czułości, jakimi obsypała go ciotka Polcia.

W tej chwili kapłan zawołał gromkim głosem:

- Chwała Panu, od którego płynie wszelkie błogosławieństwo! Śpiewajcie! Z całego serca!

Wszyscy zaśpiewali. Kiedy potężny psalm grzmiał triumfalnie i trzęsło się sklepienie kościoła, pirat Tomek Sawyer powiódł wzrokiem po twarzach zazdrosnej młodzieży i przyznał w duchu, że był to dzień największej chwały w jego życiu.

Gdy wystrychnięta na dudka gmina tłumnie wychodziła z kościoła, wszyscy mówili, że chętnie daliby się jeszcze raz ośmieszyć, byle usłyszeć potem tak wspaniałe wykonanie owego słynnego hymnu.

Tomek zebrał tego dnia więcej klapsów i pocałunków - w miarę zmian humoru cioteczki - niż przedtem zarabiał rocznie. Sam nie wiedział, co wyraża lepiej jej przywiązanie do niego i wdzięczność wobec Boga.

**TOMEK PRYZNAJE SIĘ DO PEWNEGO SNU**

Na tym polegała wielka tajemnica Tomka: wrócić do domu wraz z piracką bracią i być na własnym pogrzebie. W sobotę o zmroku chłopcy przepłynęli na pniu drzewa na drugi brzeg Missisipi, wylądowali pięć czy sześć mil poniżej St. Petersburg i przenocowali w lesie podmiejskim, a w niedzielę o świcie przekradli się zaułkami i uliczkami do kościoła, gdzie zdrzemnęli się jeszcze na galerii, wśród połamanych ławek.

W poniedziałek rano przy śniadaniu ciocia Polcia i Mary zasypywały Tomka czułościami i dogadzały mu, jak mogły. Mówiło się przy tym niezmiernie dużo. Między innymi ciocia powiedziała tak:

- Widzisz, Tomku, może to dobry był żart, że tutaj wszyscy przez tydzień bez mała się zamartwiali, a wyście tam wesoło się bawili. Ale smutne jest to, że mogłeś być tak okrutny i tyle czasu znęcać się nade mną, twoją ciotką. Jeśli mogłeś przepłynąć na pniu, aby wziąć udział we własnym pogrzebie, to mogłeś przedtem tu się zjawić i dać mi znać, żeś nie umarł, tylko uciekł.

- Tak, Tomku, trzeba było tak zrobić - wtrąciła Mary. - Jestem pewna, że tak byś postąpił, gdybyś o tym pomyślał.

- Więc jak? - zapytała ciotka, a nadzieja zajaśniała na jej twarzy. Powiedz, czy zrobiłbyś tale, gdybyś o tym pomyślał?

- Hm... Nie wiem. To by wszystko popsuto.

- Myślałam, Tomku, że kochasz mnie choć trochę - powiedziała ciotka, z takim smutkiem w głosie, że chłopak szczerze się zmartwił. -Gdybyś nawet nic nie zrobił, ale zechciał trochę o tym pomyśleć, to już byłoby coś.

- Ależ ciociu, nie ma w tym nic złego - broniła go Mary. - Tomek jest po prostu roztrzepany, zawsze coś mu się pali w głowie i nad niczym nie pomyśli.

- Tym gorzej. Sid by pomyślał, ba! Sid by tu przyszedł i wszystko mi powiedział. Tomku, kiedyś, gdy już będzie za późno, obejrzyś się wstecz i będziesz żałował, żeś tak mało dbał o mnie nawet wtedy, gdy cię to nic nie kosztowało.

- Ciociu, przecież ja cię naprawdę kocham - odparł Tomek.

- Łatwiej bym w to uwierzyła, gdybyś inaczej postępował.

- Teraz żałuję, że o tym nie pomyślałem - ze skrucą powiedział Tomek. - Ale wiesz co? Śniłaś mi się, a to już jest coś, no nie?

- Niewiele... śnić mogę się także kotu. Ale lepszy rydz niż nic. Cóż ci się śniło?

- Wiesz, w środę w nocy śniło mi się, że siedziałaś tu przy łóżku, Sid koło skrzyni na drzewo, a Mary obok niego.

- Rzeczywiście tak było. Tak zawsze siedzimy. Ciesz się, żeś przynajmniej we śnie trochę się o nas zatroszczył.

- I śniło mi się, że była tu matka Joe'ego!

- Co? Była, była! Co ci się jeszcze śniło?
- Różne tam rzeczy. Ale mi się zapomniało.
- Postaraj się przypomnieć sobie... No więc?
- Coś mi się zdaje, że wiatr zdmuchnął... zdmuchiwał... - Pomyśl, przypomnij sobie, Tomku! Wiatr naprawdę coś zdmuchnął. No!
- Tomek przycisnął palce do skroni i trzymał je tak dobrą minutę pełną naprężenia, aż wreszcie zawołał:
  - Mam! Mam! Zdmuchnął świecę!
  - Jezus, Maria, Józefie święty! Co dalej Tomku, co dalej?
  - Zdaje mi się, żeś powiedziała: „Co to, drzwi się...”
  - Dalej, Tomku!
- Zaraz, niechże sobie przypomnę... chwilę... Ano właśnie! Powiedziałaś: „Co to, drzwi się same otworzyły?”
  - Jak mnie tu widzisz, tak powiedziałam! Prawda, Mary? Dalej!
  - A potem, a potem... nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, żeś kazała Sidowi iść i... i...
  - I co? I co? Co mu kazałam zrobić, Tomku? Co mu kazałam zrobić?
  - Kazałaś mu... kazałaś mu... no tak... iść i zamknąć drzwi.
  - Chryste Panie! Jak żyję, czegoś podobnego nie słyszałam! I niech mi kto teraz powie, że sny nic nie znaczą. Zaraz lecę do Harperowej - co ona na to? Niech mi tylko spróbuje mówić byle co o zabobonach! Dalej, Tomku, dalej!
- O, teraz wszystko jasne jak słońce. Powiedziałaś, że nie byłem złym chłopcem, tylko strasznym gałganem i szaloną pałką, a rozbrykany jak... jak... zdaje mi się, jak młody żrebak czy coś w tym guście.
  - Tak powiedziałam! Boże wielki! Dalej, Tomku!
  - A potem się rozplakałaś.
  - Tak, rozplakałam się, tak. Nie po raz pierwszy zresztą. A potem?
  - Potem znowu pani Harper zaczęła płakać i mówiła, że Joe jest taki sam, i żałowała, że go zabiła za śmietanę, którą sama osobiście wylała...
- Tomku! Duch Święty zstąpił na ciebie! Miałeś proroczy sen, rozumiesz? Proroczy! Boże miłosierny! Dalej, Tomku!
  - Potem Sid powiedział... powiedział...
  - Zdaje mi się, że nic nie mówiłem - przerwał mu Sid.
  - Ależ Sid, mówiłeś - powiedziała Mary.
  - Zamknijcie buzie, niech mówi Tomek! Więc co on powiedział?

- Powiedział... Zdaje mi się... powiedział, że pewnie mi lepiej tam, gdzie teraz jestem, ale gdybym był grzeczniejszy...

- Coś podobnego! Toż jego własne słowa!

- A tyś mu zamknęła twarz.

- Ja, myślę! Anioł musiał tu być. Nic innego, tylko anioł gdzieś tu siedział.

- A pani Harper opowiadała, jak Joe napędził jej strachu kapiszonem, a ty opowiadałaś o Piotrusiu i o „mordercy cierpień”...

- Prawda, jak mnie tu widzisz!

- A potem dużo było gadania o tym, jak nas łowili w rzece i że pogrzeb w niedzielę, a potem ty i pani Harper objęłyście się i płakały, i ona poszła.

- Wszystko się zgadza! Tak było, jak tu siedzę! Nie mógłbyś tego lepiej opisać, nawet gdybyś to widział na własne oczy. A co potem? Tomku, dalej!

- Potem, zdaje się, modliłaś się za mnie:.. Widziałem cię i słyszałem każde słowo. Położyłaś się, a mnie zrobiło się przykro i napisałem na kawałku platanowej kory: „Nie jesteśmy nieboszczykami, tylko piratami” - i położyłem na stole przy świecy. We śnie wyglądałaś na tak dobrą, że podszedłem, nachyliłem się i pocałowałem cię w usta.

- Naprawdę, Tomku, naprawdę? Za to przebaczam ci wszystko! Ciotka wzięła chłopca w objęcia jak w kleszcze, a on poczuł, że jest najnikczemniejszym łotrem.

- Bardzo ładnie postąpiłeś, choć to był tylko... sen - bąknął Sid pod nosem.

- Milcz! - zawołała ciotka. - We śnie człowiek robi to samo, co by zrobił na jawie. Masz tu, Tomku, najpiękniejsze jabłko, które chowałam dla ciebie, gdybyś przypadkiem jeszcze się znalazł. A teraz - marsz do szkoły! Chwała Panu Bogu i Ojcu Niebieskiemu za to, że wrócił mi ciebie, za to, że jest cierpliwy i miłosierny dla tych, którzy w Niego wierzą i strzegą przykazań boskich. Wiem, że nie jestem godna Jego miłości, ale gdyby tylko godni doznawali błogosławieństwa boskiego i odczuwali Jego pomocną rękę na ciernistych ścieżkach żywota, to mało byłoby na tym padole takich, co się radują, i takich, którzy wejdą do Królestwa Bożego w godzinę śmierci naszej... A teraz, jazda - Sid, Mary i ty, Tomku - uciekajcie i nie zwracajcie mi głowy!

Dzieci poszły do szkoły, a ciocia pośpieszyła z wizytą do pani Harper, aby orężem cudownego snu Tomka zadać klęskę jej sceptycznym poglądom. Sid był za mądry, by głośno powiedzieć to, co mu przyszło do głowy, gdy wychodził z domu. A pomyślał sobie tak: „Coś tu nie klapuje. Taki długi sen i bez najmniejszej pomyłki!”

Tomek był teraz bohaterem co się zowie. Nie podskakiwał i nie brykał, lecz kroczył z godną miną, jak przystoi piratowi, który wie, że ludzie na niego patrzą. Bo i patrzyli. Udawał, że nie widzi spojrzeń i nie słyszy uwag pod swoim adresem, ale się nimi upajał. Młodszy chłopcy deptali mu wprost po piętach, dumni, że mogą się z nim pokazać i że on znosi ich towarzystwo. Miał takie powodzenie, jakby szedł na czele procesji i walił w bęben lub jakby był

słoniem, który prowadzi do miasta menażerię. Rówieśnicy Tomka robili takie miny, jakby w ogóle nie wiedzieli o jego wyprawie, niemniej jednak zazdrość ich pożerała. Oddaliby wszystko, żeby mieć taką śniadą, ogorzałą cerę jak on i taką aureolę sławy. Tomek nie oddałby tych rzeczy nawet za cały cyrk.

W szkole dzieci tak tańczyły koło Tomka i Joe'ego i patrzyły na nich z tak ciętym zachwytem, że niebawem obu bohaterom zupełnie się przewróciło w głowie. Spragnionym słuchaczom zaczęli opowiadać swoje przygody - ale tylko zaczęli, gdyż końca w ogóle nie było widać, zważywszy, że dwie potężne wyobraźnie bez przerwy dostarczały im nowego materiału. A kiedy jeszcze dobyli fajek i jakby nigdy nic otoczyli się kłębamii dymu, sława ich osiągnęła zawrotne wyżyny.

Tomek postanowił uwolnić się od Becky Thatcher. Sława mu wystarczała i tylko dla niej chciał żyć. Teraz, gdy zdobył sobie pozycję, Becky będzie pewnie chciała dojść z nim do zgody. Proszę, niech spróbuje: zobaczy, że on też może być obojętny, tak samo jak ktoś był przedtem. Przyszła Becky. Tomek udawał, że jej nie widzi. Zszedł jej z drogi, przyłączył się do gromadki chłopców i dziewcząt i wdał się z nimi w rozmowę. Obserwował, jak Becky wesóło biega po podwórzu z buzią zarumienioną, strzyże oczami niby to uganiając się za koleżankami, i piszczy z radości, gdy którąś z nich złapie. Zauważył, że Becky poluje na dziewczynki blisko niego i raz po raz najwyraźniej patrzy w jego stronę. Wielce to schlebiało jego próżności, ale nie dał się przejednać i jeszcze bardziej zhardział, skwapliwie udając, że jej nie widzi. Becky przestała dokazywać i zaczęła się kręcić niedaleko Tomka. Westchnęła parę razy i ukradkiem tęsknie spojrzała w jego stronę. Zauważyła, że Tomek rozmawia z Amy Lawrence więcej niż z innymi dziewczynkami. Ukłuło ją to w samo serce, zmieszała się i zaniepokoiła. Chciała odejść, ale zdradzieckie nogi znów ją poniosły w stronę gromadki dzieci. Z nieszczerym ożywieniem powiedziała do dziewczynki stojącej obok Tomka:

- Słuchaj, Mary, jesteś brzydka, bo nie byłaś w szkółce niedzielnej.
- Byłam... nie widziałaś mnie?
- Ależ nie! Naprawdę byłaś? Gdzieś siedziała?
- Z klasą panny Peter, jak zawsze. Ja cię widziałam!
- Niemożliwe! To śmieszne, że cię nie zauważyłam. Chciałam ci powiedzieć o pikniku.
- Ach, to cudownie! A kto urządza piknik?
- Moja mamusia, dla mnie.
- Morowo! Czy będę mogła przyjść?
- No pewnie! Piknik jest dla mnie. Mamusia pozwoliła, żeby przyszli wszyscy, których ja zaproszę, a ja chcę, żebyś ty przyszła.
- To ślicznie! Kiedy to będzie?
- Niedługo... Może w czasie wakacji.
- Ach, to będzie uciecha! Czy zaprosisz wszystkie dziewczynki i wszystkich chłopców?

- Tak, każdego, kto jest moim przyjacielem lub chce nim być. - Zerknęła na Tomka, który właśnie opowiadał Amy Lawrence o straszliwej burzy na wyspie i jak to piorun rozłupał olbrzymi platan „na drobne drzazgi”, gdy on stał „o trzy kroki” od drzewa.

- Czy ja mogę przyjść? - zapytała Gracja Miller.

- Tak.

- A ja? - zapytała Sally Rogers.

- Tak.

- A ja i Joe? - zapraszała się Susy Harper. - Tak.

I tak dalej wśród radosnego klaskania w ręce, aż wreszcie wszyscy, z wyjątkiem Tomka i Amy, przymówili się o zaproszenie. Tomek odwrócił się obojętnie i nie przestając opowiadać, pociągnął Amy za sobą. Usta Becky zadrżały i łzy stanęły w oczach. Pokryła to wymuszoną wesołością. Dalej rozmawiała z koleżankami, ale piknik wyzionął ducha, a z nim umarło wszystko. Szybko odeszła, aby się ukryć i „wypłakać oczy” - jak mówią niewiasty. Siedziała w kącie, zła i sama ze swą zranioną dumą, aż do dzwonka. Wstała, błysnęła oczami pałającymi zemstą i groźnie potrząsnęła warkoczami - wiedziała już, co należy zrobić.

Podczas przerwy Tomek, wesoły jak szczygieł i bardzo z siebie zadowolony, dalej flirtował z Amy i kręcił się po dziedzińcu wypatrując Becky, aby zadać jej cios w samo serce. Wreszcie znalazł ją i... temperatura opadła mu do zera. Becky siedziała na ławeczce, w zacisznym kącie za budynkiem szkolnym i wraz z Alfredem Tempie oglądała książkę z obrazkami. Tak ich to pochłonęło, tak pochylili głowy razem nad książką, że wyglądali, jakby zapomnieli o świecie bożym. Krew się w Tomku zapiekła z zazdrości. Znienawidził się za to, że odtrącił rękę Becky wyciągniętą do zgody. W duchu wymyślał sobie od cymbałów i obrzucał się najbardziej obelżywymi wyzwiskami, jakie mu przyszły do głowy. Omal nie zapłakał ze złości. Amy szczebiotała u jego boku, bo serce jej się rozśpiewało ze szczęścia, ale Tomkowi język stanął kołkiem. Nie słyszał, co mówiła, gdy przestawała mówić i czekała na odpowiedź, przytakiwał jej półgębkiem, najczęściej ni w pięć, ni w dziewięć. Raz po raz ciągnęło go coś za szkołę i szedł tam, by sycić oczy nienawistnym widokiem. Nie mógł się oprzeć tej pokusie. Doprowadzało go do szaleństwa, że Becky jakby na śmierć zapomniała o jego istnieniu na świecie. Oczywiście widziała go, zdawała sobie sprawę, że szala zwycięstwa przechyla się na jej stronę, i cieszyła się, że teraz on cierpi - na zmianę.

Tomek nie mógł już znieść wesołego szczebiotu Amy. Raz po raz napomykał, że musi coś załatwić, że mu się bardzo śpieszy, a czas ucieka. Wszystko na próżno, ćwierkała dalej.

Cóż, do diaska - pomyślał - czy ona się już nigdy ode mnie nie odczepi?

Gdy wreszcie pożegnał ją pod pozorem owych pilnych spraw, obiecała mu z niewinną miną, że „po szkole” będzie czekała „przed szkołą”. Zmykał co tchu, a ją za to znienawidził.

Żeby to był kto inny - myślał Tomek zgrzytając zębami. Każdy inny, byle nie ten lalusz z Saint Louis, który uważa się za eleganta i podgrywa hrabiego. Czeka, czekaj! Dostałeś ode



mnie, jak się tylko pokazałeś w naszym mieście? Dostaniesz, kochasiu, jeszcze raz! Bądź spokojny, już ja cię przydybię. Złapię tak... i...

Zaczął tłuc wroga, jakby rzeczywiście go dopadł; okładał powietrze pięściami, kopał i drapał.

- Masz, bęc, jeszcze go raz! Dosyć? Co? Dostałeś nauczkę? Wyimaginowane lanie przyniosło mu znaczną ulgę.

W południe uciekł do domu. Sumienie nie pozwalało mu patrzeć na bezgraniczne szczęście Amy, a przy tym nie chciał się narazić na nowe męki zazdrości. Becky znów zabrała się z Alfredem do wertowania książki z obrazkami, a gdy czas mijał, a Tomek nie nadchodził - nie było kogo dręczyć. Chmury pojawiły się na niebie jej zwycięstwa. Książka przestała ją interesować. Spoważniała, potem przyszło roztargnienie, a w ślad za nim smutek. Na odgłos kroków nadstawiła uszu, ale nadzieja okazała się płonna. Tomek nie przychodził. Wreszcie poczuła się bardzo nieszczęśliwa i żałowała, że posunęła się za daleko. Biedny Alfred - widząc, że ją traci, a nie wiedząc dlaczego - wołał co chwila: „O, to piękne! Patrz!” Straciła wreszcie cierpliwość i zawołała:

- Ach, przestań mnie dręczyć! Nic mnie to nie obchodzi! - Wybuchnęła płaczem, zerwała się i uciekła.

Alfred pobiegł za nią i starał się ją pocieszyć, ale krzyknęła: - Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju! Nie znoszę cię! Chłopiec przystanął. Nie mógł zrozumieć, co takiego jej zrobił. Przecież sama mu powiedziała, że przez całą popołudniową przerwę będzie z nim oglądała, obrazki, a teraz uciekła z płaczem. Zamyślony wrócił do pustej szkoły. Czuł się upokorzony, był zły. Nietrudno było dojść prawdy: dziewczyna użyła go po prostu jako ślepego narzędzia zemsty na Tomku. Gdy to zrozumiał, zapalał jeszcze większą nienawiścią do swego wroga. Postanowił dobrze mu przysolić, samemu zbytnio się nie narażając. Nagle wpadła mu w oko czytanka Tomka. Oto nadarzyła się sposobność. Uradowany otworzył książkę na stronie, gdzie była lekcja zadana na popołudnie, i oblał ją atramentem.

Właśnie w tej chwili Becky zajrzała przez okno i zobaczyła wszystko, ale się nie zdradziła. Poszła w stronę domu pragnąc spotkać Tomka i powiedzieć mu, co się stało. Będzie jej wdzięczny i muszą się pogodzić. Ale nim uszła pół drogi, zmieniła zdanie. Przypomniała sobie, jak Tomek obszedł się z nią, gdy mówiła o pikniku, i znów doznała palącego wstydu. Postanowiła nic mu nie mówić. Niech dostanie w skórę za poplarnienie książki, a ona, na dodatek, będzie go nienawidzić do śmierci.

### **"NIE POMYŚLAŁEM O TYM" — BRZMI CZASEM OKRUTNIE**

Tomek wrócił do domu w ponurym nastroju. Już pierwsze słowa, jakie usłyszał od ciotki, dowiodły, że nie tutaj należało szukać ukojenia i że wpadł z deszczu pod rynnę.

- Ja cię, Tomku, chyba obedrę ze skóry!

- Ciociu, a co ja zrobiłem?

- Co? Jeszcze się pyta? To ja, stara idiotka, lecę do Harperowej i myślę, że ona będzie musiała uwierzyć w ten sen, bzdury nie sen! A tu masz babo placek! Ona już wie od Joe'ego, żeś był tu wtedy i sam słyszałeś, cośmy mówili. Doprawdy nie wiem sama, co wyrośnie z chłopaka, który pozwala sobie na takie rzeczy. Po prostu słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że pozwoliłeś mi pójść do pani Harper i zrobić z siebie idiotkę, jakich mało, i ani słowa nie pisałeś.

To była odwrotna strona medalu. Dzisiejsze ranne łgarstwo wydawało się dotąd Tomkowi dobrym, a nawet znakomitym żartem. Teraz kawał wyglądał całkiem kiepsko. Zwiesił głowę i w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

- Ciociu - odezwał się wreszcie - bardzo mi przykro, że tak zrobiłem, ale nie pomyślałem o tym.

- Och, mój drogi, ty nigdy o niczym nie pomyślisz z wyjątkiem własnych przyjemności. Pomyślałeś o tym, aby w nocy przyjść tutaj z Wyspy Jacksona i śmiać się z naszego zmartwienia, pomyślałeś, aby nałgać o tym śnie i zrobić ze mnie idiotkę, ale żeby się zlitować nad nami i oszczędzić nam bólu - to ci już do głowy nie przyszło.

- Ciociu, teraz wiem, że to było bardzo brzydko, ale nie zrobiłem tego naumyślnie. Słowo daję. A poza tym wtedy w nocy nie przyszedłem tu, żeby się z was śmiać.

- A po coś przyszedł?

- Chciałem ci powiedzieć, żebyś się o nas nie martwiła, bo wcaleśmy nie utonęli.

- Oj, Tomku, Tomku, z całego serca podziękowałabym Bogu, gdybym mogła uwierzyć, że miałeś tak dobre intencje. Ale wiesz dobrze, że tak nie było, i ja wiem także.

- Ciociu, naprawdę, naprawdę tak było. Niech się z tego miejsca nie ruszę, jeśli nie było.

- Oj, Tomku, nie kłam, proszę! To już byłby koniec wszystkiego. -Ja nie kłamię, ciociu, to prawda. Chciałem, żebyście się nie martwili,

i tylko dlatego tu przyszedłem.

- Wszystko bym dała za to, żebym ci mogła uwierzyć. To by zmasało twoje największe grzechy, Tomku. Czułabym się niemal szczęśliwa, żeś był tak niedobry i uciekł z domu. Ale przecież nie mogę ci uwierzyć; czemuś, synku, wtedy nie odezwał się do mnie?

- Widzisz, kiedy usłyszałem, jak mówiłaś o naszym pogrzebie, wpadłem na pomysł, żeby wrócić i ukryć się w kościele. Nie mogłem więc zepsuć sobie zabawy. Schowałem korę z powrotem do kieszeni i nie puściłem pary z ust.

- Jaką znów korę?

- Korę, na której wam napisałem, że zostaliśmy piratami. Jaka szkoda, że się nie obudziłaś, kiedy cię pocałowałem! Naprawdę wielka szkoda.

Surowe zmarszczki na twarzy ciotki wygładziły się nagle, a oczy jej się uśmiechnęły.

- Pocałowałaś mnie, Tomku?

- No, pocałowałem.
- Naprawdę, Tomku?
- Pewnie, że naprawdę, ciociu.
- A dlaczego mnie pocałowałeś, Tomku?
- A bo cię bardzo kocham, a ty leżałaś i wzdychałaś przez sen, i zrobiło mi się smutno.

Wyglądało to na prawdę. Starsza pani nie mogła ukryć drżenia głosu i powiedziała:

-Pocałuj mnie jeszcze raz, Tomku... i uciekaj do szkoły, nie zawracaj mi głowy.

Ledwie Tomek wyszedł, ciotka pobiegła do szafy i wydobyła szczątki kurtki, którą Tomek miał na sobie jako pirat. Stanęła z kurtką w ręku i powiedziała do siebie:

- Nie, nie mam odwagi. Biedny chłopiec na pewno skłamał, ale było to święte kłamstwo, bo tylko przyniosło mi ulgę. Spodziewam się, że Pan Bóg... wiem na pewno, że Pan Bóg przebaczył mu, gdyż skłamał z dobrego serca. Ale nie chcę wiedzieć, że to było kłamstwo. Nie zajrzę do jego kieszeni.

Położyła kurtkę i przez chwilę stała zamyślona. Dwa razy wyciągała po nią rękę i zaraz ją cofała. Wreszcie jednak zdecydowała się, dodając sobie odwagi słowami:

- To było dobre kłamstwo... całkiem dobre... Nie ma się czym martwić.

Sięgnęła ręką do kieszeni. W chwilę później tonąc we łzach czytała list, który Tomek napisał na korze.

- Teraz - powiedziała - przebaczyłabym mu, choćby miał na sumieniu milion grzechów.

### **TOMEK CIERPI ZA BECKY**

Ciocia PoLcia pocałowała Tomka tak jakoś serdecznie, że smutek przeszedł mu jak ręką odjął i znów lekko mu było na sercu. Pobiegł do szkoły. Szczęście chciało, że na rogu ulicy łąkowej spotkał Becky. Tomek zawsze kierował się nastrojem, Bez chwili wahania podbiegł do niej i powiedział:

- Becky, postąpiłem dziś brzydko i bardzo tego żałuję. To się już nigdy nie powtórzy, nigdy w moim życiu. Pogódźmy się, dobrze?

Dziewczynka zatrzymała się i spojrzała mu w oczy z pogardą.

- Bardzo będę wdzięczna, jeśli pan Tomasz Sawyer zajmie się swoją własną osobą. Ja nie mam zamiaru z nim rozmawiać.

Zadarta głowę i poszła. Tomek tak się zmieszał, że zanim zebrał myśli, już było za późno na jedyną w takim wypadku odpowiedź: „Bimbam na panią, pani Zarozumiała!” Nie powiedział więc nic, ale zły był jak lichy. Z chmurną miną przyszedł na szkolne podwórko. Ach, gdyby była chłopcem, sprawiłby jej takie lanie, że prosiłby siadać!

Gdy ją spotkał, rzucił za nią zjadliwym słówkiem. Becky natychmiast mu oddała - mosty były spalone. Pałała do niego taką nienawiścią, że nie mogła doczekać się rozpoczęcia lekcji; chciała jak najprędzej ujrzeć na własne oczy, jak Tomek dostanie w skórę za poplamienie

książki. Jeśli nawet nosiła się z zamiarem zdemaskowania Alfreda Tempie, to ostatnia napaść Tomka rozwiąta wszelkie skrupuły.

Biedna dziewczyna nie wiedziała, że nad jej własną głową gromadzą się chmury.

Nauczyciel, pan Dobbins, dożył lat męskich, a nie osiągnął celu swego życia. Marzył o tym, aby zostać lekarzem, ale ubóstwo sprawiło, że musiał się zadowolić posadą wiejskiego nauczyciela. Co dzień, gdy nie pytał dzieci, wyciągał z szuflady jakąś tajemniczą książkę i pogrążał się w lekturze. Książkę tę trzymał pod kluczem. Nie było w szkole takiego urwisa, którego by nie pożerała chęć zajrzenia do tej książki, choćby jednym okiem, ale jak dotąd nie było po temu okazji. Każdy chłopiec i każda dziewczynka w szkole mieli swój własny pogląd w sprawie treści owego dzieła i nie było dwóch opinii, które by się pokrywały, ale cóż można było na to poradzić, gdy się nie miało dostępu do faktów. Dzisiaj Becky przechodząc obok katedry, która stała niedaleko drzwi, spostrzegła, że... klucz jest w zamku! Nadeszła wielka chwila. Becky rozejrzała się i zobaczyła, że jest sama - i już miała książkę w ręce. Karta tytułowa: Prof. Iksiński - *Anatomia*, nic jej nie powiedziała, zaczęła więc przewracać kartki. Od razu trafiła na piękną kolorową ilustrację, wyobrażającą człowieka gołego jak święty turecki. W tej chwili jakiś cień padł na kartkę.

W drzwiach stanął Tomek Sawyer i już zdążył rzucić okiem na obrazek. Becky chciała prędko zamknąć książkę i tak nieszczęśliwie nią szarpnęła, że przedarła kartkę z ilustracją od góry aż do połowy. Wrzuciła ją do szuflady, przekręciła klucz i rozplakała się ze złości.

- Tomku! Tylko taki podlec jak ty może się tak podkraść i podpatrywać, co ktoś ogląda!

- Skąd mogłem wiedzieć, że ty tutaj coś oglądasz?

- Wstydiłbyś się, Tomaszu Sawyer!.Wiem, teraz pójdziesz na mnie poskarżyć. Och, co to będzie, co będzie! Dostanę w skórę, a jeszcze nigdy w szkole nie dostałam.

Potem tupnęła nóżką i powiedziała:

- Możesz być skarżypytą, jak chcesz. Ja też coś wiem. Coś tu będzie. Poczekaj, zobaczysz! Jakiś ty wstrętny, wstrętny, wstrętny! -I wybiegła z klasy zalewając się łzami.

Tomek stał jak wryty. Był zdumiony tą napaścią. Pomyślał sobie:

Doprawdy, ciekawy okaz idiotki. Nigdy nie dostała w szkole! Wielka mi rzecz - bicie! Guzik z pętelką. Ale takie są już dziewczęta - skóra cienka, a serce zajęcze. No cóż? Wiadomo, że nie poskarżę wujciowi Dobbinsowi na tę smarkulę. Znajdę na nią sposób, tylko nie taki podły. Ale cóż z tego! Dobbins na pewno zapyta, kto rozdarł książkę. Nikt się nie przyzna. Więc wujcio zrobi po swojemu: zacznie wywoływać jedno po drugim, a gdy dojdzie do niej, już ją ma, choć nikt nie piśnie słowa. Z oczu dziewczynki wszystko wyczytasz. Bo dziewczęta nie mają kręgosłupa. Becky dostanie w skórę. Hm, to się dziewczyna wpakowała! Cało z tego nie wyjdzie.

Tomek rozważył jeszcze sprawę z tej i z tamtej strony, po czym dodał:

No dobrze. Ona chętnie by mnie zobaczyła w takich opałach. Zobaczymy, jak jej samej to się spodoba!

Przyłączył się do kolegów bawiących się na podwórzu. Po chwili nadszedł nauczyciel i rozpoczęła się lekcja. Tomek nie odczuwał nadmiernego zapału do nauki. Ilekroć zerknął w stronę dziewcząt, niepokoił go wyraz twarzy Becky. Razem wzięwszy, nie miał zamiaru litować się nad nią, a jednak nie mógł się zdobyć na obojętność. Uczucia, jakiego doznawał, nie można było nazwać radością.

Tymczasem nastąpiło odkrycie plamy w jego książce. Na chwilę pochłonęły Tomka jego własne sprawy. Becky, która z rozpaczy popadła w stan odrętwienia, ocknęła się teraz i z żywym zainteresowaniem śledziła przebieg wypadków. Nie wierzyła, by Tomek mógł ujść kary w ten sposób, że nie przyzna się do rozlania atramentu. Miała słuszność. Zaprzeczenie pogorszyło tylko sytuację Tomka. Becky myślała, że ją to ucieszy, a nawet wmawiała sobie, że już się cieszy, ale jakoś nie bardzo jej było wesoło. Kiedy nastąpiła katastrofa, coś ją pchało, by wstać i wskazać na Alfreda Tempie jako winowajcę, ale się zmogła i ugryzła w język. „On na pewno poskarży, że rozdarłam ilustrację. Nie powiem ani słowa, nawet gdyby szło o jego życie”.

Tomek dostał lanie i wrócił na miejsce niezbyt zmartwiony, uważał bowiem, że istotnie mógł, sam o tym nie wiedząc, wylać atrament na książkę podczas jakiejś awantury w ławce. Zaprzeczył tylko ze względów formalnych i dlatego, że taki był zwyczaj, a poza tym osobiście hołdował zasadzie, żeby się nigdy do niczego nie przyznawać.

Minęła cała godzina. Nauczyciel siedział drzemiąc na swoim tronie, szum klasy działał usypiająco. Pan Dobbins przeciągnął się, ziewnął, otworzył szufladę i sięgnął po książkę, ale jakoś nie mógł się zdecydować, czy ją wyjąć, czy zostawić w spokoju. Dzieci patrzyły na to z tępą obojętnością, ale dwie pary oczu bacznie śledziły każdy jego ruch. Przez chwilę pan Dobbins bębnił z roztargnieniem palcami po książce, wreszcie wydobyl ją i poprawił się na krześle, najwidoczniej przystępując do lektury. Tomek zerknął na Becky. Widział kiedyś bezradne spojrzenie zaszczutego królika, który patrzył na fuzję wymierzoną w jego głowę. Tak patrzyła Becky. Od razu zapomniał o tym, że się gniewają. Coś trzeba było zrobić, i to prędko! Bezpośrednia bliskość niebezpieczeństwa paraliżowała jednak jego inteligencję. Aż nagle olśniło go objawienie! Doscoczy, wyrwie nauczycielowi książkę, rzuci się ku drzwiom i zwieje! Zawahał się jednak chwilę i sposobność minęła - nauczyciel otworzył książkę. Ach, gdyby wróciła ta stracona chwila! Za późno! Tomek widział, że nie ma już dla Becky ratunku. Nauczyciel patrzył na klasę. Wszyscy spuścili oczy. W jego spojrzeniu było coś takiego, co nawet niewinnych przejęło trwogą. Nastąpiła cisza, w czasie której można było doliczyć do dziesięciu. Nauczyciel zbierał gniewem. Wreszcie zapytał:

- Kto podał książkę?

Nic nie słychać. Cisza jak makiem zasiał. Klasa uparcie milczy... Nauczyciel świdruje oczami twarz po twarzy szukając oznak winy.

- Benjamin Rogers! Czy to ty podarłeś książkę?

Nie, nie on. Znowu milczenie.

- Józef Harper! To ty?

Harper też się nie przyznaje. W czasie tego przypiekania na wolnym ogniu Tomek czuł się coraz bardziej nieswojo. Nauczyciel okiem bazyliuszka powiódł po ławkach chłopców, pomyślał chwilę i zwrócił się w stronę dziewcząt.

- Amy Lawrence? Potrząsnęła głową.

- Gracja Miller?

Ten sam znak zaprzeczenia.

- Zuzanno Harper! Czy to ty zrobiłaś?

Ale nie. Teraz przysłała kolej na Becky Thatcher. Tomek drżał na całym ciele z podniecenia. Sytuacja była bez wyjścia.

- Rebeka Thatcher! - Tomek spojrzał na jej twarz: zbieła ze strachu. - Czy to ty podarłaś książkę? Czekaj, patrz mi w oczy! - (Złożyła ręce jak do modlitwy) - Czy to ty podarłaś książkę?

Nagle myśl jak błyskawica przeszła mózg Tomka. Zerwał się z miejsca i krzyknął:

- Ja podarłem tę książkę!

Cała klasa zrobiła wielkie oczy. Niestychane szaleństwo Tomka wywołało ogólne osłupienie. On zaś postąpił chwilę na miejscu, by zebrać się w sobie, po czym wystąpił na środek, gdzie czekała go kara. Kiedy szedł przez klasę, biedna Becky posłała mu, niczym promień słońca, spojrzenie - zdumione, pełne wdzięczności i podziwu, które byłoby mu nagrodą nawet za tysiąc kijów. Olśniony blaskiem swego czynu ani jęknął pod okrutnymi razami, w których pan Dobbins przeszedł samego siebie. Obojętnie przyjął również surową karę dodatkową: miał pozostać w klasie dwie godziny po nauce. Wiedział bowiem, kto będzie czekał przed szkołą na jego wyjście z niewoli i kto długich godzin oczekiwania nie będzie uważał za stracone.

Tego wieczoru Tomek, leżąc już w łóżku, snuł plany zemsty na Alfredzie Tempie. Ze wstydem i skruchą opowiedziała mu Becky wszystko, nie kryjąc własnej zdrady. Nawet jednak żądza odwetu szybko ustąpiła miejsca słodszy od niej marzeniom; wreszcie zasnął, a w uszach wciąż dźwięczały mu ostatnie słowa Becky:

- Jakże szlachetny byłeś, Tomku!

### **KRASOMÓWSTWO I POZŁACANA KOPUŁA**

Zbliżały się wakacje. Nauczyciel, zawsze surowy, stał się jeszcze surowszy i bardziej wymagający niż zwykle, pragnął bowiem, by szkoła dobrze się spisała w wielkim dniu egzaminów. Różga i kij rzadko teraz próżnowały, zwłaszcza w niższych klasach. Omijały tylko chłopców pod wężem oraz pannice w wieku lat około dwudziestu. Pan Dobbins tłukł dziatwę

tęgo, bo chociaż krył pod peruką lśniąca pałkę, gołą jak kolano, był mężczyzną w kwiecie wieku i siły mu dopisywały.

W miarę zbliżania się wielkiego dnia coraz bardziej wychodziły na wierzch tyrańskie popędy pana nauczyciela, który znajdował jakąś okrutną rozkosz w karaniu za najdrobniejsze wykroczenia. Skutek był taki, że chłopcy dni spędzali we łzach i trwodze, a nocami knuli zemstę. Nie pominęli żadnej okazji, by się czymś przysłużyć pedagogowi. Ale on zawsze był górą. Każda udana zemsta chłopców spotykała się z taką druzgocącą odprawą, że uchodzili z pola bitwy srodze poturbowani.

Wreszcie uknuli spisek i wymyślili plan, który obiecywał wspaniałe zwycięstwo. Wciągnęli do spisku syna miejscowego malarza szyldów, powiedzieli mu, o co chodzi i poprosili o pomoc. Pomysł bardzo się chłopcu spodobał, gdyż miał swoje własne porachunki z panem Dobbinsem, który stołował się u jego rodziców i dał mu niemało powodów do nienawiści. Żona nauczyciela miała za kilka dni wyjechać na wieś, nic więc nie stało na przeszkodzie ich zamysłom. Nauczyciel przysposabiał się zawsze do wielkich uroczystości w ten sposób, że pił przedtem jak szewc. Syn lakiernika przyrzekł, że w uroczystym dniu egzaminów, wieczorem, gdy pan profesor znajdzie się we właściwym stanie i będzie drzemał w fotelu, on „zrobi to, co się wie”, a potem, w ostatniej chwili obudzi go i na łeb na szyję wyprawi do szkoły.

Nadszedł wreszcie uroczysty dzień. O godzinie ósmej wieczorem szkoła była wspaniale oświetlona i przystrojona wieńcami i girlandami z liści i kwiatów. Nauczyciel królował w fotelu na podium, a za nim stała tablica. Wygląd miał dość błogi. Trzy rzędy ławek po obu stronach podium oraz sześć pierwszych rzędów naprzeciwko zajęły miejscowe grube ryby i rodzice uczniów. Po lewej stronie nauczyciela, za ławkami obywateli, ustawiono dużą estradę, na której siedziały dzieci mające wystąpić na popisowym egzaminie: rzędy chłopczyków umytych i wystrojonych aż do ostatnich granic ich niezadowolenia, rzędy głupawych dryblasów, podobne do ławic śnieżnych ławki z dziewczynkami i pannami, które siedziały wysztafirowane w batysty i muśliny, nie zapominając ani na chwilę o tym, że mają obnażone ramiona, antyczną biżuterię po babkach, różowe i niebieskie wstążki i kwiaty we włosach. Reszta sali wypełniona była uczniami nie biorącymi udziału w popisie.

Uroczystość się zaczęła. Małeńki chłopczyzna wystąpił i z cielęcym wyrazem twarzy zaczął w te słowa:

*Panie i panowie,*

*Co na to powiecie,*

*Że wierszyk wam powie*

*Takie małe dziecię?*

I tak dalej, przy czym akompaniował sobie wymęczonymi, kurczowymi gestami, jakby był automatem, i to takim, któremu rozkręciły się śrubki. Ale choć ledwie żywy ze strachu, dobrnął szczęśliwie do końca. Wśród rzęsistych oklasków wykonał swój zmechanizowany ukłon i odszedł.

Maleńka zawstydzona dziewczynka wysepleśniła o „dziewcątku, które miało jagniątko...”, zrobiła dyg, a raczej przysiad godny litości, otrzymała swoją porcję oklasków i usiadła spłoniona i szczęśliwa.

Potem wyszedł z dufną miną Tomek Sawyer i w przystępie szału, gestykulując jak opętany, palnął początek owej nieśmiertelnej i wprost niezastąpionej ody:

*O, daj mi wolność lub śmierć mi daj!*

Tu urwał. Chwyliła go za gardło potworna trema, nogi zaczęły się pod nim trząść, zatkało go zupełnie. Sala najwyraźniej mu współczuła, ale milczała, a to było jeszcze gorsze od litości. Nauczyciel zmarszczył brwi i w ten sposób dopełniła się czara goryczy. Tomek walczył jeszcze, ale nie dał rady i zszedł sromotnie pobity. Odezwały się rzadkie oklaski i prędko zamilkły.

Teraz nastąpiły: *Chłopiec stał na płonącym pokładzie*, *Zginęli Asyryjczycy* i inne klejnoty literatury przepięknej. Potem przyszła kolej na czytanie i zawody ortograficzne. Nieliczna grupa „łacinników” wyszła obronną ręką. Ozdobą programu uroczystości miały być oryginalne utwory młodych dam. Jedna za drugą wychodziły na skraj estrady, chrząkały, podnosiły w górę manuskrypt (obwiązany szykowną wstążeczką) i brały się do czytania, pilnie bacząc na stronę uczuciową dzieła i jego znaki przestankowe. Tematy były te same, jakie w podobnych okolicznościach opiewały ich matki, babki i niewątpliwie wszystkie ich prababki, wstecz aż do wojen krzyżowych: *Przyjaźń*, *Wspomnienia minionych dni*, *Religia w dziejach*, *Kraina marzeń*, *Korzyści kultury*, *Formy rządów politycznych*, *ich podobieństwa i różnice*. *Smutek*, *Miłość dzieci do rodziców*, *Serdeczne pragnienia* itd. itd.

Głównym znamieniem tych utworów była wykołysana w nich i wychuchana zaduma. Po drugie, przelewało się w nich od „pięknych zwrotów”. Dalej ciągnęło się za uszy i pchało do tych utworów pewne słówka i frazesy, które cieszyły się takim wzięciem, że się zupełnie wytarły. Ostatnią wreszcie osobliwością i obrzydliwością, którą wyróżniały się owe wypracowania, był natrętny i nieznośny morał, jakim dosłownie każde z nich kiwało na końcu jak złamanym ogonem. Wszystko jedno, o czym była mowa, autorka stawała na głowie, byle tak wszystko wykręcić, żeby umysły cnotliwe i pobożne były tym zbudowane. Jaskrawa obłuda tych kazań nie wystarczyła, by zrozumiano, że trzeba to przepędzić ze szkół. Brzydki ten zwyczaj pleni się u nas do dziś dnia i przetrwa chyba do końca świata. Nie ma w naszym kraju szkoły, w której młode panny nie poczuwałyby się do obowiązku kończenia wypracowań morałem. Łatwo można by się przekonać, że najbardziej płocze i najmniej religijne panienki wypisują najwięcej pobożnych i niesłychanie surowych morałów. Ale dość o tym... Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Wróćmy do opisu. Jako pierwszy został odczytany utwór pod tytułem: *Więc to jest życie?* Może czytelnik wytrzyma ten krótki fragment utworu:

„Z jakimże rozkosznym wzruszeniem, wśród szarzyzny i pustki dnia codziennego, wzdycha młode serce do upragnionej zabawy! Niestrudzona wyobraźnia różowymi barwami maluje obrazy radości i wesela. Zapalona wielbicielka światowych uciech widzi się oczyma duszy



wśród rozbawionych tłumów. Wszyscy patrzą na nią z podziwem. Jej wdzięczna postać odziana w śnieżnobiałe szaty wiruje w upojnym tańcu, gubiąc się w labiryncie tłumy. Jej oczy najjaśniej błyszczą, jej nóżka najwdzięczniej stąpa w tej całej wesołej gromadzie.

Wśród rozkosznych marzeń szybko mknie czas, aż nadchodzi upragniona godzina, kiedy dziewczę uniesie się w nieziemską krainę swych promiennych snów. Jakimże czarem owiane jest wszystko w jej olśnionych oczach! Ukazują się coraz cudniejsze widoki. Ale po chwili zaczyna rozumieć, że pod piękną powłoką kryje się pustka i nicość. Pochlebstwa, które niegdyś słodko kołysały jej duszę, teraz brzmią w jej uszach niemiłym zgrzytem. Prysnął czar sali balowej. Z nadszarpniętym zdrowiem i zgorzkniałym sercem odwraca się od wszystkiego, bo wie już, że radość ziemską nie ukoi tęsknot jej duszy!"

I tak dalej, «i tak dalej. W czasie występu po sali co chwila przebiegał szmer uznania, któremu towarzyszyły takie ściszone głosy: „Jakież to słodkie!” „Ach, jakie to wymowne!” „Ach, jakie prawdziwe” itd. Kiedy zaś rzecz ta skończyła się nad wyraz zboliałym morałem, zabrzmiały rzęsiste oklaski.

Potem podniosła się szczupła i smutna dziewczyna o twarzy „interesująco” bladej, którą zawdzięczała zapewno pigułkom i niestrawności. Odczytała poemat. Może wystarczą dwie zwrotki:

*DZIEWCZĘ Z MISSOURI ŻEGNA SIĘ Z ALABAMĄ*

*O, żegnaj Alabamo, jakieś kochana, Jednak idę, za tobą zamykając drzwi,*

*Smutne, och, smutne myśli, ciężka w sercu rana I wspomnienie o tobie, które marszczy brwi. Wędrowałam po twoich rozkwitniętych lasach, Znał mnie, ach, znał mnie Tallapuzy nurt, Słuchałam, jak Talassy fala w pluskach hasa I słońce mię pieściło, hen, na zboczach gór. Lecz się wcale nie wstydzę, że serce mi pęka, Ani się nie rumienię, zem cała we łzach -Przecież miłą ojczyznę żegna ma piosenka, Przecież do niej od obcych wzdygam och i ach! Tu był dom mój, o, tutaj dostawałam papu,*

*Twoje rzucam doliny i cudny twój gród. Zimne musi być serce i oko, i caput, Jeśli, o, Alabamo, zamieniasz je w lód.*

Bardzo mało było takich, którzy wiedzieli, co znaczy *caput*, ale poemat ogromnie się wszystkim spodobał.

Następnie zjawiała się na estradzie smagła, czarnooka i czarnowłosa pannica. Zrobiła najpierw efektowną pauzę, przybrała tragiczny wyraz twarzy i zaczęła czytać miarowym uroczystym głosem:

*„WIDZENIE”*

Noc była ciemna i burzliwa. Wokół tronu boskiego na wysokościach nie migotała ani jedna gwiazda. Głuche odgłosy potężnych grzmotów bezustannie drżały w uszach, a straszne, rozgniewane błyskawice oświetlały ukryte w chmurach niebieskie komnaty i zdawały się szydzić z władzy, jaką narzucił ich mocom nasz znakomity Franklin. Porywiste wichry jak jeden

mąż opuściły swe tajemnicze przybytki i dęły wokół, jak gdyby swym udziałem chciały spotęgować grozę widowiska.

W taką godzinę, tak ciemną, tak straszną, serce moje szalenie pragnęło ukojenia. Aż tu nagle:

*Wierna ma przyjaciółka,  
Którą kocham ogromnie,  
Ma powiernica - przyszła  
I stanęła koło mnie:*

Zjawiła się, jak owe świetlane istoty, które romantyczna młodzież widzi na słonecznych szlakach krainy swych marzeń, królowa piękności okryta li tylko szatą swej nieziemskiej urody. Stąpała tak leciutko i niemal bezszelestnie, że gdyby nie tajemniczy dreszcz, którym mnie przejęła, toby mi, zwiewna jak wszystko co piękne, niepostrzeżenie i nieuchwytnie umknęła. Dziwny smutek leżał na jej obliczu jak lodowe łyzy na szacie Grudnia, gdy wskazała palcem na skłócone żywioły, prosząc, bym się przyjrzała dwom istotom..."

Te koszmary zajmowały dziesięć stron rękopisu i kończyły się morałem obracając wniwecz wszelkie nadzieje tych, którzy nie byli wyznawcami kościoła prezbiteriańskiego, dzięki czemu praca otrzymała pierwszą nagrodę i została uznana za największy sukces tego wieczoru. Burmistrz wręczając autorce nagrodę wygłosił płomienne przemówienie, w którym stwierdził, że był to najbardziej wymowny utwór, jaki słyszał w swym życiu, i że sam Daniel Webster byłby dumny, gdyby to napisał.

Nawiasem należy wspomnieć, że i tym razem najwięcej było wypracowań, w których autorki pieściły się ze słowem „cudny”, a przeżycie ludzkie nazywały „stronicą z księgi żywota”.

Nauczyciel, który zrobił się niemal dobroduszny, odsunął fotel, odwrócił się plecami do publiczności i zaczął na tablicy rysować mapę Ameryki, gdyż przyszła kolej na egzamin z geografii. Ale ręka mu drżała, Ameryka się pokiełbasiła i stłumiony chichot przeleciał po sali. Wiedział, co to znaczy, błąd trzeba było naprawić. Start więc tablicę i narysował mapę na nowo. Ale tym razem poszło mu znacznie gorzej. Śmiech był coraz głośniejszy. Nauczyciel całą duszę włożył w swe dzieło, starając się nie zwracać uwagi na objawy wesołości. Czuł, że wlepione są w niego wszystkie oczy. Zdawało mu się, że już jest na dobrej drodze, a jednak śmiech nie ustawał, a nawet wyraźnie się wzmacniał.

Nie było to bez powodu. Nad salą znajdowało się poddasze z luką w podłodze, tuż nad głową nauczyciela. W tym właśnie otworze ukazał się kot zawieszony na sznurku i zaczął powoli zjeżdżać na dół. Głowę miał obwiązaną szmatą, żeby nie miauczał. Po drodze wyginał się w górę i czepiał sznurka, potem znowu opadał w dół, chwytając pazurami powietrze. Śmiechy stawały się coraz głośniejsze. Kot był już tylko o sześć cali od zajętej czym innym głowy nauczyciela. Niżej, niżej, jeszcze trochę... Kot z rozpaczą uczeplił się peruki i wpił w nią pazurami, po czym natychmiast wyjechał w górę i zniknął w luce, trzymając w łapach swą

zdobycz. Cóż za wspaniały blask bił teraz od łysej pały nauczyciela! Albowiem syn lakiernika pozłocił głowę panu Dobbinsowi!

Popis został przerwany. Chłopcy byli pomszczeni. Zaczęły się wakacje.

Tak zwane utwory, przytoczone w tym rozdziale, zostały wzięte żywcem z książki pod tytułem *Proza i poezja-pióra pani z Zachodu*. Autorka napisała je tak świetnie, jakby sama była pensjonarką, dlatego są to próbki o wiele szczęśliwsze niż wszelkie naśladownictwo wypracowań szkolnych (*przyp. autora*)

### **HUCK CYTUJE PISMO ŚWIĘTE**

Tomek wstąpił do nowego stowarzyszenia - „Młodych Abstynentów”, gdyż urzekły go ich wspaniałe insygnia. Ślubował, że jako członek organizacji nie będzie palił, żuł tytoniu i używał brzydkich słów. Zrobił nowe odkrycie: wystarczy tylko dać słowo, że czegoś nie będziemy robić, aby zaraz właśnie tego nam się zachciało. Męczył się bardzo, gdyż ogromnie mu się chciało palić i kłać. To pragnienie tak mu piekło gardło, że jedynie widoki na pokazanie się z czerwoną szarfą powstrzymywały go od porzucenia szeregów towarzystwa. Zbliżał się dzień czwartego lipca, ale Tomek, zanim minęło czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy dał się zakuć w kajdany organizacyjne, zrezygnował z czekania na święto narodowe i całą swą nadzieję położył w starym panu Frazerze, sędzim pokoju, który już dogorywał. Frazerowi należał się galowy pogrzeb z racji wysokiego urzędu, jaki sprawował w mieście. Przez trzy dni Tomek bardzo się interesował stanem zdrowia sędziego i skwapliwie zbierał wiadomości w tej sprawie. Chwilami sędzia rokował takie nadzieje, że Tomek już wyciągał swe wspaniałe abstynenckie insygnia i przymierzał je przed lustrem. Ale sędzia kaprysił tak, że można było stracić do niego cierpliwość. Wreszcie rozeszła się wieść, że mu się polepszyło i że wraca do zdrowia. Tomek miał tego dość, uważał się za poszkodowanego. Zgłosił więc wystąpienie ze stowarzyszenia, a tej samej nocy sędziemu pogorszyło się i zmarło. Tomek postanowił już nigdy nie ufać sędziom.

Pogrzeb był czymś wspaniałym. „Młodzi Abstynenci” wystąpili z takim fasonem, że były członek tej organizacjiomal nie padł trupem z zazdrości. Ale odzyskał wolność, a to było coś warte. Mógł teraz palić i kłać, jednakże ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że wcale nie ma na to ochoty. Na samą myśl, że może to robić, odeszła go chęć i prysnął urok tych przyjemności.

Ze zdumieniem też Tomek zrobił odkrycie, że tak upragnione wakacje zaczęły mu nieco ciążyć.

Spróbował pisać pamiętnik, gdy jednak w ciągu trzech dni nic się nie wydarzyło, zaprzestał.

Do miasta przyjechał pierwszy murzyński zespół śpiewaczy i wywołał duże wrażenie. Tomek i Joe Harper utworzyli więc trupę aktorską. Przez dwa dni, byli szczęśliwi.

Nawet wielkie święto czwartego lipca zrobiło klapę, bo lało jak z cebra, wobec czego nie było pochodu, a największy (jak się Tomek spodziewał) człowiek na świecie, pan Benton, prawdziwy senator Stanów Zjednoczonych, sprawił mu gorzkie rozczarowanie, nie miał bowiem dwudziestu pięciu stóp wzrostu i daleko mu było do tego.

Przyjechał cyrk. Chłopcy też urządzili cyrk w namiotach z podartych dywanów i przez trzy dni dawali przedstawienia za opłatą trzech szpilek od chłopca, a dwóch od dziewczyny. Ale i to szybko im przeszło.

Potem zjawił się frenolog, a po nim magnetyzer - i odjechali, a w miasteczku zrobiło się jeszcze bardziej pusto i nudno niż przedtem.

Odbyło się kilka zabaw dziecięcych, ale było ich tak mało i tak były piękne, że przeraźliwa nuda między jedną zabawą a drugą stała się jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Becky Thatcher wyjechała na wakacje do rodziców, którzy mieszkali w Konstantynopolu - życie przestało być piękne.

Straszna tajemnica mordu gnębiła Tomka bez przerwy. Było to podobne do raka, chroniczne i bardzo bolesne.

Potem przyszła odra.

Przez dwa długie tygodnie Tomek leżał przykuty do łóżka, umarły dla świata i jego wydarzeń. Był bardzo chory i nic go nie interesowało. Gdy wreszcie stanął na nogach i chwiejnym krokiem poszedł do miasta, spostrzegł, że wszyscy dziwnie posmutnieli. Otóż nastąpiło „odrodzenie” i całe miasto „uciekło się” do religii, nie tylko dorośli, ale nawet chłopcy i dziewczęta.

Tomek wałęsał się po ulicach nie tracąc nadziei, że może uda mu się ujrzeć choć jedną wesołą grzeszną duszę, ale na każdym kroku spotykało go rozczarowanie. Joe'ego Harpera zastał przy studiowaniu Biblii, uciekł więc smutny od tego przygnębiającego widoku. Spotkał Bena Rogersa, który szedł właśnie odwiedzać ubogich i niósł cały koszyk pobożnych broszur. Odnalazł Jima Hollisa, ten zaś zwrócił mu uwagę, że winien uważać swą odrę za dobrodziejstwo i że był w tym palec boży. Każdy napotkany chłopiec dodawał nową bolesną nutę do rozpacz, która była w sercu Tomka. Kiedy wreszcie zgnębiony schronił się na łono swego przyjaciela Hucka i został tam przywitany cytatem z Pisma Świętego, zupełnie się załamał. Dowłóknął się do domu i poszedł do łóżka, przekonany, że on jeden w całym mieście jest zgubiony i potępiony na wieki.

Tej nocy rozpętała się straszliwa burza z gwałtowną ulewą, okropnym trzaskaniem piorunów i oślepiającymi płachtami błyskawic. Tomek nakrył głowę kołdrą i umierając ze strachu czekał na swoje przeznaczenie, bo nie miał cienia wątpliwości, że cała ta chryja była z jego powodu. Był pewny, że przeciągnął strunę cierpliwości mocy niebieskich - i ładnych doczekał się skutków! Gdyby ktoś chcąc zabić muchę wytoczył baterię armat, Tomek uważałby to za zbędną paradę i marnowanie amunicji, ale nie widział nic niedorzecznego w tym, że urządza się kosztowną burzę z piorunami, by pozbawić gruntu pod nogami takiego lichego robaczka jak on.

Wreszcie burza zmęczyła się i poszła spać nie spełniwszy swego zadania. Pierwszym odruchem Tomka było podziękować Bogu i poprawić się, drugim czekać, bo może takiej burzy już więcej nie będzie.

Nazajutrz znów wezwano lekarza- odnowiła się choroba Tomka. Trzy tygodnie spędzone w łóżku wydawały mu się wiekiem.

Gdy wreszcie wyszedł z domu, wcale się nie cieszył, że los go oszczędził, bo wiedział, że jego włości zostały spustoszone, że stracił przyjaciół i ostał się sam na świecie. Wałęsając się bez celu po ulicy ujrzał Jima Hollisa, który wraz z innymi chłopcami zasiadał w trybunale sądzącym kota za zabójstwo, w obecności jego ofiary - martwego ptaszka. Dalej, w bocznej uliczce spotkał Joe'ego i Hucka. Zajadali skradzionego melona. Biedni chłopcy! I u nich, podobnie jak u Tomka, nastąpiła recydywa.

### **OCALENIE MUFFA POTTERA**

W sennej atmosferze miasteczka nastąpiło wreszcie zakłócenie - i to bardzo gwałtowne. W sądzie rozpoczął się proces w sprawie zabójstwa doktora. Całe miasto tylko o tym mówiło Tomek nie wiedział, gdzie się schować. Na każdą wzmiankę o morderstwie oblatywały go ciarki, bo nieczyste sumienie i strach podszeptowały mu, że napomyka się w jego obecności o zabójstwie tylko po to, żeby go zażyć z mańki. Nie wierzył wprawdzie, aby go podejrzewano, że wie coś o morderstwie, a jednak ludzkie gadanie napawało go lękiem i zimny pot go oblewał. Zaciągnął Hucka w ustronne miejsce, aby porozmawiać z nim na ten temat. Wiedział, że dozna pewnej ulgi, jeśli bodaj na chwilę popołguje językowi i podzieli się swym brzemieniem z towarzyszem niedoli. Chciał się przy tym upewnić, czy Huck czegoś nie wygadał.

- Huck, czy ty nikomu nic nie mówiłeś?

- O czym?

- No... wiesz

- Aha... pewnie, że nic.

- Ani słowa?

- Ani słówka, jak babcię kocham. Czemu się pytasz?

- Bo się bałem...

- Daj spokój, w ciągu dwóch dni byłoby po nas, gdyby to się wydało. Sam wiesz.

Tomek trochę się uspokoił. Ale po chwili zapytał: - Huck,, nikomu nie dasz się pociągnąć za język i nie wygadasz, co?

- Wygadam? Wiesz, jak będę" chciał, żeby ten mieszaniec z piekła rodem mnie utopił, to się dam pociągnąć za język. Inaczej nie!

- No, to wszystko w porządku. Ja też uważam, że póki trzymamy język za zębami, nic nam nie grozi. Ale przysięgnijmy jeszcze raz, na wszelki wypadek.

- Zgoda.

Przysięgli więc jeszcze raz z zachowaniem straszliwego ceremoniału.

- Co ludzie gadają, Huck? Bo ja słyszałem różne rzeczy.

- Co gadają? Ciągłe tylko Muff Potter, Muff Potter, Muff Porter. Ile razy to słyszę, pot mnie oblewa i chciałbym się schować w mysia dziurę.

- To samo i ja. Potter jest już jedną nogą na tamtym świecie. Powiedz, czy nie żałujesz go trochę?

- Nawet bardzo... bardzo. Nie jest on wiele wart, ale krzywdy nikomu nie zrobił. Nałowi ryb, weźmie za to parę groszy i urznie się, a potem łazikuje, ile dusza zapragnie. Ale, mój Boże, my wszyscy nie jesteśmy lepsi, a przynajmniej większość nas... choćby tacy pastorzy. Potter to w gruncie rzeczy porządny chłop. Raz dał mi pół ryby, choć sam wcale się nie najadł, i często mi pomagał, gdy byłem w biedzie.

- A mnie naprawiał latawce i przywiązywał haczyki do wędek. Ach, gdybyśmy mogli go stamtąd wydostać!

- Nie, Tomku, nie da rady. Zresztą to by się na nic nie zdało, boby go zaraz złapali.

- Tak, to prawda. Ale nie mogę słuchać, kiedy ludzie klną na niego jak wszyscy diabli, a przecież on tego nie zrobił!

- Ja też nie mogę słuchać. Mój Boże! Ludziska mówią, że takiego krwiożerczego zbira jeszcze nie widzieli i że dawno już powinien być wisieć.

- Tak, mówią w kółko to samo. Słyszałem, jak się odgrażali, że go zlinczują, jeśli wyjdzie na wolność.

- I na pewno tak zrobią.

Chłopcy długo jeszcze rozmawiali, ale nie przyniosło im to żadnej ulgi. Gdy zapadł zmrok, nogi same zanosły ich pod więzienie - mały domek stojący na uboczu. Kręcili się w pobliżu więzienia z niewyraźną nadzieją, że może stanie się coś takiego, co zdejmie im ciężar z serca. Ale nic się nie stało. Widocznie ani anioły, ani inne dobre duchy nie interesowały się nieszczęśliwym więźniem.

Chłopcy zrobili to co zwykle: podeszli do więziennego okna i przez kratę podali Potterowi trochę tytoniu i zapalki. Siedział w celi na parterze i nikt go nie pilnował.

Wdzięczność Pottera za ich dary raniła im serca, a dziś była jeszcze bardziej bolesna niż zwykle. Uważali się za ostatnich tchórzów i zdrajców, gdy Potter powiedział:

- Bardzo dobrzy byliście dla mnie, moi chłopcy, lepsi niż całe miasto. Nie zapomnę wam tego nigdy! Nieraz mówię sobie tak: „Naprawiałem chłopcom w mieście latawce i zabawki, pokazywałem im, gdzie najlepiej łowić ryby, i byłem ich przyjacielem, a oni wszyscy zapomnieli o starym Muffie, gdy znalazł się w biedzie, tylko Tomek nie zapomniał i Huck nie zapomniał, i - mówię sobie - ja o nich też nie zapomnę”. Tak, chłopcy, popełniłem straszną rzecz. Byłem widocznie pijany i szłał mnie ogarnął. Tylko tak mogę to sobie wytłumaczyć. A teraz będę za to dyndał i nic mi nie pomoże. To mi się należy i może tak będzie najlepiej... Przyznaję, że nie może być inaczej. Ale nie mówmy o tym. Nie chcę, byście się smucili, byliście przecież moimi przyjaciółmi. Ale jedno wam powiem: nie pijcie wódki, jeśli nie chcecie

skończyć w więzieniu. Odejdźcie trochę dalej, o, tak! To wielka pociecha widzieć życzliwe twarze, gdy człowiek tak nisko upadł i nikt, oprócz was, nie chce go znać. Zacznie, życzliwe twarze... Niech jeden wlezie drugiemu na plecy, to was pogłaskam. O, tak. Podajcie mi rękę. Wasze ręce przejdą przez kraty, moje są za duże. Małe rączki i słabe, a jednak wiele pomogły Muffowi Potterowi i zrobiłyby więcej, gdyby tylko się dało.

Tomek wrócił do domu zupełnie zdruzgotany. W nocy miał potworne sny. Przez następne dwa dni kręcił się koło sądu. Jakaś przemożna siła pchała go do środka i ledwie jej się oparł. To samo działo się z Huckiem. Obaj skwapliwie się unikali. Co pewien czas oddalali się od budynku, ale ta sama ciemna siła przyciągała ich z powrotem. Tomek nastawiał uszu, gdy gapie wychodzili z sądu, ale słyszał same niepokojące wieści - pętla coraz okrutniej zaciskała się na szyi biednego Pottera. Pod koniec drugiego dnia rozprawy opowiadano w mieście, że Indianin Joe stanowczo obstaje przy swoich zeznaniach i że nie ma najmniejszej wątpliwości, jaki będzie wyrok ławy przysięgłych.

Tego dnia Tomka do późnej nocy nie było w domu. Wrócił przez okno. Był straszliwie wzburzony. Zasnął dopiero po kilku godzinach.

Nazajutrz całe miasteczko wyległo przed gmach sądu, gdyż był to rozstrzygający dzień procesu Pottera. W natłoczonej sali pełno było mężczyzn i kobiet. Po długim czekaniu wszedł korowód przysięgłych. Usiedli. Potem wprowadzono zakutego w kajdany Pottera. Był błydy, wynędzniały, zastraszony i przybity. Posadzono go tak, że wszyscy ciekawi jego widoku mogli mu się do woli napatrzeć. Nie mniej na widoku siedział Indianin Joe z twarzą obojętną jak zwykle. W chwilę po przysięgłych wszedł sędzia. Szeryf obwieścił, że posiedzenie się rozpoczęło. Za stołem sędziowskim nastąpiły, jak zwykle, szepty i zbieranie akt. Te szczegóły i wynikała stąd zwłoka wytworzyły nastrój pełen oczekiwania, podniecenia i napięcia.

Wezwano świadka, który zeznał, że w dniu wykrycia morderstwa widział nad ranem, jak Muff Potter mył się w potoku i uciekł na widok świadka. Oskarżyciel zadał mu kilka pytań, po czym zwrócił się do adwokata:

- Czy obrona ma pytania?

Więzień podniósł oczy, ale zaraz je spuścił, gdy jego obrońca oświadczył:

- Nie mam pytań dla świadka.

Następny świadek zeznał, że przy zamordowanym leżał nóż. Oskarżyciel zapytał:

- Czy są pytania dla świadka?

- Nie mam pytań - odparł obrońca Pottera.

Trzeci świadek zeznał pod przysięgą, że nóż ten często widywał u Pottera.

- Czy są pytania?

Obrońca znowu zrezygnował z zadawania pytań świadkowi.

Na twarzach publiczności poczęło się malować zaniepokojenie. Czy ten adwokat w ogóle się nie ruszy i nie będzie bronił życia swego klienta?

Dalsi świadkowie zeznali, że zachowanie się Pottera, gdy go przyprowadzono na miejsce zbrodni, dowodziło jego winy. I oni odeszli bez pytań ze strony adwokata.

Każdy szczegół obciążających oskarżonego faktów, jakie zaszyły owego ranka na cmentarzu (wszyscy obecni dokładnie je pamiętali), został potwierdzony przez wiarygodnych świadków, a mimo to obrońca Pottera nie brał ich w krzyżowy ogień pytań. Zdumienie i niezadowolenie publiczności wyraziło się pomrukami na sali, co wywołało karczącą uwagę sędziego.

Głos zabrał prokurator:

- Złożone pod przysięgą zeznania obywateli w pełni zasługujących na wiarę w sposób niezbity, nieodparty i ponad wszelką wątpliwość stwierdziły, że tę potworną zbrodnię zabójstwa popełnił nieszczęsny więzień zasiadający na ławie oskarżonych. Na tym zamykam postępowanie dowodowe.

Jęk wyrwał się z piersi Pottera. Ukrył twarz w dłoniach i lekko kołysał się w przód i w tył wśród bolesnego milczenia sali. Niejeden mężczyzna był wzruszony, a kobiety łzami objawiały swe współczucie. Wówczas adwokat wstał i powiedział:

- Wysoki Sądzie! W swym oświadczeniu na początku rozprawy zapowiedzieliśmy przeprowadzenie dowodu na okoliczność, że nasz klient dopuścił się tego strasznego czynu w stanie niepoczytalności wywołanej *delirium tremens*. Zmieniliśmy pogląd w tej sprawie. Zrzekamy się dowodu na tę okoliczność.

Tu adwokat zwrócił się do woźnego:

- Proszę wezwać Tomasza Sawyera!

Ośłupienie odmalowało się na twarzach obecnych nie wyłączając Pottera. Wszystkie oczy ze zdumieniem zwróciły się na Tomka, gdy stanął przed sądem. Chłopak wyglądał nie bardzo przytomnie, gdyż ledwie żył ze strachu. Został zaprzysiężony.

- Tomaszu Sawyer, gdzie byłeś siedemnastego czerwca o północy?

Tomek rzucił okiem na kamienną twarz Indianina Joe'ego i język odmówił mu posłuszeństwa. Cała sala słuchała z zapartym oddechem, a Tomek ani rusz nie mógł przemówić. Po chwili jednak zebrał się na tyle, że słabym głosem, dosłyszalnym tylko przez część sali, powiedział:

- Na cmentarzu!

- Bądź łaskaw trochę głośniej. Nic się nie bój. Byłeś więc...

- Na cmentarzu. Pogardliwy uśmiech przewinął się po twarzy Indianina.

- Czy byłeś może w pobliżu grobu Williamsa?

- Tak, proszę pana.

- Aha. Czy mógłbyś jeszcze odrobinę głośniej? Jak blisko grobu byłeś?

- Tak jak stąd do pana.

- Byłeś ukryty czy nie?



- Ukryty.
- Gdzie?
- Za więzami, które rosną nad grobem... Indianin Joe drgnął nieznacznie.
- Był jeszcze ktoś z tobą?
- Tak, proszę pana. Byłem z...
- Czekaj, pomalutku. Lepiej nie wymieniasz swego towarzysza. Wezwiemy go we właściwym czasie. Czy miałeś coś z sobą?

Tomek Zawahał się, minę miał nietęgą.

- Mów śmiało, mój drogi, czego tu się bać? Prawda jest zawsze godna szacunku. Coś tam z sobą wziął?

- Tylko z... z... zdechłego kota.

Po sali przeleciał lekki śmiech, natychmiast poskromiony przez sąd.

- Złożymy później szkielet tego kota jako dowód rzeczowy. A teraz, mój chłopcze, opowiedz nam wszystko, co tam było; mów po swojemu, niczego nie opuszczaj, no i nie bój się niczego.

Chłopiec zaczął opowiadać - najpierw niepewnie, ale potem, gdy się rozkręcił, słowa płynęły mu coraz swobodniej. Po chwili na sali zrobiło się cicho i słychać było tylko głos Tomka. Wszystkie oczy zwrócone były na niego - z otwartymi ustami i zapartym tchem sala łowiła każde słowo, urzeczona niesamowitą grozą opowiadania Tomka. Wzrastające podniecenie słuchaczy doszło do szczytu, gdy powiedział:

- A... a gdy doktor uderzył go tablicą z grobu i Muff Potter się przewrócił, Indianin Joe doskoczył z nożem i...

Trach! Mieszaniec z błyskawiczną szybkością rzucił się ku oknu, odepchnął na bok tych, którzy go chcieli zatrzymać, i uciekł.

### **DNI CHWAŁY I NOCE PEŁNE STRACHU**

Tomek znów chodził w blasku sławy bohatera i był ulubieńcem dorosłych, a przedmiotem zazdrości młodzieży. Nazwisko jego zostało nawet uwiecznione drukiem, miejscowy dziennik bowiem rozpisywał się o jego czynie. Byli tacy, którzy przepowiadali mu, że zostanie prezydentem Stanów, jeśli oczywiście przedtem go nie powieszają.

Jak to bywa, zmienny i bezmyślny świat przytulił teraz Muffa Pottera do swego łona i tak samo nie skąpił mu względów, jak przedtem obelg. Ale było to postępowanie godne pochwały, nie ma więc żadnego powodu, by nam się nie podobało.

Dni Tomka pełne były blasku i wesela, a w nocy chłopak zapadał w otchłań trwogi. Indianin Joe zatruwał mu sny swym złowieszczym spojrzeniem. Po zapadnięciu nocy żadna pokusa nie wyciągnęłaby Tomka z domu.

Biedny Huck znajdował się w takim samym stanie upadku ducha i przerażenia. W nocy, przed decydującym dniem rozprawy, Tomek opowiedział wszystko adwokatowi Pottera i teraz

Huck żył w śmiertelnym strachu, że jego udział w tej sprawie też wyjdzie na jaw, chociaż ucieczka Joe'ego oszczędziła mu męki składania zeznań przed sądem. Biedaczysko wymógł na obrońcy słowo, że nic o nim nie powie - ale co z tego? Od czasu gdy udręczone sumienie zapędziło Tomka w nocy do domu adwokata i tam wydobyło straszną tajemnicę z jego ust, które przecież były zapieczętowane najbardziej groźnymi i przerażającymi przysięgami, Huck stracił zaufanie do ludzi.

Tomek za dnia, gdy Potter okazywał mu swą wdzięczność, rad był, że wszystko powiedział, ale w nocy żałował, że nie utrzymał języka na wodzy. Pół doby bał się, że Indianina nigdy nie złapią, a drugie pół lękał się, że go złapią. Jednego był pewien: odetchnie dopiero wtedy, gdy ten człowiek pożegna się z życiem, a on na własne oczy ujrzy jego trupa.

Wyznaczono nagrody za ujęcie zbiega i przetrząsnięto całą okolicę, ale Joe przepadł jak kamień w wodę. Z miasta St. Louis przyjechał detektyw, jeden z tych fenomenów, co to wszystko wiedzą i budzą grozę. Myszkował, głową kiwał, robił arcymądre miny i wreszcie doszedł do zdumiewających wyników, co zresztą ludziom jego profesji niezmiernie często się zdarza. Krótko mówiąc - „wpadł na trop”. Ale tropu nie powieszisz zamiast mordercy; gdy więc detektyw zrobił swoje i pojechał do domu, Tomek jak był, tak i pozostał bardzo niespokojny.

Dni płynęły wolno, a każdy z nich zabierał z sobą nieco brzemienia, jakie przygniatało Tomka.

### **W POSZUKIWANIU UKRYTEGO SKARBU**

W życiu każdego normalnie rozwijającego się chłopca przychodzi czas, kiedy budzi się w nim gwałtowne pragnienie szukania ukrytych skarbów. Pewnego pięknego dnia takie właśnie pragnienie opanowało Tomka. Natychmiast wyruszył na poszukiwania Joe'ego Harpera, ale go nie znalazł. Potem szukał Bena Rogersa - ten znów poszedł na ryby. Aż tu natknął się na Hucka Finna, Krwawą Rękę. Huck nadawał się do tej rzeczy. Tomek zaprowadził przyjaciela w ustronne miejsce i poufnie poinformował go, jak sprawy się mają. Huck nie miał nic przeciw temu. Zawsze był gotów przyłożyć rękę do przedsięwzięcia, które obiecywało zabawę, a nie wymagało kapitału, bo rozporządzał niepokojącym nadmiarem takiego czasu, który - na przekór przysłowiu - nie jest pieniądzem.

- Gdzie będziemy kopać? - zapytał Huck.

- Och, wszędzie.

- Jak to, czy wszędzie ukryte są skarby?

- Ależ skąd! Są zakopane w specjalnych miejscach, czasem na wyspach, czasem w zbutwiałych skrzyniach między korzeniami starych, obumarłych drzew, i to właśnie tam, gdzie o północy pada cień, a najczęściej pod podłogą domów, w których straszy.

- A kto je zakopuje?

- Kto? Zbójcy, naturalnie. A ty myślałeś, że kto? Dyrektorzy szkółek niedzielnych?

- A bo ja wiem? Gdybym miał skarb, tobym go nie zakopywał. Puszczalbym pieniądze i wesoło się bawił.

- Ja też. Ale zbójcy tak nie robią. Zakopują skarb i niech sobie leży w ziemi.

-I nie przychodzą, żeby go zabrać?

- Nie. Owszem, chcą przyjść, ale albo zapomną, jakie zrobili znaki, albo umrą. W każdym razie skarb leży bardzo długo i rdzewieje, aż wreszcie ktoś znajdzie stary pożółkły papier i tam jest napisane, jak odnaleźć znaki. Tydzień trwa, zanim się ten papier odcyfruje, bo przeważnie są tam tylko takie obrazki i hieroklipy.

- Hiero... co?

- Hieroklipy. Obrazki i inne fiki-miki, wiesz. Wyglądają tak, jakby nic nie znaczyły.

- Czy ty masz taki papier? -Nie.

- To jak chcesz znaleźć znaki?

- A po co znaki? Oni zawsze zakopują pod domem, gdzie straszy, albo na wyspie, albo pod uschniętym drzewem ze sterzącym konarem. Widzisz, próbowaliśmy już trochę na Wyspie Jacksona, możemy spróbować jeszcze raz. Mamy też stary zaklęty dom na wzgórzu, za potokiem Cichego Domu, a uschniętych drzew mamy do diabła i trochę!

- Czy skarb jest pod każdym takim drzewem?

- Głupiś. Skąd!

- To skąd będziesz wiedział, do którego się zabrać?

- Ruszamy wszystkie!

- Coś ty? To jest robota na całe lato.

- No to co? A jak znajdziesz miedziany garnek, a w nim sto dolarów okrytych śniedzią, albo zbutwiałą skrzynię pełną diamentów? Co wtedy?

Huckowi zaświeciły się oczy.

- To pycha. W sam raz dla mnie! Dasz mi te sto dolarów, a diamenty możesz sobie wziąć.

-Dobrze. Bądź spokojny, ja ich nie wyrzucę. Czasem jeden taki kamyk wart jest dwieście dolarów, a nie ma ani jednego, za którego byś nie dostał najmniej pół lub całego dolara.

- Niemożliwe! Naprawdę?

- A jakże! Każdy ci to powie. Czyś ty nigdy jeszcze nie widział diamentu, Huck?

- Zdaje mi się, że nie.

- Ba, królowie mają całe worki diamentów.

- Może, ale ja nie znam żadnego króla.

-Ja myślę! Ale jakbyś pojechał do Europy, tobyś zobaczył, ilu ich tam kica.

- To oni kicają?

- Coś ty! Z dębu spadłeś?

- To po coś mówił, że kicają?

- Mięta i rumianek! Mówiłem tylko, żebyś ich zobaczył. Wiadomo, że nie kicają. Co by im z tego przyszło? Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś ich zobaczył całe mrowie. Mówiłem w ogóle, a nie w szczególe. Żebyś zobaczył, na przykład, tego starego garbusa Ryszarda.

- Ryszarda? Jak on się nazywa?

- On się w ogóle nie nazywa. Królowie nie mają nazwisk, tylko imiona.

- Jak to?

- A tak to, nie mają.

- Niech sobie nie mają, jak im się tak podoba. Nie chciałbym być królem i mieć tylko imię, jak Murzyn. Ale, słuchaj, gdzie chcesz najpierw kopać?

- Jeszcze nie wiem. Może weźmiemy się do tego starego, uschniętego drzewa na wzgórzu, po drugiej stronie Cichego Domu?

- Dobra.

Wzięli jakąś kulawą motykę oraz łopatę i ruszyli w drogę. Do celu było trzy mile. Przyszli tam zgrzani i zziązani. Rzucili się na ziemię w cieniu wiązu, by odpocząć i *zapalić* fajki.

- To mi się podoba - rzekł Tomek.

- Mnie też.

- Powiedz, Huck, gdybyśmy tu znaleźli skarb, co zrobisz ze swoją częścią?

- Co dzień będę kupował sobie ciastko i szklanekę wody sodowej i będę chodził do każdego cyrku, który do nas przyjedzie. Nie bój się, będę sobie używał.

-I nic nie odłożysz?

- Odkładać? Po co?

- No, żeby mieć później z czego żyć!

- To by się na nic nie zdało. Pewnego dnia tatunio wróci do naszego miasta i położy łapę na pieniądzech, których nie zdążę wydać. Mówię ci, on by się prędko uwinął z moim skarbem. A co ty zrobisz ze swoją połową?

- Kupię sobie nowy bęben, prawdziwą szablę, czerwony krawat i szczeniaka buldoga, a potem się ożenię.

- Ożenisz się?

- No pewnie.

- Tomek! Ty... tyś bzika dostał!

- Poczekaj, zobaczysz.

- Ach, to jest największe głupstwo, jakie mógłbyś zrobić. Na przykład mój tata z mamą. Jak oni się bili! Tłukli się, uważasz, bez przerwy. Już ja to dobrze pamiętam.

- I cóż z tego? Dziewczyna, którą ją biorę za żonę, nie będzie się biła.

- Ależ Tomku, one wszystkie są dobre. Każda potrafi zalać sadła za skórę. Ty się jeszcze poważnie zastanów. Jak się nazywa ta twoja dziewczucha?

- To nie dziewczucha, tylko dziewczyna.

- To wszystko jedno. Jedni mówią „dziewucha”, inni „dziewczyna”, nie kijem go to pałką. No więc jak jej na imię?

- Powiem ci kiedy indziej.

- Dobrze, nie pali się. Tylko jak się ożenisz, ja zostanę już zupełnie sam.

- Wcale nie, bo będziesz mieszkał ze mną. No, ale trzeba wstać i zabrać się do kopania.

Przez pół godziny pracowali w pocie czoła. Bez skutku. Męczyli się następne pół godziny. I znowu nic. Wreszcie Huck zapytał:

- Czy oni zawsze tak głęboko zakopują?

- Czasem, ale nie zawsze, na ogół nie. Pewnie źleśmy trafili. Wybrali więc inne miejsce i zaczęli kopać na nowo. Szło im ciężko, ale

praca posuwała się naprzód. Jakiś czas kopali w milczeniu, wreszcie Huck oparł się na łopacie, rękawem otarł pot z czoła i zapytał:

- Gdzie chcesz kopać potem, gdy tu skończymy?

- Może zabierzemy się do tego starego drzewa na wzgórzu Cardiff, za domem wdowy?

- Zdaje mi się, że to będzie dobre miejsce. Ale czy wdowa nie odbierze nam skarbu, bo to jest jej grunt?

-Zabierze, akurat! Niech spróbuje! Zakopany skarb należy do tego, kto go znalazł. Bez różnicy, czyj jest grunt.

Huck się uspokoił. Kopali dalej. Po pewnym czasie Huck powiedział:

- Do diaska! Znowu kopimy nie tam, gdzie trzeba. Co ty na to?

- Wiesz, Huck, to szalenie ciekawe. Nic nie rozumiem. Czasem przeszkadzają czarownice. Coś mi się widzi, że to jest ich robota.

- Bujda! Za dnia czarownice nie mają nic do gadania.

- Prawda, nie pomyślałem o tym. Aha! Już wiem, co to jest. Osły jesteśmy i tyle! Przecież najpierw trzeba zobaczyć, gdzie pada cień drzewa o północy, i dopiero w tym miejscu kopać.

- A do pioruna! Tośmy się szarpali na darmo jak głupi. Niech to diabli wezmą! Musimy przyjść tu jeszcze raz w nocy. Taki kawał drogi. Czy będziesz dziś mógł wyjść z domu?

- No pewnie! Przyjdziemy tu dzisiaj w nocy, bo jak ktoś zobaczy te dołki, to się zaraz połapie, o co chodzi, i sam zacznie kopać.

- Trudno. Przyjdę dziś w nocy po ciebie i będę miauczał.

- Dobrze. Schowajmy narzędzia w krzakach.

Krótko przed północą chłopcy byli już na posterunku. Siedzieli w cieniu i czekali. Miejsce było odludne, a pora miała złą sławę od niepamiętnych czasów. Duchy szeptały wśród szelestu liści, widma czaiły się w mrocznych zakątkach, a na głuche wycie psa, dolatujące z oddali, odpowiadał grobowym głosem puchacz. Chłopcy zdjęci grozą mało mówili. Wreszcie uznali, że nadeszła już północ. Zaznaczyli miejsce, gdzie padał cień, i zaczęli kopać. Nadzieje ich rosły, zapał się wzmagał - zdwoili wysiłki. Dół był coraz głębszy, lecz ilekroć łopata uderzała o coś twardego i serca już im skoczyły do gardła, spotykało ich nowe bolesne rozczarowanie, gdyż był to tylko kamień lub korzeń. Wreszcie Tomek powiedział:

- Wszystko na nic, Huck. Znów kopujemy nie tam, gdzie trzeba.
- To niemożliwe. Przecież cień odmierzyliśmy dokładnie.
- Wiem, a jednak coś nie klapuje.
- Ale co?
- Nie zgadliśmy, kiedy była północ. Pewnie mierzyliśmy cień za wcześnie albo za późno.

Huck opuścił łopatę.

- Ano właśnie - powiedział. - Wpadliśmy. Trzeba to zostawić. Nigdy nie będziemy dokładnie wiedzieli, kiedy jest północ. A poza tym tu jest strasznie o północy, kiedy czarownice i duchy kręcą się jak lichy. Wciąż mi się zdaje, że coś stoi za mną, ale boję się odwrócić, bo może przede mną też się coś czai i zaraz by mnie złapało. Przez cały czas skóra mi cierpienie ze strachu.

- No pewnie, ja też mam pietra. Wiesz, jak zakopują skarby pod drzewem, to z wierzchu zawsze kładą umrzyka, żeby pilnował.

- O, Boże!
- A widzisz. Tysiąc razy o tym słyszałem.
- Słuchaj, ja nie chcę mieć do czynienia z umarlakami. Z nimi nie ma żartów, to pewne.
- Ja też wolę ich nie ruszać. Ten, co tu leży, może wysunąć czerep spod ziemi i zagadać do nas.

- Tomku, przestań, to straszne!
- No chyba. Myślisz, że ja się nie boję?
- Słuchaj, zostawimy to miejsce w spokoju i spróbujemy gdzie indziej.
- Dobrze. Tak będzie lepiej.
- A gdzie?

Tomek pomyślał chwilę i powiedział:

- Nawiedzony dom. Tylko tam!
- Ani mi się śni, nie lubię takich domów. To jeszcze gorsza sprawa niż z umrzykami. Widzisz, nieboszczyk bąknie to lub owo, ale nie będzie się plątał w całuniecie naokoło ciebie,

kiedy najmniej go się spodziewasz; nie wyjrzy ci nagle przez ramię i nie zgrzytnie zębami, a duchom właśnie w to graj! Tomku, tego bym nie wytrzymał... nikt by nie dał rady!

- Tak, ale duchy chodzą tylko w nocy. Jeśli będziemy kopali w dzień, nie będą się wtrącały.

- Masz rację. Wiesz jednak dobrze, że ludzie omijają ten dom nie tylko w nocy, ale i za dnia.

- To tylko dlatego, że w tym domu został ktoś zamordowany. Ale nawet w nocy nic tam się nikomu nie pokazało. Owszem, w oknach pełzają czasem niebieskie języki, ale to i wszystko - regularnych duchów nikt nie widział.

- Jak już gdzieś złączą świecić niebieskie ogniki, możesz się założyć, że duch się kręci w pobliżu. To jasne. Sam wiesz, że tylko duchy używają tych światełek.

- No tak. Ale za dnia się nie pokazują, więc czego tu się bać?

- Niech ci będzie. Jeśli koniecznie chcesz, spróbujemy tego nawiedzonego domu. W każdym razie czysta sprawa to nie jest.

Tak rozmawiając schodzili ze wzgórza. Poniżej, na środku doliny oświetlonej przez księżyc, stał samotnie „nawiedzony” dom. Płotu nie było od dawna, bujne zielsko sięgało progu, komin sypał się w gruzy, otwory okien były puste, dach z jednej strony się zapadł. Chłopcy długo patrzyli w okna, czekając, aż błysnie w nich niebieskie światełko. Potem, mówiąc szeptem, jak tego wymagała pora i okoliczności, skręcili w prawo, z daleka okrążyli nawiedzone miejsce i poszli do domu przez las okrywający drugą stronę wzgórza Cardiff.

### **PRAWDZIWI ZBÓJCY DOSTAJĄ W RĘCE SKRZYNIĘ ZŁOTA**

Następnego dnia koło południa chłopcy powrócili do uschniętego drzewa, aby zabrać narzędzia. Tomek chciał jak najprędzej iść do nawiedzonego domu. Znacznie mniej śpieszyło się Huckowi. Nagle zawołał:

- Słuchaj, Tomek, czy wiesz, jaki dziś mamy dzień?

Tomek przebiegł w myśli dni tygodnia i z przerażeniem spojrzął na Hucka.

- A to heca! Wcale o tym nie pomyślałem, Huck!

- I ja też, dopiero teraz przyszło mi do głowy, że dziś piątek!

- Człowiek nigdy, psiaakostka, nie jest zanadto ostrożny. Ładnie moglibyśmy się urządzać, gdybyśmy w piątek wzięli się do takich rzeczy.

— Moglibyśmy? Powiedz lepiej: na pewno byśmy się urządzili. Są szczęśliwe dni, ale przecież nie piątek.

- Byle osioł o tym wie. Niech ci się nie zdaje, że ty pierwszy na to wpadłeś.

- Wcale tego nie powiedziałem. Piątek to jeszcze mało. Miałem dziś w nocy paskudny sen, śniły mi się szczury.

- Co ty mówisz! Murowane zmartwienie. Żarły się?

- Nie.

- Dzięki Bogu. Jeśli się nie żrą, to znaczy, że zmartwienie dopiero chodzi za nami, rozumiesz? Trzeba więc mieć się na baczności, ale można jeszcze się wywinąć. W każdym razie tamtej sprawie damy dzisiaj spokój i będziemy się bawić. Znasz Robin Hooda?

- Nie. Kto to jest?

- Ach, to był jeden z największych i najbardziej zacnych mężów, jacy w ogóle żyli w Anglii. Był zbójcą.

- Klawo! Też chciałbym być zbójcą. A kogo on łupił?

- Tylko szeryfów, biskupów, bogaczy, królów i innych takich. A biednych ludzi nigdy się nie czepiał. Kochał ich i zawsze uczciwie dzielił się z nimi łupami.

- Fajny gość!

- A coś ty myślał, Huck! Och, to był najszlachetniejszy człowiek na świecie. Takich ludzi dzisiaj już nie ma, możesz być spokojny. Jak mu jedną rękę związali na plecach, to drugą mógł każdemu sprawić lanie, a strzałami z cisowego łuku z odległości półtorej mili rąbał w dziesięciocentową monetę.

- Co to jest cisowy łuk?

- Nie wiem. To jest jakiś łuk, wiesz. A jak trafił w tę dziesiątkę, ale nie w sam środek, to siadał i kłął. Więc bawimy się w Robin Hooda, to morowa zabawa! Ja cię nauczę.

- Zgoda.

Przez całe popołudnie bawili się w Robin Hooda, od czasu do czasu spoglądając tęsknie w stronę nawiedzonego domu i rzucając krótkie uwagi o tym, co będzie jutro. Gdy tylko słońce poczęło się chylić ku zachodowi, ruszyli do domu i przemykali się pod osłoną długich cieni drzew. Po chwili zniknęli w lasach wzgórza Cardiff.

W sobotę, zaraz po południu, znów zjawili się przy uschniętym drzewie. Zapalili fajki, pogadali w cieniu, a potem kopali trochę we wczorajszym dole. Robili to bez większego przekonania i tylko dlatego, iż Tomek powiedział, że niezmiernie często ludzie rzucali robotę, gdy zaledwie sześć cali dzieliło ich od skarbu, potem zaś przychodził ktoś inny i jednym pchnięciem łopaty zagarniał wszystko. I tym razem szczęście im nie dopisało, wzięli więc narzędzia na plecy i poszli. Sumienia mieli czyste -przecież nie drwili sobie z losu, lecz uczciwie zrobili wszystko, co należy do obowiązków poszukiwaczy skarbów.

Kiedy stanęli przed nawiedzonym domem, w martwej ciszy, jaka tu panowała pod palącymi promieniami słońca, kryło się coś tak niesamowitego i przerażającego, a miejsce było tak puste i odludne, że przez chwilę nie śmieli wejść do środka. Potem podczołgali się do drzwi i z drżeniem serca zajrzeli do wnętrza. Zobaczyli izbę bez podłogi, zarośniętą zielskiem, ściany odarte z tynków, piec stary jak świat, puste otwory okien i rozwalone schody. Cała izba obwieszona była, niczym brudnymi szmatami, od lat nie omiataną pajęczyną. Weszli na palcach. Serca im łomotały, mówili szeptem, łowiąc uszami najlżejsze szmery i napinając mięśnie, aby w razie czego natychmiast się wycofać.



Szybko jednak oswoili się i opanowali strach. Z wielkim zainteresowaniem dokładnie obejrzeliz izbę, zachwyceni i zdziwieni swą własną odwagą. Potem postanowili zajrzeć na górę. Oznaczało to odcięcie odwrotu, ale wzajemnie dodali sobie otuchy i - nie mogło być inaczej - rzuciwszy narzędzia w kąt weszli po schodach na górę. Ujrzeni tam obraz zniszczenia nie gorszy niż na dole. W rogu odkryli komórkę. Wyglądała tajemniczo i obiecująco, ale sprawiła im zawód, bo nie było w niej nic. Odwaga dopisywała im teraz jak nigdy. Właśnie mieli zejść na dół i wziąć się do dzieła, gdy nagle...

- Pst! - szepnął Tomek.
- Co to? - zapytał szeptem Huck, zbiełszy ze strachu.
- Pst! - szepnął Tomek.
- Tak! O rany! Wiejemy.
- Cicho! Ani się rusz! Idą do drzwi.

Chłopcy rzucili się na podłogę, przytknęli, oczy do dziur po sękach i leżeli w śmiertelnym strachu.

- "Stanęli... Nie idą... Już są! Ani słowa, Huck! Boże! Chciałbym, żeby już było po wszystkim!

Weszło dwóch mężczyzn. Obaj chłopcy mówili sobie:

- Pierwszy to stary, głuchoniemy Hiszpan, który niedawno pokazał się w mieście, ale drugiego nigdy na oczy, nie widziałem.

„Drugi” - był to jakiś obdartus i brudas. O jego gębie nic dobrego nie dałoby się powiedzieć. Hiszpan owinięty był w obszerną pelerynę, miał siwe, krzaczaste bokobrody, spod *sombrero* opadały mu na kark długie białe włosy, oczy osłaniały wielkie zielone okulary. Gdy wchodzili, „drugi” mówił coś ściszonego głosem. Potem usiedli na ziemi twarzami do drzwi i oparli się plecami o ścianę. „Drugi” mówił dalej. Zachowywał się teraz bardziej swobodnie i lepiej było słyszeć, co mówi.

- Nie - powiedział - zastanowiłem się dobrze i bardzo mi się to nie podoba. To niebezpieczne.

- Niebezpieczne! - warknął głuchoniemy Hiszpan ku wielkiemu zdumieniu chłopców. - Szczęściaku!

Na ten głos chłopcy zdrżeli i serca im zamarły. Był to Indianin Joe! Przez jakiś czas na dole było cicho. Potem Joe rzekł:

- Nie ma bardziej niebezpiecznej roboty jak tamta, a jednak nic się nie wydało.
- To było co innego. Daleko w górę rzeki i żadnego domu w pobliżu. Zresztą jak mogło się wydać, żeśmy maczali w tym palce, jeśli nic z tego nie wyszło.
- Najgorsze jest to, że przychodzimy tu za dnia. Wystarczy, że ktoś nas zobaczy, od razu się połapie.

- Wiem, ale gdzie było się schować po tamtej cholernej robocie? Teraz trzeba się wynieść z tej pułapki. Chciałem zrobić to wczoraj, ale nie można było wyjść, bo te piekielne chłopaki bawiły się na wzgórzu i gapiły się tutaj.

„Te piekielne chłopaki” zadrżały na te słowa. Pomyśleli, jakie to szczęście, że przypomnieli sobie o piątku i postanowili *zaczekać* jeszcze dzień. W duchu żalowali, że nie czekali cały rok.

Dwaj mężczyźni wydobyli prowianty i zabrali się do jedzenia. Po długim milczeniu odezwał się mieszaniec Joe:

- Słuchaj bracie, pójdiesz teraz w górę rzeki, tam skądeś przyszedł, i będziesz czekał, aż ci dam znać. Ja spróbuję kropnąć się do miasta-jeden raziczek, tylko się trochę rozejrzę. Do tej, jak powiadasz, niebezpiecznej roboty weźmiemy się, jak przewącham, co jest, i zobaczę, że wszystko w porządku. A potem - do Teksasu! We dwóch zawsze lżej.

Na tym widocznie stanęło. Po chwili zaczęli ziewać. Joe znów się odezwał:

- Spać mi się chce jak diabli! Na ciebie kolej” czuwać.

Zaszył się w zielska i wnet zaczął chrapać. Towarzysz trącił go parę razy i chrapanie ustało. Niebawem wartownik także zaczął się kiwać, głowa opadała mu coraz niżej i niżej, jeszcze chwila i obaj chrapali w najlepsze.

Chłopcy głęboko odetchnęli. Tomek szepnął:

- Teraz! Chodź! Huck odparł:

- Nie mogę! Padnę trupem, jeśli się zbudzą!

Tomek ciągnął naprzód, Huck w tył. Wreszcie Tomek podniósł się wolno i ostrożnie. Chciał wyjść sam. Ale ledwie zrobił pierwszy krok, zmurszała podłoga zaskrzypiała tak strasznie, że padł plackiem na pół żywy ze strachu. Drugi raz już nie próbował. Leżeli licząc wlokące się minuty, aż im się wydało, że czas stanął, a wieczność posiwała. Wreszcie z ogromną radością zobaczyli, że słońce już zachodzi.

Jedno chrapanie ustało, Joe wstał, rozejrzał się, uśmiechnął się ponuro, widząc, że towarzysz śpi z głową na kolanach, trącił go nogą i powiedział:

- Ty! Ładny z ciebie wartownik! Całe szczęście, że nic się nie stało!

- Co? Zasnąłem?

- O, odrobinę, kapkę. Pora w drogę, kolego! Co zrobimy z resztą forsy?

- Nie wiem. Najlepiej zamelinować tutaj, jak zwykle. Weźmiemy ją dopiero wtedy, gdy pójdziemy na południe. Sześćset pięćdziesiąt sztuk srebra, jest co dźwigać.

- Ano dobrze, nic się nam nie stanie, jak przyjdziemy tu jeszcze raz.

- Tak. Lepiej jednak byłoby przyjść w nocy, jak przedtem, to pewniejsze.

- Dobrze. Wiesz co? Może nie tak prędko uda mi się załatwić tamtą rzecz. Wypadki chodzą po ludziach. To nie jest najlepsza melina. Musimy zakopać, i to głęboko zakopać te pieniądze.

- Racja! - odparł tamten.

Podszedł do komina, klęknął, wyjął cegłę z drugiej strony paleniska i wydobył mieszek, który miło zabrzączał. Wyjął z niego jakieś trzydzieści dolarów dla siebie i tyle samo dla Joe'ego, po czym oddał mu mieszek. Joe klęknął w rogu i grzebał w ziemi myśliwskim nożem.

Chłopcy natychmiast zapomnieli o strachu i swym opłakanym położeniu. Z błyszczącymi oczami śledzili każdy ruch Indianina. Co za szczęście! Wprost nie do wiary! Sześćset dolarów to był majątek, który mógł wzbogacić pół tuzina chłopców. A to piękne widoki dla poszukiwaczy skarbów! Już nie trzeba łamać sobie głowy, gdzie kopać. Raz po raz tręcali się łokciami. Wymowne i łatwe do zrozumienia były te znaki. Mówiły one: „Czy teraz nie cieszysz się, że jesteś tutaj?”

Nóż Joe'ego uderzył w coś twardego.

- Oho! - zawołał.

- Co tam znowu? - zapytał jego kompan.

- Jakaś zmurzała deska... Nie, to chyba skrzynia. Chodź no, pomożesz mi, zobaczymy, co to jest. Nie, już nie trzeba, wybiłem dziurę. Sięgnął ręką.

- Ty! To pieniądze!

Obaj przyglądali się bacznie garści monet. Były złote. Chłopcy na górze byli nie mniej podnieceni i zachwyceni niż ci dwaj na dole. Towarzysz Joe'ego rzekł:

- To się robi raz dwa. W rogu wśród zielska, po drugiej stronie pieca leży stara, zardzewiała motyka. Przed chwilą ją tam widziałem.

Skoczył i przyniósł narzędzia chłopców. Joe wziął w rękę motykę, obejrzał ją podejrzliwie, pokręcił głową, mruknął coś pod nosem i zabrał się do roboty.

Wkrótce skrzynia znalazła się na wierzchu. Niezbyt wielka, okuta żelazem, musiała być kiedyś bardzo mocna, zanim czas dał jej radę. Włóczęgi przez chwilę oglądali skarb w niemym zachwycie.

- Człowieku, tu są grube tysiące! - rzekł Indianin.

- Słyszałem, że banda Murrela grasowała tu przez jedno lato - odparł tamten.

- Wiem o tym - powiedział Joe. - To mi wygląda na ich robotę.

- Teraz możesz machnąć ręką na tamtą rzecz. Mieszaniec zmarszczył brwi.

- Nie znasz mnie. Albo nie wszystko wiesz o tamtej sprawie. Nie idzie o sam rabunek, tylko o zemstę. - Gniew zapalił się w jego oczach. - Potrzebuję twojej pomocy. Gdy się z tym załatwimy, siup do Teksasu! Wracaj do domu, do swojej Nance i dzieci. Czekać na znaki ode mnie.

- Dobrze, niech będzie. A co zrobimy z tym? Zakopimy z powrotem?

- Tak. (Zachwyt na górze). Nie! Klnę się na moich wielkich przodków, nie! (Głęboka żaloba na górze). Byłbym zapomniał! Na motyce jest świeża ziemia! (Chłopcy umierają ze strachu). Co tu robi ta motyka i łopata? Skąd na nich świeża ziemia? Kto to przyniósł i gdzie się podział?

Nic nie słyszałeś? Nic nie widziałeś? Co? Zakopać, żeby tu wrócili i zobaczyli świeżą ziemię? A kuku! Nie ma głupich! Weźmiemy to do mojej kryjówki!

- Tak, naturalnie! Że też na to nie wpadłem! Masz na myśli numer pierwszy.

-Nie... numer drugi... pod krzyżem. Tamto miejsce jest niebezpieczne, za dużo ludzi się tam kręci.

- Tak. Ściemnia się, możemy już iść.

Joe wstał i obszedł okna, ostrożnie wyglądając na wszystkie strony. Nagle powiedział:

- Kto tu przyniósł te narzędzia? Może ktoś jest na górze?

Chłopcy struchleli. Mieszaniec chwycił nóż, stał chwilę niezdecydowany i... skierował się ku schodom. Chłopcom przyszła na myśl komórka, ale nie mieli sił się ruszyć. Joe szedł po skrzypiących schodach. Sytuacja była tak beznadziejna, że chłopcy ocknęli się i powzięli śmiałą decyzję - już mieli skoczyć do komórki, gdy wtem rozległ się trzask zbutwiałych desek i Joe znalazł się nagle na ziemi razem z całym schodami. Pozbierał się, klnąc przy tym siarczyście. Kolega robił mu wymówki:

- Po kiegoś diabła tam się pchał? Jeśli kto siedzi na górze, to Bóg z nim. Co nam do tego? Niech sobie skacze na dół i skręci kark, mam zmartwienie! Za piętnaście minut ściemni się zupełnie; niech sobie idzie za nami, jeśli ma ochotę. Ja mu pozwalam. Zresztą uważam, że ten, kto to zostawił, gdy nas zobaczył, pomyślał, że to duchy, diabły lub coś w tym rodzaju - i do tej pory wieje.

Joe burczał jeszcze trochę, ale przyznał, że zanim zupełnie się ściemni, trzeba się przygotować do drogi. W chwilę potem wymknęli się z domu i pod osłoną zapadającego zmroku poszli ku rzece, unosząc z sobą skrzynię.

Tomek i Huck podnieśli się ledwie żywi, ale z ogromną ulgą i przez szczeliny w ścianach patrzyli za odchodzącymi. Iść za nimi? Nie ma mowy! Byli szczęśliwi, udało im się zleźć jakoś na dół i nie skręcić karków. Zboczem wzgórza ruszyli do miasta. Nie mówili wiele. Za bardzo pochłaniała ich złość na samych siebie. Nie mogli też wybaczyć ślepemu trafowi, który kazał im wziąć ze sobą motykę i łopatę, bo gdyby nie one, Joe niczego by nie podejrzewał. Byłby ukrył swe srebro i złoto do czasu, kiedy dokona zemsty, a wówczas z żalem by się dowiedział, że skarb się ulotnił. Ach, marny los, marny los, że wzięli z sobą narzędzia.

Postanowili mieć Hiszpana na oku, gdyby pokazał się w mieście, by czyhać na okazję do zemsty. I, niech się dzieje co chce, pójdą za nim pod „numer drugi“!

- Zemsta? Huck! Co byś powiedział, gdyby on nas miał na myśli?

- Przestań! - zawołał Huck, ledwie trzymając się na nogach. Mówili o tym przez całą drogę. Kiedy weszli do miasta, zgodzili się wreszcie, że Indianin pewnie - chciał się rozprawić z kim innym, a w najgorszym razie tylko z Tomkiem, bo przecież Huck nie zeznawał w sądzie.

Mizerna, bardzo nawet mizerna była to pociecha dla Tomka, że tylko jemu jednemu grozi niebezpieczeństwo. We dwóch zawsze byłoby lżej myślał sobie.

## NA TROPIE — A SERCE DRŻY ZE STRACHU

Przygody tego dnia prześladowały Tomka w nocy - dręczyły go w snach. Cztery razy miał już skarb w rękach i cztery razy rozplątał mu się w palcach i obracał w nicość, gdy sen go opuszczał, a na jawie znów ukazywała mu się przykra rzeczywistość powracająca jego niedola. Gdy wczesnym rankiem, leżąc w łóżku, przypomniał sobie szczegóły swej wielkiej przygody, zauważył ze zdziwieniem, że zdarzenia uciekły daleko i osnuły się mgłą, jakby działały się winnym świecie lub w zamierzczłej przeszłości. Potem przyszło mu na myśl, że pewnie wszystko to tylko mu się śniło. Przemawiał za tym jeden bardzo ważki argument: widział wtedy zbyt dużo pieniędzy, aby to mogła być prawda. Nigdy dotąd nie widział naraz pięćdziesięciu dolarów i jak wszyscy chłopcy w jego wieku i jego położeniu majątkowym, uważał wszelkie wzmianki o „setkach” i „tysiącach” za piękne frazesy, które nie mają odpowiedników w rzeczywistości. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może naprawdę posiadać olbrzymią sumę stu dolarów. Gdyby zanalizować jego wyobrażenie ukrytego skarbu, okazałoby się, że skarb składa się z garści dziesięciocentówek oraz garnca jakichś wspaniałych i nieuchwytnych dolarów.

Szczegóły przygody ukazywały się Tomkowi tym jaśniej i wyraźniej, im bardziej uporczywie o nich myślał. Wreszcie począł skłaniać się ku pogładowi, że może jednak to nie był sen. Tej niepewności trzeba się było pozbyć. Tomek szybko przełknął śniadanie i poszedł szukać Hucka. Przyjaciel siedział na krawędzi dużej, płaskiej łodzi i apatycznie pluskał nogami w wodzie, a minę miał nad wyraz smutną. Tomek postanowił zaczekać, aż Huck sam zacznie mówić o wczorajszym. Jeżeli nic nie powie, będzie wiadomo, że cała przygoda była tylko snem.

- Serwus, Huck!

- Serwusik! Minuta milczenia.

- Wiesz, Tomek, gdybyśmy tę przeklętą motykę i łopatę zostawili pod uschniętym drzewem, pieniądze byłyby nasze. Och, to straszne!

- Więc to nie sen, nie sen! A tak chciałem, żeby to była nieprawda. Niech mnie gęś kopnie, jeśli kłamię.

- Co nie jest snem?

- Ach, to wczorajsze. Już myślałem, że to był sen.

- Sen! Gdyby się schody nie zawaliły, tobyś dziś wiedział, co to było. Mnie też się to śniło; całą noc gonił mnie ten kaprawy hiszpański diabeł, bodaj skisł!

- Nie. Zanim skiśnie, trzeba go znaleźć. Musimy wytropić skarb!

- Nigdy go nie znajdziemy. Człowiek raz w życiu miał taką okazję - i tyle pieniędzy uciekło nam sprzed nosa. A tego Hiszpana jak zobaczę, to sam nie wiem, co zrobię ze strachu.

- Ja zrobię to samo. Ale chciałbym go spotkać i iść za nim... do „numeru drugiego”.

- „Numer drugi”, właśnie. Myślałem o tym, ale do niczego nie doszedłem. Tomku, co to może być?

- Nie wiem. Ciemna sprawa. Słuchaj, Huck, może to numer domu?
- Wiesz!... A jednak nie, Tomku. Gdyby nawet tak było, to nie w naszym Kaczym Dole, bo tu domy nie mają numerów.
- No tak. Czekaj, niech pomyślę. Mam! To jest numer pokoju w gospodzie! Co?
- Wiesz, to ci się udało! W całym mieście są tylko dwie gospody. Szybko znajdziemy ten numer.
- Zaczekaj tutaj, Huck, zaraz wrócę.

Tomek zniknął. Nie chciał pokazywać się z Huckiem na ulicy. Wrócił po półgodzinie. Stwierdził, że w lepszej gospodzie numer drugi od dawna zajęty jest przez młodego adwokata, który dotąd tam mieszka. Ale w podrzędniejszej gospodzie numer drugi okryty był tajemnicą. Syn właściciela powiedział mu, że pokój ten jest stale zamknięty na klucz i że nigdy nie widział, by ktoś wchodził tam lub wychodził za dnia - tylko w nocy. Chłopiec nie wiedział, co to wszystko znaczy. Trochę go to ciekawiło, ale nie bardzo. Doszedł do wniosku, że pod numerem drugim straszy. Ostatniej nocy widział, że się tam świeciło.

- Tyle się dowiedziałem. Zdaje mi się, że to jest właśnie ten numer drugi, którego szukamy.
- Chyba tak, Tomku. Co teraz zrobimy?
- Czekaj, niech pomyślę.

Tomek długo myślał, wreszcie powiedział:

- Słuchaj, co ci powiem. Tylne drzwi numeru drugiego wychodzą na ślepą uliczkę między gospodą a starym, rozwalonym składem cegieł. Musisz zdobyć tyle kluczy, ile tylko się da, a ja oskubię ciocię z kluczy i w najbliższą ciemną noc pójdziemy tam i spróbujemy, czy się nam któryś nie nada. Nie zapomnij rozejrzeć się za Indianinem Joe'em, bo powiedział, że kropnie się do miasta i będzie wypatrywał okazji do zemsty. Gdybyś go zobaczył, idź za nim, bo jeśli nie pójdzie pod numer drugi, to znaczy, że źle zgadliśmy.

- O Boże! Ja sam za nim nie pójdę!
- Przecież to będzie w nocy. On cię nie zobaczy, a gdyby nawet, to nic sobie złego nie pomyśli.
- Dobrze, jak będzie bardzo ciemno, to może pójdę za nim. Nie... nie wiem. Zresztą - spróbuję.
- Huck, w ciemności i ja bym poszedł za nim. Widzisz, on może zobaczyć, że nici z tej zemsty, i od razu pójdzie po pieniądze.

- To prawda, Tomku. Pójdę za nim, gwizdnę na wszystko!
- Teraz mówisz jak mężczyzna! Tylko, Huck, żebyś nie zmiękł, ja też będę się trzymał!

### **W JASKINI MIESZAŃCA JOE'EGO**

Wieczorem Tomek i Huck byli gotowi do wyprawy. Do godziny dziewiętej kręcili się koło gospody. Jeden z daleka obserwował uliczkę, a drugi pilnował drzwi gospody. Nikt nie pokazał się w zaułku, nikt podobny do Hiszpana nie wszedł do gospody ani z niej nie wyszedł.

Zapowiadała się jasna noc. Tomek poszedł więc do domu. Umówili się, że gdyby się odpowiednio ściemniło, Huck przyjdzie pod dom i zamiauczy, a wtedy Tomek wymknie się i razem spróbują kluczy. Ale noc była jasna, Huck więc koło dwunastej zszedł z posterunku i udał się do łóżka, to znaczy do beczki po cukrze.

We wtorek sytuacja była równie niepomysłna. To samo w środę. Za to w czwartek noc zapowiadała się lepiej. Tomek wcześniej wymknął się z domu. Wziął z sobą starą blaszaną latarnię cioci i duży ręcznik do zaciemnienia światła. Ukrył latarnię w beczce Hucka i stanął na warcie. Na godzinę przed północą zamknięto gospodę i pogaszono w niej światła (ostatnie w całej okolicy). Żaden Hiszpan się nie pokazał, uliczką nikt nie przechodził. Wszystko zapowiadało się pomyślnie.

Ciemno było choć oko wykol. Głęboką ciszę przerywały tylko od czasu do czasu dalekie pomruki grzmotów.

Tomek wydobył latarnię, zapalił ją w beczce, osłonił szczelnie ręcznikiem i dwaj łowcy przygód podkradli się do gospody. Huck stanął na czatach, a Tomek po omacku wszedł w ciemną uliczkę. Nastąpiła długa chwila pełnego trwogi wyczekiwania, które przygniatało Hucka, jakby góra zwała mu się na głowę. Już by wolał zobaczyć światło latarki -wprawdzie by się przestraszył, ale wiedziałby przynajmniej, że Tomek jeszcze żyje. Zdawało mu się, że upłynęło już kilka godzin od chwili, gdy Tomek zniknął w ciemnościach. Na pewno zemdłał, a może już nie żyje - serce mu pękło z trwogi i emocji. Huck, pod wpływem strachu, sam o tym nie wiedząc, przysuwał się coraz bliżej uliczki. Nękały go najgorsze przeczucia, był pewien, że lada chwila nastąpi straszna katastrofa, w której wyzionie ducha. Co prawda, nie bardzo już miał co wyzionać, bo duch ledwie w nim kołatał, a serce tak się tłukło, że mogło się zatłuc na śmierć. Nagle błysnęło światło i obok niego przygalopował Tomek.

- W nogi! - zawołał. - W nogi, bo zginiesz!

Niepotrzebnie powtórzył wezwanie - pierwszy okrzyk wystarczył.. Zanim Tomek zdążył zawołać po raz drugi, Huck osiągnął już szybkość około czterdziestu mil na godzinę. Zatrzymali się dopiero przy szopie starej rzeźni, na drugim końcu miasteczka. Ledwie jej dopadli, zerwała się burza i lunął, deszcz. Tomek, gdy nieco ochłonął, powiedział:

- Huck, to było straszne! Spróbowałem dwóch kluczy, jak można najciszej, ale narobiły piekielnego hałasu, że dech mi zapało ze strachu. Na dobitkę żaden z nich się nie przekręcił. Wtedy, sam nie wiem, co robię - naciskam klamkę i, proszę, drzwi się otwierają! Nie były zamknięte! Więc - hop do środka, zrywam ręcznik z latarki i... a kysz! A kysz!

- Co... coś zobaczył, Tomku?

- Huck! O mały włos byłbym wlaź na rękę Indianinowi Joe'emu! - Nie!

- Jak to nie! Leży na podłodze, rozłożył ręce, na oku ma ten swój plaster i śpi jak zabity!

- Rany bo...! Coś zrobić? Obudził się?

- Nie, ani drgnął. Pewnie był pijany. Więc łaps za ręcznik i w nogi!

- Ja bym wtedy nie myślał o ręczniku!

- A ja musiałem. Ciotka by mi dziurę w brzuchu wywierciła, gdybym go zgubił!

- Słuchaj, widziałeś skrzynię?

- Nie miałem czasu rozejrzeć się po izbie. Nie widziałem skrzyni, nie widziałem krzyża, nie widziałem w ogóle nic, tylko przy Joe'em na podłodze butelkę i blaszany kubek. Tak. I jeszcze dwie beczki i mnóstwo flaszek. Czy wiesz już teraz, co tam w tym pokoju straszy?

-No?

- Wódka straszy! Może wszystkie gospody Towarzystwa Wstrzemięźliwości mają takie pokoje, gdzie straszy. Co?

- Hm, to całkiem możliwe. I kto by pomyślał? Wiesz co? Teraz, gdy Indianin jest pijany, można by jak nic zafasować tę skrzynię.

- Aha! Może byś spróbował? Huck *zadrżał*.

- Wiesz... tego... chyba nie.

- Ja też nie, Huck. Jedna butelka to dla Joe'ego zamało. Gdyby ich było trzy, on miałby dość, a ja bym spróbował. Po dłuższej chwili namysłu Tomek dodał:

- Słuchaj, Huck, lepiej nie zaczynajmy, póki nie będziemy pewni, że Joe'ego tam nie ma. Co zanadto, to niezdrowo. Jeśli będziemy czuwali co noc, musimy na własne oczy ujrzeć, jak wyjdzie z gospody, prędzej czy później, a wtedy migiem chapniemy tę skrzynię.

- No, dobra. Będę pilnował gospody do rana i przez wszystkie następne noce też, a ty zrobisz resztę.

- Owszem, zrobi się. Przeleczysz tylko ten kawałek ulicy Hoopera i miaukniesz pod moim oknem. Gdybym spał, rzuć żwirem o szybę, to mnie obudzisz.

- Dobra jest

- No, Huck, burza przeleciała, idę do domu. Za dwie godziny będzie jasny dzień. A ty wrócisz tam i będziesz pilnował, no nie?

- Słowo się rzekło, to się robi. Będę nawiedzał gospodę co noc, choćby przez cały rok. Będę się wysypiał za dnia, a w nocy tam sterczał.

- Doskonale. A gdzie będziesz spał?

-U Bena Rogersa w stodole! On mi pozwala, a wuj Jake, Murzyn jego ojca, nie ma nic przeciwko temu. Noszę czasem wodę za wuja Jake'a, gdy mnie o to poprosi, a czasem, gdy ja go poproszę, daje mi, jeśli ma, coś do jedzenia. Wiesz, Tomku, to szalenie pocziwy Murzyn. On mnie lubi, bo nie zadzieram nosa, że jestem biały. Nieraz siadamy razem i jemy z jednej miski. Ale nie mów o tym nikomu. Gdy człowiekowi chce się jeść, robi rzeczy, których by kiedy indziej nie zrobił.



- No tak. Jeśli za dnia nie będziesz mi potrzebny, śpij sobie, ile chcesz. Nie będę ci przeszkadzał. Ale gdybyś w nocy coś zauważył, przyleć i miaucz pod oknem.

### **HUCK RATUJE WDOWE**

Pierwszą rzeczą, jaką Tomek usłyszał w piątek, była radosna nowina, że wieczorem powróciła do miasta rodzina sędziego Thatchera. Od razu na drugi plan zszedł Indianin Joe i jego skarb, a pierwsze miejsce zajęła Becky. Tomek odwiedzał ją i wraz z całą gromadą kolegów i koleżanek bawili się do upadłego. Dzień ten został ukoronowany doniosłym zwycięstwem: Becky tak długo nudziła matkę, aż ta się zgodziła, żeby dawno przyrzeczony i ciągle odkładany piknik odbył się następnego dnia. Szczęście dziewczynki nie miało granic, a i Tomek przyjął tę wiadomość z nie mniejszym zachwytem.

Nim słońce zaszło, rozesłano zaproszenia i od razu młodociany ludek miasteczka, wśród gorączkowych przygotowań, odczuł przedsmak jutrzejszej radości. Tomek był tak podniecony, że do późnej nocy wcale mu się nie chciało spać. Liczył na to, że usłyszy miauczenie Hucka i że nazajutrz zadziwi Becky i innych wycieczkowiczów swoim skarbem, ale spotkało go rozczarowanie. Sygnału nie było.

Wreszcie nadszedł ranek. O godzinie dziesiątej, a może jedenastej, zebrała się w domu sędziego Thatchera wesoła i hałaśliwa czereda. Wszystko było gotowe do wymarszu. W owych czasach dorośli nie mieli zwyczaju psuć dzieciom zabawy i nie brali udziału w ich wycieczkach. Uważało się, że dzieci są zupełnie bezpieczne pod opiekuńczymi skrzydłami kilku osiemnastoletnich młodych dam i o parę- lat starszych młodzieńców. Na wycieczkę wynajęto stary statek parowy. Niebawem główną ulicą miasteczka przedefilował wesoły korowód dzieci niosących koszycki z prowiantem. Sid był chory i musiał zostać w domu. Mary nie poszła na wycieczkę, aby dotrzymać towarzystwa bratu. Przy pożegnaniu pani Thatcher powiedziała do Becky:

- Pewnie późno wrócić. Może będzie lepiej, jeśli zanocujesz u którejś z dziewczynek, mieszkającej bliżej przystani?

- Zanocuję u Zuzi Harper, dobrze, mamusiu?

- Doskonale! Uważaj, bądź grzeczna i nie spraw kłopotu państwu Harperom.

Ledwie wyszli na ulicę, Tomek powiedział do Becky:

- Wiesz, coś ci powiem. Zamiast iść do Harperów, skoczmy pod górkę i zostaniemy na noc u wdowy Douglas. Na pewno będzie miała lody. U niej codziennie są lody - całymi kubłami! Pani Douglas strasznie się ucieszy, gdy nas zobaczy!

- A to będzie heca! Pomyślała chwilkę i zapytała:

- A co na to powie mamusia?

- A skąd się o tym dowie?

Dziewczynka głęboko się zastanowiła, po czym, jeszcze się wahając, powiedziała:

- To nieładnie...

- E tam! Mamusia się o tym nie dowie, więc o co chodzi? Ona chce tylko, żeby ci się nic nie stało. Ręczę, że kazałaby ci iść do pani Douglas, gdyby o tym pomyślała. To pewne.

Niezwykła gościnność wdowy Douglas była zbyt kuszącą przynętą. Odniosła więc, wraz z namowami Tomka, zwycięstwo. Postanowili nikomu nie mówić o planach na najbliższą noc. Nagle Tomek przypomniał sobie, że może właśnie dziś w nocy przyjdzie Huck i da sygnał. Myśl o tym sprawiła, że nocleg u wdowy już go tak nie nęcił. Ale nie mógł się wyrzec tej przyjemności. Zresztą dlaczego miałby się wyrzec? Zeszłej nocy sygnału nie było, skądże więc pewność, że tej nocy będzie? Tak rozumował Tomek - pewna zabawa przeważała niepewny skarb. Jak to zwykle czynią chłopcy, Tomek postanowił przechylić się na stronę tego, co silniej go pociągało, i przez cały dzień nie myśleć o skrzyni z pieniędzmi.

Trzy mile poniżej miasta statek zatrzymał się w miejscu, gdzie rzeka tworzyła rodzaj zatoki, nad którą wznosił się las, i został przycumowany do brzegu. Gromadka dzieci wysypała się na ład. Wkrótce cały las i skaliste wzgórza rozbrzmiewały echami okrzyków i śmiechów.

Kiedy mali awanturnicy wyhasali się już do woli, zaczęli pomału ściągać do obozu, zgrzani, strudzeni i głodni jak wilki. Z miejsca przystąpili do niszczenia zapasów różnych dobrych rzeczy. Po uczcie przyszła pora na odpoczynek i pogawędki w cieniu rozłożystych dębów. Nagle ktoś zawołał:

- Kto chce zwiedzić pieczary?

Wszyscy chcieli. W mig rozdzielono kilka paczek świec i całe towarzystwo zaczęło na wyścigi wspinać się na wzgórze. Wejście do grot było wysoko na zboczu i miało kształt litery A. Potężne dębowe drzwi nie były zaryglowane. Prowadziły one do małej komory, w której było zimno jak w lodowni. Jej ściany, wzniesione przez naturę z masywnego wapniaka, zroszone były zimnym potem wilgoci. Tajemniczy dreszcz przejmował, gdy się stało tutaj w głębi ciemności i patrzyło na zieloną dolinę w blasku słońca. Ale pierwsze wrażenie szybko minęło i znów zaczęły się wesołe harce. Gdy ktoś zapalił świecę, wszyscy rzucali się hurmem na niego, atak napotykał waleczną obronę świecy, póki nie wytracono jej z rąk lub nie zgaszono, a wtedy następował wybuch radosnego śmiechu i nowa gonitwa.

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec. Pochód ruszył w dół głównym korytarzem, dość zresztą stromym. Łańcuch migotliwych światełek rzucał mdłe blaski na wysokie ściany, zbiegające się ponad głowami idących na wysokości sześćdziesięciu stóp. Korytarz ten miał nie więcej niż osiem do dziesięciu stóp szerokości. Co parę kroków rozchodziły się na obie strony wysokie i jeszcze większe korytarze.

Pieczary McDougala były istotnie ogromnym labiryntem krętych chodników, które zbiegały się, rozwidlały i nie wiadomo gdzie się kończyły. Mówiono, że można całymi dniami i nocami błądzić wśród tej zagmatwanej płataniny podziemnych szczelin i grot, a jeszcze nie dotrzeć do końca labiryntu, że można iść ciągle w dół i w dół, zapuszczać się w coraz to niższe galerie i nigdy nie wydostać się na światło dzienne. Nikt nie znał naprawdę tych pieczar, było to niepodobieństwem. Większość młodzieży znała tylko ich część i nie było zwyczaju oddalać się

zbytńio od miejsc dobrze znanych. Tomek Sawyer orientował się w pieczarach nie lepiej niż inni.

Wycieczka przeszła głównym korytarzem około trzech ćwierci mili, po czym grupki i pary zaczęły się odrywać i wpadać w rozgałęzienia. Przebiegali posępne korytarze i wzajemnie się straszili, wyskakując na siebie w miejscach, gdzie się spotykały chodniki. Można było zniknąć innym z oczu na całe pół godziny, nie wychodząc poza teren, który się znało.

Wreszcie dzieci poczęły wracać grupkami do wylotu pieczar, zziębnięte, rozbawione, ochlapane świecami i umazane gliną jak nieboskie stworzenia - zachwycone udaną wyprawą. Były zdumione, że czas w pieczarach tak szybko przeleciał - na dworze już się ściemniało. Od pół godziny dzwon wzywał do powrotu na statek. Oczywiście wszystkim bardzo się to spodobało, bo głos dzwonu, na zakończenie pełnego wrażeń dnia, miał swój szczególny urok. Gdy statek odbijał od brzegu ze swym hałaśliwym ładunkiem, nikt nie żałował straconego czasu, prócz jednego może kapitana.

Kiedy światła statku miały przystań, Huck był już na posterunku. Nie słyszał głosów na pokładzie, gdyż dziatwa zachowywała się teraz potulnie i cicho jak każdy, kogo zmorzyło zmęczenie. Huck dziwił się, co to za statek i dlaczego nie zatrzymuje się w przystani, ale szybko przestał o nim myśleć i wrócił do własnych zmartwień.

Noc była chmurna i ciemna. Minęła dziesiąta. Umilkł turkot wozów, rzadkie światła poczęły gasnąć, ostatni przechodnie zniknęli, miasteczko poszło spać i zostawiło małego wartownika sam na sam z ciszą i duchami. Minęła godzina jedenasta i w gospodzie zgaszono światła. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Huck czekał. Czas mu się nieznośnie dłuży!, a tu nic się nie -działo. Zaczęło ogarniać go zwątpienie. Na co tu czekać? Co komu z tego przyjdzie? Może lepiej machnąć na to ręką i iść spać?

Wtem wpadł mu w ucho jakiś szmer. W jednej chwili zamienił się cały w słuch. Cicho otwarły się drzwi wychodzące na uliczkę. Huck skoczył za róg szopy. Dwóch mężczyzn niemal otarło się o niego. Jeden jakby coś dźwigał pod pachą. Na pewno — skrzynkę! Wynoszą skarb! Czy zawiadomić Tomka? nie miałoby to sensu, bo oni tymczasem pójdą sobie ze skrzynką i — szukaj wiatru w polu! Nie, pójdzie za nimi i będzie im deptał po piętach. Jest tak ciemno, że nie ma obawy, by go zauważyli. Po tej krótkiej naradzie z samym sobą Huck wyszedł z za węgła i jął na bosaka skradać się jak kot za tymi dwoma, trzymając się w takiej odległości, aby nie stracić ich z oczu.

Poszli ulicą nad rzeką, minęli trzy przecznice i dopiero skręcili w ulicę na lewo. Szli teraz prosto, aż znaleźli się na ścieżce wiodącej na wzgórze Cardiff. Bez wahania minęli dom starego Walińczyka, stojący w połowie drogi na szczyt wzgórza. Wspinali się wyżej.

Dobrze - pomyślał Huck — chcą go zakopać w starym kamieniołomie.

Ale nie zatrzymali się przy kamieniołomie. Minęli go i dalej szli w górę. Nagle skręcili na wąską ścieżkę między wysokimi krzakami sumaku i zniknęli w ciemnościach. Huck przyśpieszył

kroku i skrócił sobie drogę, gdyż teraz nie mogli go zobaczyć. Pobiegł trochę, lecz zaraz zwolnił, bojąc się, że ich wyprzedzi. Przeszedł jeszcze kawałek i stanął. Nadstawił uszu, ale nie słyszał nic prócz bicia własnego serca. Ze wzgórza doleciało hukanie sowy - zły to znak! Ale kroków nie było słychać. Wielkie nieba! Wszystko stracone! Właśnie miał wziąć nogi za pas, gdy w odległości dwóch kroków od niego ktoś chrząknął. Huckowi serce skoczyło do gardła, ale spokojnie je połknął. Stał i trząsał się, jakby go opadły naraz wszystkie odmiany febry, i zrobiło mu się tak słabo, że tylko czekał, kiedy upadnie. Wiedział, gdzie jest. Stał o pięć kroków od przełazu w parkanie otaczającym dom wdowy Douglas.

Bardzo dobrze - pomyślał - niech tu zakopią, nie będzie trudno znaleźć.

Wtem dał się słyszeć głos, ledwie dosłyszalny. Mówił Joe:

- Szlag by ją trafił! Zdaje się, że ma gości. Tak późno, a jeszcze pali się światło.

- Nic nie widzę.

Był to głos nieznanego - tego z domu, w którym straszy. Śmiertelny strach ścisnął serce Hucka. Ach, ach, to tutaj Joe ma dokonać zemsty! Najpierw chciał uciekać. Potem przypomniał sobie, że wdowa Douglas zawsze była dla niego dobra., A oni może chcą ją zamordować? Gdyby starczyło mu odwagi i zdołał ją ostrzec! Ale wiedział, że się nie odważy, bo oni mogliby go zobaczyć i dostać w swe ręce. Wszystkie te i inne jeszcze myśli przemknęły mu przez głowę w czasie między tym, co powiedział nieznanomy i co na to odparł Joe.

- Bo zasłaniają ci krzaki. Chodź tu... widzisz teraz?

- Tak. Ma, zdaje się, gości. Lepiej dajmy temu spokój!

- Dać spokój! Teraz, kiedy odchodzę stąd na zawsze? Dać spokój i nigdy już nie mieć okazji! Mówię ci jeszcze raz, że nie chodzi mi wcale o jej forszę. Możesz ją sobie wziąć. Ale jej mąż po chamsku obszedł się ze mną, i to nie raz i nie dwa. On to, kiedy był sędzią pokoju, posadził mnie za włóczęgostwo. To jeszcze nie wszystko! To w ogóle nic! Kazał mnie wychłostać. Wychłostać przed więzieniem jak Murzyna!... Na oczach całego miasta. Wychłostać... rozumiesz! On mi się wymknął, umarł. Ale ona mi za to zapłaci.

- Och, ty jej nie zabijesz! Nie zrobisz tego!

- Zabić? Któż o tym mówi? Zabiłbym sędziego, gdyby żył, ale nie wdowę po nim. Gdy chcesz się zemścić na kobiecie, to jej," durniu, nie zabijasz. Musisz ją oszpecić. Obcinasz jej nos i karbujesz uszy - jak świni!

- Na Boga, to przecie...

- Nikt się ciebie nie pyta! Tobie nic się nie stanie. Przywiążę ją do łóżka, a jak umrze z upływu krwi, nie moja to będzie wina. Nie będę po niej płakał... A ty jesteś moim przyjacielem, i musisz mi pomóc... zrobisz to dla mnie... po to cię tu wziąłem... sam nie dałbym rady. Jeśli się cofniesz - zabiję! Rozumiesz? Jeśli zaś zabiję ciebie, to zamorduję też wdowę, i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, kto to zrobił.

- No cóż, jak trzeba, to bierzmy się do roboty. Im prędzej, tym lepiej. Trzęsę się cały.

- Zaraz! A goście? Ty... ja ci nie wierzę... uważaj! Nie teraz. Zaczekamy, aż światła pogasną. Mamy czas.

Huck wiedział, że teraz zapadnie cisza stokroć straszniejsza niż rozmowa morderców. Wstrzymał więc oddech i począł się ostrożnie cofać. Podniósł jedną nogę i przez chwilę niepewnie balansował na drugiej, zachwiał się raz w prawo i raz w lewo, omal się nie przewrócił, wreszcie pewnie i mocno postawił pierwszy krok w tył. Z taką samą precyzją i z nie mniejszym ryzykiem zrobił drugi krok. Potem trzeci i czwarty. Wtem gałąź trzasnęła mu pod nogą. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic -idealna cisza. Doznał uczucia bezgranicznej wdzięczności. Gdy znalazł się między dwiema ścianami krzaków sumaku, zawrócił - zrobił to z takim nakładem starań, jakby był statkiem. Dalej szedł szybciej, ale bardzo ostrożnie. Kiedy dotarł do kamieniołomu, poczuł się bezpieczny. Puścił się w dół i co sił w nogach rwał przed siebie, aż dotarł do domu Walijczyka. Zaczął tak mocno kołatać do drzwi, że zaraz ukazały się w oknach trzy głowy - starego i jego dwóch synów, chłopów jak dęby.

- Co to za hałas? Kto się tam tłucze? Czego chce?

- Puśćcie... prędko! Zaraz powiem.

- Co? Kto to jest?

- Huckleberry Finn... prędko wpuśćcie mnie!

- Rzeczywiście, Huckleberry Finn! Zdaje mi się, nie jest to nazwisko, przed którym drzwi by się otwierały. Ale wpuśćcie go, chłopcy. Zobaczymy, co się stało.

- Tylko proszę nikomu nie mówić, że ja to powiedziałem - takie były pierwsze słowa Hucka, gdy wszedł do domu Walijczyka. - Proszę nie mówić, bo on mnie zabije. Ale wdowa była tak dobra dla mnie, że muszę powiedzieć... i powiem, jeśli przyrzekniecie, że mnie nie wydadcie.

- Na świętego Jerzego! On ma naprawdę coś ważnego do powiedzenia, widać to po nim! - zawołał stary. - Mów śmiało, chłopcze, nikt z nas cię nie wyda.

W trzy minuty później ojciec i synowie, dobrze uzbrojeni, byli już niedaleko domu wdowy i z pistoletem w ręku skradali się na palcach sumakową alejką.

Huck nie poszedł z nimi dalej. Ukrył się za dużym, okrągłym kamieniem i nasłuchiwał. Długą chwilę trwała niepokojąca cisza, aż nagle huknęły strzały i ktoś krzyknął.

Huck nie czekał na dalsze wydarzenia. Rzucił się przed siebie i zmykał w dół, ile sił w nogach.

### **TOMEK I BECKY W PIECZARACH**

W niedzielę rano, ledwie na niebie ukazała się pierwsza zapowiedź świtu, Huck po ciemku wdrapał się na wzgórze i cichutko zapukał do drzwi starego Walijczyka. [Mieszkańcy domu spali, ale tak się przejęli nocnym wypadkiem, że sen ich był czujny i niespokojny. Ktoś zawołał przez okno:

- Kto tam?

Odpowiedział cichy i wystraszony głos Hucka:

- Proszę mnie wpuścić! To tylko Huck Finn!

- To jest nazwisko, przed którym otwierają się drzwi do mego domu w nocy i za dnia.  
Witaj, chłopcze!

Niezwykłe były to słowa dla uszu małego włóczęgi, a przy tym najmiłsze, jakie słyszał w swym życiu. Nie mógł sobie przypomnieć, by ktokolwiek tak serdecznie zapraszał go do domu. Szybko otworzył się drzwi i Huck wszedł do środka. Podano mu krzesło. Stary i obaj jego drągale szybko się ubrali.

- No, synku, pewnie bardzo ci się chce jeść. Śniadanie będzie gotowe, jak tylko wzejdzie słońce, prosto z ognia - możesz być tego pewny. Spodziewaliśmy się w nocy, że wrócisz tutaj i przenocujesz u nas.

- Okropnie się bałem - Wyznał Huck - i uciekłem. Gdy się zaczęła strzelanina, dałem dęba i biegłem tak ze trzy mile. Teraz przyszedłem, bo chciałem się dowiedzieć, jak to było. Przyleciałem przed świtem, żeby się nie nadziać na tych szatanów, nawet gdyby już byli trupami.

- Widać po tobie, mój mały, żeś nie spał tej nocy. Zjesz śniadanie i zaraz się położysz. Nie, synku, tamci dwaj nie zginęli - wielka to szkoda! Wiedząc od ciebie, gdzie możemy ich capnąć, podkradliśmy się na palcach i znaleźliśmy się w odległości piętnastu stóp od nich. Na ścieżce między krzakami sumaku ciemno było jak w grobie... I właśnie wtedy zaczęło mi kręcić w nosie! Któż by się tego spodziewał? Wstrzymałem się, jak mogłem... nie, musiałem kichnąć... i kichnąłem. Szedłem pierwszy z pistoletem gotowym do strzału. Gdy usłyszałem, że spłoszeni bandyci rzucili się w zarośla, zawołałem: „Ognia, chłopcy!” i sam palnąłem z pistoletu tam, gdzie szeleściły krzaki. Ale tamci zwiali, dranie. Goniliśmy za nimi przez las. Moi chłopcy też dali ognia. Tamci chyba nic nie oberwali. Odpowiedzieli nam ogniem - kule świsnęły, ale nic nam się nie stało. Kiedy przestaliśmy słyszeć ich kroki, zaniechaliśmy pościgu. Zeszliśmy na dół i zaalarmowali policję. Cały oddział wyruszył natychmiast w stronę rzeki, by obstarwić brzeg, a gdy tylko zrobi się jasno, szeryf ze swoimi ludźmi przetrząśnie las. Moi chłopcy też pójdą z szeryfem. Dobrze by było wiedzieć, jak wyglądają te łotry, to by znacznie ułatwiło poszukiwania. Ale ty ich pewnie nie widziałeś, bo było ciemno, prawda?

- Ależ tak, zobaczyłem ich jeszcze w mieście i szedłem za nimi.

- To świetnie! Opisz ich, opisz, chłopcze!

- Jeden to stary głuchoniemy Hiszpan, który ostatnio pokazał się w naszym mieście, a drugi - taki obdartus z zakazaną gębą...

- Dosyć, znamy tych ptaszków! Sam natknąłem się raz na nich w lesie, za domem wdowy. Zwiali, gdy mnie zobaczyli. No, jazda, chłopcy! Opowiedzcie wszystko szeryfowi. Śniadanie zjecie jutro rano.

Synowie Walijczyka natychmiast wyszli. Gdy już przestępowali próg, Huck zerwał się i zawołał:

- Proszę was, nie mówcie nikomu, że to ja ich wydałem. Och, nie mówcie!
- Ależ dobrze, Huck, jak chcesz, ale powinieneś być dumny z tego, coś zrobił.
- Och, nie, nie! Nikomu nie mówcie!

Po wyjściu synów stary Walijczyk zapytał:

- Oni nie powiedzą i ja nie powiem, dlaczego jednak nie chcesz, aby ludzie o tym wiedzieli?

Huck wolał się jaśniej nie tłumaczyć. Powiedział tylko, że o jednym z bandytów wie bardzo dużo i nie chce za nic na świecie, aby ten człowiek wiedział, że on cokolwiek o nim wie, bo za to, że coś wie, na pewno by go zabił.

Stary jeszcze raz przyrzekł dochować tajemnicy i zapytał:

- Skąd ci przyszło do głowy iść za tymi ptaszkami? Czy wyglądali podejrzanie?

Huck milczał chwilę, obmyślając najbardziej wymijającą odpowiedź, wreszcie rzekł:

- Jak by to powiedzieć... ja jestem okrutne ładaco, przynajmniej tak wszyscy mówią, i wcale się o to nie gniewam. Nieraz jednak nie mogę usnąć, bo martwię się tym i myślę, jak by tu wejść na dobrą drogę. Tak było wczoraj w nocy. Nie mogłem zasnąć, więc o północy wszedłem na ulicę i zamyślony zawędrowałem aż do starego składu cegieł, obok gospody Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Oparłem się o mur, żeby mi się lepiej myślało. No i właśnie wtedy prawie że otarli się o mnie ci dwaj goście. Jeden z nich niósł coś pod pachą. Od razu poznałem, że to kradzione. Jeden palił cygaro, a drugi poprosił go o ogień. Zatrzymali się blisko, cygara oświetliły im twarze i zobaczyłem, że wysoki to głuchoniemy Hiszpan z siwymi bokobrodami i plastrem na oku, a drugi jakiś okropny obdartus.

- Jak to, przy świetle cygara widziałeś, że jest obdarty?

To nieco zbiło Hucka z tropu, ale zaraz powiedział:

- Ee... nie wiem, ale coś tak, tego...

- Więc oni poszli dalej, a ty...

- Poszedłem za nimi. Tak. O, tak. Chciałem zobaczyć, co się dzieje... oni się tak czaili. Szedłem krok w krok za nimi aż do dziury w parkanie wdowy. Tam ukryty w ciemnościach słyszałem, jak obdarciuch wstawiał się za wdową, a Hiszpan odgrażał się, że ją oszpeci. Mówiłem już o tym panu i pańskim...

- Jak to! Głuchoniemy mówił to wszystko?

Huck popełnił drugi straszliwy błąd! Kręcił, jak mógł, aby stary się nie domyślił, kim jest Hiszpan, ale język chłopca wyraźnie się uwziąłby go wydać na przekór jego wysiłkom. Starął się wydostać z pułapki, lecz stary nie spuszczał go z oczu, i chłopak strzelał jedno głupstwo za drugim. Nagle Walijczyk powiedział:

- Czemu ty się mnie boisz? Za nic na świecie nie pozwolę, żeby ci włos spadł z głowy. Będę cię bronił, na pewno. Więc Hiszpan nie jest głuchoniemy! Wygadałeś się i teraz nie odwracaj

kota ogonem. Ty coś wiesz o tym Hiszpanie, ale chcesz to ukryć. Zaufaj mi... powiedz, o co chodzi... ja cię nie wydam.

Huck patrzył chwilę w pocziwe oczy starego, potem pochylił się i szepnął mu do ucha:

- To nie Hiszpan, to Indianin Joe.

Walijczyk omal nie spadł z krzesła. Po chwili rzekł:

- Teraz wszystko jasne! Gdyś mówił o karbowaniu uszu i obcinaniu nosa, myślałem, żeś trochę przesolił, bo biali nie mszczą się w ten sposób. Ale Indianin! To całkiem co innego.

Przy śniadaniu rozmawiali dalej! Walijczyk opowiedział, że zanim poszedł z synami spać, wzięli latarnię i poszli dokładnie obejrzeć miejsce koło przełazu, aby zobaczyć, czy nie ma w pobliżu śladów krwi. Nie było ich jednak, znaleźli natomiast spory węzełek z...

- Z CZYM?

Gdyby to były nie słowa, lecz błyskawice, nie mogłyby szybciej strzelić z pobielających ust Hucka. Z szeroko otwartymi oczami i z zapartym oddechem Huck czekał na odpowiedź. Walijczyk urwał i wpatrywał się w chłopca. Trzy sekundy - pięć sekund - dziesięć - wreszcie odpowiedział:

- Były to złodziejskie narzędzia. Hm, co ci się stało?

Huck opadł na krzesło ledwie dysząc, ale z uczuciem niewysłowionej ulgi. Walijczyk popatrzył na niego bystro i powtórzył:

- Tak, złodziejskie narzędzia. Zdaje się, że to ci ogromnie ulżyło. Ale czemuś tak skoczył? Co miało być w tym węzełku?

Huck znów był w opałach. Patrzyły na niego przenikliwe oczy Walijczyka. Wiele by dał za to, by znaleźć jakąś możliwą odpowiedź. Ale nic mu nie przychodziło do głowy. Badawcze oko starego świdrowało go coraz głębiej i głębiej. Wtem nasunęła mu się idiotyczna odpowiedź - czas naglił, niewiele więc myśląc wykrztusił słabym głosem:

- Myślałem, że to były moje książki szkolne...

Biedny Huck zbyt był zgnębiony, aby się śmiać, ale stary ryknął tak głośno i wesoło, że zatrzęsły mu się wszystkie (bliżej opisane w anatomii) części ciała, od czubka głowy po palce u nóg, a gdy się uspokoił, oświadczył, że taki śmiech to pieniądz w kieszeni, bo oszczędza wydatków na lekarzy. Potem dodał:

- Ach, mój stary! Zbladłeś i robisz już bokami. Nic dziwnego, że gadasz, jakby ci piątej klepki brakowało. Ale to ci przejdzie. Odpoczniesz, wyśpisz się i wszystko będzie dobrze.

Huck był zły na siebie, że pokpił sprawę i że sam - przez brak opanowania - naraził się na podejrzenie. Kiedy podsłuchał rozmowę przy parkanie wdowy, stracił pewność, że węzełek przyniesiony z gospody zawiera skarb. Ale była to tylko wątpliwość. Jak jest naprawdę - nie wiedział i dlatego tak się przejął, gdy Walijczyk wspomniał o znalezionym zawiniątku. W gruncie rzeczy jednak nie żałował, że rozmowa ze starym przyjęła taki obrót, gdyż teraz wiedział, co zawiera węzełek i czego w nim nie było. Uspokoił się i humor znacznie mu się



poprawił. Przecież wszystko układało się teraz jak najlepiej: skarb musi być jeszcze pod numerem drugim, obydwa ptaszki zostaną dziś złapane i znajdą się w klatce, a on z Tomkiem w nocy capną skarb - spokojnie i bez obawy, że ktoś im w tym przeszkodzi.

Ledwie zjedli śniadanie, ktoś zapukał do drzwi. Huck zerwał się, aby się ukryć, nie chciał bowiem mieć nic wspólnego z ostatnimi wypadkami. Walijczyk wpuścił kilka pań i panów, wśród których była także wdowa Douglas. Na ścieżce ujrzał procesję obywateli, którzy pięli się w górę. Najwidoczniej szli popatrzeć na dziurę w płocie wdowy. A zatem - wiadomość obiegła już miasteczko.

Walijczyk musiał opowiedzieć gościom o nocnym zdarzeniu. Wdowa wyraziła mu swą wdzięczność za to, że ocalił jej życie.

- Nie ma o czym mówić, łaskawa pani. Jest ktoś, komu pani zawdzięcza znacznie więcej niż mnie i moim chłopcom, ale nie pozwolił mi ujawnić swego nazwiska. Gdyby nie on, wcale by nas tam nie było.

Wywołało to, oczywiście, tak wielkie zaciekawienie, że niemal zapomniano o samym wypadku. Walijczyk, chociaż wiedział, że gości pożera ciekawość i że ich niepokój szybko udzieli się całemu miastu, stanowczo odmówił wydania tajemnicy. Poza tym udzielił gościom wyczerpującej informacji. Gdy skończył, wdowa powiedziała:

- Usnęłam w łóżku nad książką i nic nie słyszałam. Czemu pan nie przyszedł mnie obudzić?

-Uznaliśmy to za niepotrzebne. Było pewne, że tamci hultaje już nie wrócą, bo porzucili narzędzia zbrodni. Po cóż więc było budzić panią i straszyć? Zresztą trzech moich Murzynów pilnowało pani domu aż do rana. Właśnie wrócili.

Nadchodzili coraz to nowi goście i Walijczyk przez parę godzin bez wytchnienia opowiadał wszystkim tę samą historię.

Chociaż podczas wakacji szkółka niedzielna nie była czynna, całe miasto przybyło do kościoła długo przed nabożeństwem. Wstrząsający wypadek został wszechstronnie omówiony. Nadeszła wiadomość, że nie trafiono na ślady bandytów. Po kazaniu pani sędzina Thatcherowa podeszła do pani Harperowej, która właśnie wraz z całym tłumem przeciskała się ku wyjściu, i spytała:

- Czy moja Becky będzie spać cały dzień? Na pewno jest strasznie zmęczona.

- Becky?

- Tak. - Strach wyrwał z oczu pani Thatcher. - Czy nie spała dziś w nocy u pani?

- Skądże znowu!

Pani Thatcher zbladła i opadła na ławkę, właśnie w chwili, gdy przechodziła ciotka Polcia, wiodąc ożywioną rozmowę z przyjaciółką.

- Dzień dobry, pani Thatcher! Dzień dobry, pani Harper! Mój chłopiec gdzieś mi się zapodział. Pewnie nocował u jednej z pań i teraz boi się przyjść do kościoła. Już ja mu pokażę!

Pani Thatcher zaprzeczyła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy i jeszcze bardziej zbladła.

- U nas też nie nocował - powiedziała pani Harper i trochę się zaniepokoiła. Ciotkę Polcie ogarnęło przerażenie.

- Joe, widziałeś Tomka dziś rano?

- Nie, mammo.

- A kiedy go widziałeś ostatni raz?

Joe usiłował sobie przypomnieć, ale nic pewnego nie mógł powiedzieć. Ludzie wychodzący z kościoła zaczęli przystawać. Szeptali, a na ich twarzach malował się niepokój i złe przeczucie. Gorączkowo wypytywano dzieci i młodych nauczycieli. Wszyscy mówili, że nie zauważyli, czy w drodze powrotnej Tomek i Becky byli na pokładzie statku, bo było ciemno, a nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy kogo nie brakuje. Wreszcie wyrwał się pewien młodzieniec i wyraził obawę, że może Tomek i Becky do tej pory siedzą w pieczarach! Pani Thatcher zemdląca, ciotka Polcia zaczęła głośno płakać i załamywać ręce.

Straszna wieść biegła z ust do ust, od jednej gromadki ludzi do drugiej, z ulicy na ulicę. W pięć minut później dzwony były na trwogę i całe miasto zerwało się na nogi. Zająście na wzgórzu zmalało do rozmiarów drobiazgu i zapomniano o bandytach. Mężczyźni siodłali konie i skakali do łódek. Załoga statku otrzymała rozkaz wyjazdu. Nie minęło pół godziny od powstania paniki, a już dwustu chłopca gnało gościńcem i rzeką ku pieczarom.

Przez całe długie popołudnie w mieście było pusto i głucho. Panie tłumnie odwiedzały ciotkę Polcie oraz panią Thatcher i starały się je pocieszyć. Płakały razem z nimi, co było lepsze niż wszelkie słowa.

Nadeszła straszna noc. Całe miasto nie spało i daremnie czekało na wiadomości. Kiedy wreszcie zaczęło świtać, z pieczar przyszło następujące wezwanie: „Przynieść więcej świec i żywności”. O dzieciach nic.

Pani Thatcher bliska była obłędu, to samo ciotka Polcia. Od sędziego Thatchera nadchodziły z pieczar wiadomości pełne nadziei i otuchy, ale nikomu ulgi nie przyniosły.

Stary Walijczyk powrócił do domu o świcie, okapany łojem świec, wysmarowany gliną i śmiertelnie znużony. Huck leżał jeszcze w łóżku. Miał gorączkę, rzucał się i bredził. Wszyscy lekarze byli w pieczarach, przyszła więc wdowa Douglas i czuwała przy chorym. Powiedziała, że zrobi dla niego, co tylko będzie mogła, gdyż - dobry, zły czy też taki sobie - jest stworzeniem boskim, nie można więc odmówić mu pomocy. Walijczyk odparł, że Huck jest nie najgorszym chłopcem, na co pani Douglas powiedziała:

- Wiadomo. Jest w tym palec boży. Bóg nigdy go nie opuści. On nie odwraca się od żadnego stworzenia, które wyszło z Jego ręki.

Wczesnym rankiem zaczęły ściągać do miasta gromadki śmiertelnie znużonych mężczyzn. Najsilniejsi szukali dalej. Wiadomości były nader skąpe: przeszukano najbardziej odległe, dotąd nieznanne zakątki pieczar, bada się dokładnie każde zagłębienie i każdą szczelinę: gdziekolwiek zapuszczano się wśród labiryntu korytarzy, widać było migające światła i słyszało

się nawoływania oraz huk strzałów z pistoletów, głuchym echem toczący się w mrocznych galeriach. W jednym miejscu, daleko od tej części pieczar, którą zwykle zwiedzają turyści, znaleziono słowa „Becky i Tomek”, wypisane dymem świecy na skalistej ścianie, a tuż obok kawałek wstążki okapanej łojem. Pani Thatcher poznała wstążkę. Płacząc nad nią” mówiła, że to jej ostatnia pamiątka po dziecku, najdroższa ze wszystkich pamiątek, bo dziewczynka miała ją na sobie krótko przed straszną śmiercią. Opowiadano, że czasem pokazywało się gdzieś daleko w jakiejś grocie mdłe światełko - wtedy z radosnymi okrzykami biegła tam gromada mężczyzn, a kroki ich głucho dudniły w korytarzu, lecz za każdym razem spotykał ich gorzki zawód, nie były to dzieci, lecz światło któregoś z członków ekspedycji.

Przez trzy straszne dni i noce wlokły się długie godziny udręki. Wreszcie miasteczko straciło nadzieję i zapadło w odrętwienie. Nic już ludzi nie interesowało. Właśnie wtedy, dzięki przypadkowi, wydało się, że właściciel gospody Towarzystwa Wstrzemięźliwości sprzedawał gościom wódkę, ale - chociaż była to rzecz niesłychana - wiadomość o tym bynajmniej nie wstrząsnęła opinią publiczną.

W chwili przytomności Huck słabym głosem skierował rozmowę na temat gospod i w końcu - przygotowany na najgorsze - zapytał, czy przypadkiem w czasie jego choroby nie odkryto czegoś w gospodzie Towarzystwa Wstrzemięźliwości.

- Tak - odparła wdowa.

Huck zerwał się z pościeli i nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na nią.

- Co! Co odkryto?

- Wódkę! Lokal zamknięto. Leż spokojnie, moje dziecko, tak mnie przestraszyłeś!

- Proszę mi jedno tylko powiedzieć... tylko jedno! Czy to wykrył Tomek Sawyer?

Wdowa zalała się łzami.

- Cicho, cicho, dziecko, cicho! Wiesz przecież, że nie wolno ci mówić. Jesteś bardzo, bardzo chory!

A więc znaleźli tylko wódkę. Gdyby znaleźli złoto, w mieście zawrzałoby jak w ulu. To znaczy, że skarb przepadł na zawsze., na zawsze! Ale czemu ona płacze? To ciekawe, że wdowa płacze. Myśli te z trudem torowały sobie drogę przez mętną głowę Hucka i tak go zmęczyły, że usnął. Wdowa pomyślała:

No, usnął biedak. Tomek Sawyer znalazł wódkę! O, gdyby tylko ktoś znalazł Tomka Sawyera! Niewielu już zostało takich, którzy nie stracili nadziei i mają jeszcze siły, by dalej szukać Tomka.

## **W PIECZARACH**

A teraz powróćmy do Tomka i Becky. Zobaczymy, jak im się udała wycieczka. Zrazu dreptali mrocznymi korytarzami z resztą, nieletniego towarzystwa i zwiedzali już im znane osobliwości pieczar, noszące szumne nazwy, jak „Salon”, „Katedra”, „Pałac Aladyna” itp. Gdy się zaczęła wesoła zabawa w chowanego, Tomek i Becky z zapałem brali w niej udział, póki im

się to nie znudziło. Wówczas powędrowali krętym tunelem. Podnosząc wysoko świece odczytywali nazwiska, daty, adresy, aforyzmy wymalowane sadzą świec i okrywające ściany skalne jakby tkaniną o zawiłym i poplątany wzorze. Idąc wciąż przed siebie, zajęci rozmową nie spostrzegli, że weszli w rejony, w których nie było już malowideł ściennych. Wypisali swoje imiona kopciem na wysokim występie skalnym i poszli dalej. W pewnym miejscu strumyk, ściekając po ścianie i żłobiąc wapień przez setki, setki lat, ułożył się w błyszczącej, niezniszczalnej skale na kształt Niagary z marszczonych koronek i w tej postaci z niej spływał. Tomek wcisnął swą szczupłą figurkę pomiędzy ścianę a wodospad i oświecił go od tyłu, co się Becky ogromnie spodobało. Zauważył, że za tą zasloną wodną ukryte są naturalne schody, stromo opadające w wąskim przesmyku. Odezwała się w nim ambicja odkrywcy. Zawołał Becky. Przystała na jego propozycję. Aby nie zabił w drodze powrotnej, zrobili kopciem znak na skale i ruszyli po nowe odkrycia. Skręcili w prawo, i w lewo, zapuszczając się coraz dalej w tajemnicze głębie pieczar. Zrobili jeszcze jeden znak na ścianie. W pogoni za odkryciami, o których świat się dowie, gdy wyjdą na powierzchnię ziemi, zagłębiali się w boczne korytarze. Odkryli obszerną komorę, w której ze stropu zwisało mnóstwo lśniących stalaktytów wielkości ludzkiej nogi. Obeszli grotę wkoło, pełni zdumienia i zachwytu, po czym puścili się dalej jednym z wielu korytarzy, które rozchodziły się stąd w różne strony. Doszli do uroczego źródła, którego dno pokryte było warstwą błyszczących lodowatych kryształów. Znajdowało się ono w środku groty, której strop podpierało mnóstwo fantastycznych filarów - stalaktytów zrosniętych ze stalagmitami. Olbrzymie te sople powstały wskutek nieustannego sączenia się wody przez wiele setek lat. Pod stropem wisało mnóstwo nietoperzy pozlepianych ze sobą w wielkie gniazda. Stworzenia te podrażnione światłem, sfruwały całymi chmarami i z piskiem rzucały się na świece.

Tomek znał zwyczaje nietoperzy i zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Chwycił Becky za rękę i pociągnął ją w pierwszy z brzegu korytarz. Uczynił to w samą porę, bo właśnie gdy Becky już wybiegała z groty, nietoperz skrzydłem zgasił jej świecę. Nietoperze ścigały ich jeszcze kawał drogi, ale zbiegowie tak kluczyli w labiryncie korytarzy, że wreszcie uszli pościgu tych niebezpiecznych stworzeń. W chwilę potem Tomek odkrył podziemne jezioro, którego mgliste kontury biegły gdzieś daleko i gubiły się w mroku. Miał ochotę zbadać jego brzegi, ale zdecydował, że wpierrw trzeba usiąść i nieco odpocząć. Głucha cisza tutaj po raz pierwszy położyła na ich sercach swą zimną i lepłą rękę. Becky powiedziała:

- Nie uważałam, ale zdaje mi się, że dawno już nie słyszeliśmy głosów innych dzieci.
- Pomyśl sama, Becky, przecież jesteśmy głęboko pod nimi, nie wiadomo jak daleko na północ, południe, wschód i w ogóle. To nie możemy ich słyszeć.

Becky się przelękała.

- Jak długo tu już jesteśmy, Tomku? Wracajmy.
- Trzeba wracać. Tak będzie najlepiej.
- Czy odnajdziesz drogę z powrotem? Mnie się wszystko poplątało.

- Trafiłbym z powrotem jak nic, gdyby nie te nietoperze. Jeśli zgaszą nam obie świece, tośmy wsiąkli na amen. Musimy poszukać innej drogi, żeby się z nimi nie spotkać.

- Dobrze, ale chyba nie zbłądzimy? To byłoby straszne! - Dziewczynka wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

Skręcili w jakiś korytarz i długo szli w milczeniu, zaglądając w każdą odnogę w nadziei, że ją rozpoznają. Ale wszystko było tu obce. Ilekroć Tomek się rozglądał, Becky patrzyła mu w oczy szukając w nich otuchy; a on powtarzał z wesołą miną:

- No, tak, wszystko w porządku. To jeszcze nie tu, ale zaraz wyjdziemy na dobrą drogę!

Wciąż jednak spotykał go zawód i ogarniało coraz większe z wątpienie. W końcu rzucał się na oślep to w jedno rozwidlenie, to w drugie, w rozpaczliwej nadziei, że przecież muszą jakoś trafić do wyjścia. Ciągłe powtarzał: „Wszystko w porządku”, ale strach przytłaczał mu serce ołowianym ciężarem, a głos brzmiał głucho, jakby mówił: „Wszystko przepadło!” Przerazona Becky przytulała się do niego, na próżno usiłując powstrzymać łzy. Wreszcie powiedziała:

- Tomku, co tam nietoperze! Wracajmy starą drogą! Teraz, zdaje się, idziemy coraz dalej i dalej.

Tomek przystanął.

- Słuchaj!

Głęboka cisza - tak głucha, że słycać było, jak oddychają. Tomek krzyknął. Odpowiedziało mu echo, które przebiegło przez puste korytarze i gdzieś daleko zamarło słabym odgłosem podobnym do szyderczego śmiechu.

- Och, przestań, Tomku, to potworne!

- Potworne, Becky, to prawda, ale trzeba wołać. Może nas usłyszą. I krzyknął po raz drugi.

To „może” budziło jeszcze większą grozę niż upiorny śmiech, było bowiem wyznaniem wątpienia. Dzieci stały i nasłuchiwały- odpowiedzi nie było.

Nagle Tomek zawrócił i przyspieszył kroku. W chwilę potem jego niepewne zachowanie odkryło Becky drugą straszną prawdę: Tomek nie mógł odnaleźć drogi, którą tu przyszli.

- Och, Tomku, że też nie robiłeś znaków!

- Ach, co za głupiec ze mnie! Co za głupiec! Nie przyszło mi do głowy, że będziemy musieli wracać tą samą drogą. Nie, nie mogę się zorientować. Wszystko się tu poplątało!

- Tomku, Tomku, jesteśmy zgubieni, zgubieni! Nigdy nie wydostaniemy się z tych ogromnych pieczar! Ach, czemuśmy się od nich odłączyli!

Becky osunęła się na ziemię i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Tomek z przerażeniem pomyślał, że Becky umiera albo dostała pomieszania zmysłów. Usiadł obok i otoczył ją ramionami. Ukryła twarz na jego piersi, tuliła się do niego i płakała gorzkimi łzami, a dalekie echo zamieniało w szyderczy śmiech jej przerażenie i próżne żale. Tomek błagał ją, by nabrała otuchy. Odpowiedziała, że nie ma już sił. Zaczął głośno robić sobie gorzkie wyrzuty, że to

wszystko jego wina. To poskutkowało. Becky powiedziała, że będzie się starała nabrać otuchy, że wstanie i pójdzie za nim wszędzie, byle tylko przestał tak mówić, bo oboje jednakowo są winni.

Ruszyli więc dalej przed siebie, gdzie ich oczy poniosą. Nie pozostawało im nic innego, jak iść i nie zatrzymywać się po drodze. Chwilami ożywała w nich nadzieja, właściwie bez żadnego powodu, tylko dlatego, że taka już jest jej natura. Nadzieja bowiem poty podnosi głowę, póki nie zdławią jej lata i ustawiczne klęski.

Tomek wziął z rąk Becky świecę i zgasił ją. Ta oszczędność była bardzo wymowna. Niepotrzebne były tu słowa. Becky zrozumiała i straciła resztę nadziei. Wiedziała, że Tomek ma jeszcze w kieszeniach całą świecę i trzy czy cztery ogarki, mimo to musiał oszczędzać.

Z wolna zaczęło ich ogarniać znużenie, ale nie zważali na to, gdyż strach ich zdejmował na myśl o odpoczynku, gdy czas był taki drogi. Idąc w jakimkolwiek kierunku, posuwali się jednak naprzód i mogli się uratować. Jeśli usiądą - przywołają do siebie śmierć i skrócą jej pościg.

Wreszcie słabe nóżki Becky odmówiły posłuszeństwa. Usiedli i odpoczywali. Rozmawiali o domu, o drogich im osobach, wygodnych łózkach, a nade wszystko - o świetle. Becky płakała, a Tomek łamał sobie głowę, jak ją podtrzymać na duchu, ale wszystkie słowa już się wytarły od częstego użycia i zakrawały na ironię. Becky była tak wyczerpana, że zasnęła. Tomek bardzo się tym ucieszył. Patrzył na jej przybladłe lica - pod wpływem jakichś miłych snów rozpogodziły się, a nawet zakwitły uśmiechem. Ukojenie, jakie malowało się teraz na twarzązce Becky, udzieliło się Tomkowi. Powędrował myślami w przeszłość, obudziły się mgliste wspomnienia. Był zatopiony w marzeniach, gdy Becky ocknęła się z radosnym uśmiechem, który nagle zamarł na jej ustach. Dziewczynka ciężko westchnęła.

- Och, jakże mogłam spać! Wołałabym nigdy się nie obudzić! Nie, nie, Tomku to nieprawda! Nie patrz tak na mnie! Już więcej tak nie powiem!

- To dobrze, żeś się trochę przespała. Odpoczęłaś i teraz na pewno znajdziemy drogę do wyjścia.

- Spróbujemy, Tomku. Taką cudowną krainę widziałam we śnie. Pewnie tam teraz pójdziemy.

- Jeszcze nie, mamy czas. Głowa do góry, Becky! Idziemy! Wstali, wzięli się za ręce i szli, ale bez żadnej nadziei. Próbowali uprzytomnić sobie, jak długo już są w pieczarach. Zdawało im się, że minęły dni, a może nawet tygodnie, od chwili gdy tu weszli, ale wiedzieli, że to nieprawda, bo świece jeszcze się nie wypaliły.

Po upływie dłuższego czasu -jak długiego, tego nie umieli określić, Tomek oświadczył, że muszą stapać cicho, by usłyszeć szmer wody, bo trzeba znaleźć źródło. Gdy im się to udało, Tomek powiedział, że pora znowu odpocząć. Oboje byli śmiertelnie znużeni, ale Becky odparła, że mogłaby jeszcze trochę iść dalej. Zdziwiło ją, że Tomek się na to nie zgodził. Nic nie rozumiała. Usiedli. Tomek gliną przylepił świecę do ściany. Zamyśleni, długo nic nie mówili. Wreszcie Becky przerwała milczenie.

- Tomku, jestem strasznie głodna! Wydobył coś z kieszeni.
- Pamiętasz to? - zapytał. Becky leciutko się uśmiechnęła.
- To nasz placek weselny, Tomku.
- Tak, chciałbym, żeby był wielki jak koło od wozu, bo nie mamy nic więcej.
- Schowałam go na wycieczce, żebyśmy położyli sobie po kawałku pod poduszki i mieli słodkie sny. Tak robią dorośli z weselnym plackiem, tymczasem będzie to dla nas...

Urwała. Tomek podzielił ciasto. Becky z wielkim apetytem zjadła swoją część, a Tomek tylko obskubywał swoją połówkę. Źródlanej wody było pod dostatkiem, pić więc mogli, ile chcieli. Nareszcie Becky zaproponowała, by ruszyć w dalszą drogę. Tomek milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- Becky, czy masz dość siły, by wysłuchać, do ci powiem? Becky zbladła, ale odparła, że chyba wytrzyma.

- Widzisz, Becky, musimy zostać tu, gdzie mamy wodę. To jest już ostatni ogarek!

Dziewczynka zaniósła się płaczem. Tomek robił, co mógł, aby ją pocieszyć, ale niewiele zdziałał. Wreszcie Becky się odezwała: - Tomku!

- Co, Becky?

- Oni zauważą, że nas nie ma, i będą nas szukać?

- Tak, na pewno! Oczywiście!

- Może już nas szukają?

- Chyba tak. Pewnie.

- A kiedy mogli zauważyć, że nas nie ma?

- Pewnie jak wrócili na statek...

- Tomku, wtedy było ciemno... i może nie spostrzegli, że myśmy nie wrócili.

- Nie wiem. W każdym razie twoja matka narobi hałasu, gdy wycieczka wróci bez nas.

Po wystraszonych oczach Becky Tomek poznał, że się sypnął. Przecież miała nie wracać na noc do domu!

Umilkli i oboje coś sobie myśleli. Nowy wybuch rozpaczony Becky oznajmił Tomkowi, że oboje myśleli o tym samym: pani Thatcher dopiero w niedzielę około południa mogła się dowiedzieć, że Becky nie nocowała u pani Harperowej.

Dzieci utkwily wzrok w ogarku i śledziły, jak dogasał powoli i bezlitośnie. Widziały, jak pozostał już tylko sam knot półcalowej długości, widziały, jak słaby płomyk wznosił się i opadał, aż puścił w górę cienką strużkę dymu, trzymał się jeszcze chwilę końca knota i... zapadł czarny, straszliwy mrok!

Kiedy wreszcie Becky zaczęła pomału zdawać sobie sprawę, że płacze ukryta w ramionach Tomka, żadne z nich nie wiedziało, ile minęło czasu od chwili, gdy Becky straciła przytomność.

Zdawali sobie sprawę tylko z tego, że ocknęli się z sennego odrętwienia, które trwało chyba niezmiernie długo, i że znajdują się w sytuacji bez wyjścia. Tomek powiedział, że to już niedziela, a może nawet poniedziałek. Usiłował wciągnąć Becky do rozmowy, ale zbyt była przygnębiona i straciła już resztę nadziei. Tomek powiedział, że w mieście już dawno wiedzą, co się stało, i na pewno szukają ich w pieczarach. Będzie wołał, może ktoś ich usłyszy i przybiegnie tutaj. Krzyknął raz, ale dalekie echa odezwały się w ciemnościach głosem tak strasznym, że Tomek dał spokój.

Mijały godziny za godzinami. Głód dręczył małych więźniów. Tomek nie tknął jeszcze swego kawałka placka. Podzielili się nim i zjedli po połowie. Ale chciało im się teraz jeść bardziej niż przedtem, gdyż kęs ciasta tylko zaostrzył ich głód.

Nagle Tomek szepnął:

- Psst! Słyszałaś?

Oboje wstrzymywali oddech i nasłuchiwali. Doleciały ich jakieś odgłosy, jakby ktoś wołał gdzieś bardzo daleko. Tomek natychmiast odpowiedział okrzykiem, wziął Becky za rękę i po omacku poszli w kierunku głosów. Chłopiec nadstawił uszu: znów dał się słyszeć ten sam głos, tylko nieco bliżej.

- To oni! - zawołał Tomek. - Idą! Choć, Becky, teraz już wszystko będzie dobrze!

Mali więźniowie omal nie oszaleli z radości. Posuwali się jednak bardzo wolno, gdyż co parę kroków trafiali na rozpadliny i trzeba było mieć się na baczności. Właśnie jedna taka jama legła im na drodze i musieli się zatrzymać. Mogła mieć trzy stopy głębokości albo i sto - przejść przez nią nie było można. Tomek położył się na brzuchu i sięgnął ręką, jak mógł najgłębiej. Dna ani śladu. Trzeba było więc czekać, aż przyjdą tu ci, którzy ich szukają. Nasłuchiwali. Niewyraźne głosy oddalały się i po chwili zamilkły. Znów ogarnęła ich rozpacz. Tomek krzyczał, aż ochrypł, ale na nic to się nie zdało. Przemawiał potem do Becky słowami pełnymi nadziei, minęła jednak chwila oczekiwania, długa jak wieczność, i nic więcej nie słyszeli.

Po omacku wrócili do źródła. Czas włókł się bez końca. Zasnęli. Gdy się obudzili, byli głodni i zupełnie wyczerpani. Tomek myślał, że chyba już jest wtorek.

Nagle wpadł na nowy pomysł. Z korytarza, w którym utknęli, biegło kilka odnóg. Czy nie lepiej pójść zbadać jeden taki korytarzyk niż beczynn timer uginać się tutaj pod brzemieniem czasu? Wyjął z kieszeni sznurek od latawca, przywiązał jeden jego koniec do występu skalnego i ruszyli. Tomek szedł pierwszy. Posuwając się po omacku, rozwijał sznurek. Po dwudziestu krokach natknęli się na urwisko. Tomek przyklęknął. Macał w głąb, próbował sięgnąć ręką za róg skały. Właśnie usiłował przesunąć się trochę w prawo, gdy nagle, w odległości najwyżej dwudziestu jardów, wysunęła się zza skały ręka trzymająca świecę. Tomek głośno krzyknął z radości. Za ręką wysunęła się reszta ludzkiej postaci. Był to... Indianin Joe! Tomek skamieniał i nie mógł się ruszyć z miejsca. Z uczuciem niezmiernej ulgi ujrzał jednak, że „Hiszpan” odwrócił się, dał nogę i zniknął w ciemnościach. Tomek dziwił się, że Joe nie poznał jego głosu



i nie zabił go za to, że zeznawał przeciwko niemu w sądzie. Widocznie echo zmieniło jego głos. Niewątpliwie tak się stało. Ze strachu osłabł ogromnie. Jeśli tylko starczy mu sił, wróci do źródła i będzie tam siedział. Nic nie skusi go do narażenia się na niebezpieczeństwo spotkania Indianina Joe'ego. Był na tyle ostrożny, że zataił przed Becky, kogo widział. Powiedział jej, że wolał tak sobie, na wszelki wypadek.

Ale na dalszą metę głód okazał się silniejszy niż strach. Nieznośna męka wyczekiwania przy źródle i nowy długi sen przyniosły pewne zmiany. Obudził ich straszny głód. Tomek był pewny, że jest już środa, czwartek, a może nawet piątek lub sobota - i że zaniechano już poszukiwań. Postanowił zbadać inny koratarz. Gotów był teraz na spotkanie z Indianinem i na każdą inną okropność. Ale Becky była bardzo osłabiona. Popadła w otępienie i w żaden sposób nie można jej było podnieść na' duchu. Mówiła, że tutaj będzie czekała, aż przyjdzie śmierć, że tylko patrzeć, jak to się stanie. Tomek niech sobie idzie ze sznurkiem i szuka wyjścia, jeśli ma ochotę. Prosiła tylko, by od czasu do czasu wracał i powiedział coś do niej. Musiał jej przyrzec, że gdy nadejdzie straszna chwila, będzie stał przy niej i trzymał ją za rękę, póki się wszystko nie skończy.

Tomek pocałował ją, czując, że coś go ściska za gardło. Zapewniał ją, choć sam w to nie wierzył, że znajdzie tych, którzy ich szukają, albo sam dotrze do wyjścia. Potem wziął sznurek i na czworakach, szukając drogi po omacku, wpełzł w boczny chodnik. Był ledwie żywy z głodu. Dręczyło go przeczcucie bliskiego końca.

### **WYCHODZIĆ! ZNALEŻLI SIĘ!**

Był wtorek. Nadeszło popołudnie, a potem zaczęło zmierzchać. Miasteczko St. Petersburg wciąż pogrążone było w żałobie. Dzieci nie odnaleziono. W kościele odprawiono publiczne modły za zaginionych, a w domach odmówiono wiele żarliwych pacierzy. Z pieczar nie nadeszła jednak żadna pocieszająca wiadomość. Większość członków ekspedycji zaniechała poszukiwań i powróciła do swych codziennych zajęć. Ci, którzy się wycofali, twierdzili, że nie ma już żadnych widoków na odnalezienie zaginionych dzieci.

Pani Thatcher była ciężko chora i rzucała się w gorączce. Mówiono, że serce pęka z żalu, gdy się słyszy, jak woła córkę, podnosi głowę, nasłuchuje, a potem znów z jękiem opada na poduszki. Ciocia Polcia pogrążyła się w ciężkiej melancholii, a siwiejące włosy zupełnie jej zbielały. W smutku i rozpaczycy udało się miasteczko na spoczynek.

Nagle wśród nocy wszystkie dzwony zaczęły walić jak szalone i w jednej chwili ulice zapełniły się na pół ubranymi ludźmi, którzy biegli nieprzytomnie i wołali:

- Wychodź! Wychodź! Znaleźli się, znaleźli!

Hałas wzmógł się, gdy ludziska zaczęli walić w patelnie i dąć w rogi. Tłum rósł i biegł w stronę rzeki na spotkanie dzieci. Najeżdżały otwartym powozem, który ciągnęli, drąc się przy tym wniebogłose, obywatele miasta. Tłum obiegł powóz i wspaniały pochód triumfalny przemaszerował główną ulicą wśród ogłuszających krzyków i wiwatów.

Zapalono wszystkie światła, nikt nie kładł się spać - miasteczko przeżyło niezapomnianą noc, wielką noc w swojej historii. W ciągu pół godziny całe miasto przewinęło się przez dom sędziego Thatchera. Ludzie brali ocalone dzieci w ramiona i całowali, pani Thatcher ściskali ręce, usiłowali mówić, ale nie mogli, wychodzili więc i łzami skrapiali ulice miasta.

Szczęście cioci Polci nie miało granic. Drugie miejsce po niej zajmowała pani Thatcher, ale jej dorównała, kiedy nabrała pewności, że goniec, wysłany z wielką nowiną do męża przebywającego jeszcze w pieczarach, dotarł już do celu.

Tomek leżał na kanapie, przy której zebrało się liczne grono wdzięcznych słuchaczy. Opowiadał im dzieje swej niezwyklej przygody, często gęsto okraszając fakty jeszcze bardziej wstrząsającymi szczegółami. Skończył opisem, jak to zostawił Becky i poszedł szukać wyjścia, jak zapuszczał się po kolei w dwa korytarze tak daleko, jak sięgał sznurek, jak następnie wszedł w trzeci korytarz znów do samego końca sznurka i już miał zawrócić, gdy nagle zauważył w oddali jakiś jasny punkcik, który sprawiał wrażenie światła dziennego; jak rzucił sznurek, popęztał w tę stronę, przecisnął głowę i ramiona przez wąski otwór i ujrzał toczące się przed nim szerokie wody Missisipi. Gdyby to była noc, nie byłby dostrzegł owego światła i nie poszedłby tym korytarzem. Opowiedział dalej, jak wrócił do Becky z radosną nowiną, ale ona prosiła, aby nie męczył jej takimi głupstwami, bo jest znużona, wie, że umiera, i pragnie śmierci. Opisał też, ile się nabiedził, zanim ją wreszcie przekonał, i jak radość omal jej nie zabiła, gdy się dowlokła do miejsca, z którego sama ujrzała skrawek dziennego światła. Opowiadał, jak sam przedostał się przez rozpadlinę, a potem wyciągnął Becky, jak usiedli i płakali ze szczęścia, jak jacyś ludzie nadpłynęli łodzią, a Tomek zawołał na nich i powiedział im, co się stało i że strasznie są głodni, jak oni najpierw nie chcieli uwierzyć w tę niestworzoną historię i mówili: „Jesteście w odległości pięciu mil z biegiem rzeki od doliny, w której są pieczary”, ale potem zabrali ich ze sobą, dopłynęli do jakiegoś domu, nakarmili, dali im wypocząć parę godzin i w nocy odwieźli do miasta.

Nad ranem, idąc za sznurkiem, którym sędzia Thatcher i jego towarzysze znaczyli swą drogę, odnaleziono ich w pieczarach i przekazano im radosną nowinę.

Trzy doby udreki i głodu nie mogły jednak przejść bez śladu, o czym Tomek i Becky przekonali się na własnej skórze. Całą środę i czwartek przeleżeli w łózkach, a ich znużenie i wycieńczenie jeszcze się powiększyło. Ale Tomek w czwartek już trochę chodził, w piątek był w mieście, a w sobotę czuł się zdrów jak ryba. Becky musiała zostać w domu aż do niedzieli i wyglądała, jakby przeszła obłożną chorobę.

Tomek dowiedział się o chorobie Hucka i w piątek poszedł go odwiedzić, ale nie dopuszczono go do łóżka. Podobnie było w sobotę i w niedzielę. Potem pozwolono mu przychodzić co dzień, lecz ostrzeżono go, by nie opowiadał o swojej przygodzie, nie poruszał podniecających tematów. Wdowa Douglas siedziała w pokoju i pilnowała, żeby Tomek nie przekroczył zakazu. W domu dowiedział się o wypadku na wzgórzu Cardiffi o tym, że w rzece niedaleko przystani wyłowiono zwłoki „obdanusa”. Widocznie utonął w czasie ucieczki.

Mniej więcej w dwa tygodnie po swym ocaleniu Tomek wybrał się w odwiedzin do Hucka, który już na tyle wrócił do sił, że mógł wysłuchać podniecającej opowieści. Tomek nie wątpił, że wieści, które przynosi, zainteresują przyjaciela. Droga prowadziła obok domu sędziego Thatchera, wstąpił więc, by zobaczyć się z Becky. Sędzią i jego goście wdali się w rozmowę z Tomkiem. Ktoś zapytał go żartem, czy przypadkiem nie wybiera się do pieczar. Tomek odpowiedział, że nie byłby od tego. A na to sędzia Thatcher:

- Nie wątpię, że takich jak ty, Tomku, znalazłoby się więcej. Pomyśleliśmy o tym i nikt już nie zbłądzi w pieczarach.

- Dlaczego?

- Jeszcze przed dwoma tygodniami kazałem okuć bramę do pieczar masywnym żelazem i zamknąć ją na trzy zamki, a klucze są u mnie.

Tomek zbladł jak płótno.

- Co ci jest, chłopcze? Prędko, rusz się tam który! Dajcie szklanę wody!

Ktoś przyniósł wody i chlusnął nią w twarz Tomka.

- No, już lepiej? Co ci się stało?

- Och, panie sędzio, w pieczarach jest Indianin Joe!

### **ŚMIERĆ INDIANINA JOE'EGO**

W ciągu kilku minut wieść obiegła miasteczko i tuzin łodzi z pełną obsadą płynęło już w stronę pieczar McDougala. W ślad za nimi wyruszył wkrótce statek nabyty pasażerami. Tomek Sawyer siedział w łodzi sędziego Thatchera.

Gdy otwarto bramę, w półmroku korytarza ukazał się przykry widok. Indianin Joe leżał rozciągnięty na ziemi, martwy, z twarzą tuż przy szczelinie drzwi, jakby do ostatniej chwili nie mógł oderwać oczu od światła i radości życia w wolnym świecie - po drugiej stronie bramy. Tomek był wzruszony, gdyż wiedział z własnego doświadczenia, jakie męki przeszedł nieszczęsny Joe. Zbudziła się w nim litość, ale równocześnie doznał niewymownej ulgi i dopiero teraz poczuł się bezpieczny. Zrozumiał bowiem to, z czego dotąd niezupełnie zdawał sobie sprawę: jakim ciężarem przygniatał go strach od dnia, kiedy złożył przed sądem zeznanie przeciw temu krwawemu zbirowi.

Myśliwski nóż Indianina leżał obok trupa, klinga była złamana. Gruby dolny bal drzwi był cały posiekany i obstrugany nożem. Był to wynik uporczywych, ale i daremnych wysiłków, bo na zewnątrz próg stanowiła żywa skała, której oczywiście nóż nie mógł skruszyć i sam się na niej skończył. Ale gdyby nawet Joe nie natrafił na tę zaporę, wysiłki jego i tak pozostałyby bezowocne, bo choćby zestrugał bal na wióry, nie zdołałby przecisnąć się pod bramą. Joe dobrze o tym wiedział. Strugał i dłubał byle się tylko czymś zająć - skrócić czas udręki, zagłuszyć straszne myśli. Zwykle w przedsionku pieczar można było znaleźć ogarki powtykane przez turystów w szczeliny ścian - teraz nie było ani jednego. Więzień pozbierał je i zjadł. Widocznie udało mu się też schwytać parę nietoperzy. Zjadł je żywcem i zostawił tylko pazury.

Nieszczęsny Joe umarł z głodu. W miejscu tuż obok niego w ciągu długich wieków wyrósł z ziemi stalagmit. Utworzyły go krople wody kapiące ze stalaktytu, który zawisł u stropu. Więzień ułamał stalagmit i na jego pieńku położył kamień, w którym wydrążył małe wgłębienie, i w ten sposób chwytał cenne krople wody, spadające co trzy minuty z przerażającą dokładnością wahadła zegara. Dawało to łyżeczkę wody na dobę.

Krople te spadały, gdy powstały piramidy, gdy padła Troja, gdy położono fundamenty Rzymu, gdy ukrzyżowano Chrystusa, gdy Wilhelm Zdobywca założył imperium brytyjskie, gdy Kolumb żeglował po oceanie, gdy rzeź pod Lexington\* była najnowszą sensacją. Spadają dziś i będą kapały, kiedy dzisiejsze zdarzenia utoną w pomroce dziejów i w ciemnościach ustnych podań, aż pochłonie je wreszcie czarna noc zapomnienia. Czy wszystko na świecie ma swój cel, musi wypełnić jakieś zadanie? Czy te krople spadały cierpliwie przez pięć tysięcy lat po to, by przelotny owad ludzki mógł oszukać swoje pragnienie? A może mają spełnić jeszcze jakieś inne ważne zadanie za dziesięć tysięcy lat? Ach, mniejsza z tym.

Wiele lat upłynęło od chwili, kiedy nieszczęsny Joe wydrążył kamień, by chwytać bezcenne krople, ale po dziś dzień turysta, który zwiedza osobliwości pieczar McDougala, długo i ze wzruszeniem patrzy na ten

\*Słynna bitwa pod Lexington w czasie wojny secesyjnej 1861 r. (przyp. autora).

kamień i wolno kapiące krople. „Czara Indianina Joe'ego" znajduje się na pierwszym miejscu w spisie cudów labiryntu. Nawet „Pałac Aladyna" nie dotrzymuje jej kroku.

Indianin Joe pochowany został obok wejścia do pieczary. Z miasteczek, farm i wiosek, położonych w promieniu siedmiu mil, tłumy ludzi łodziami i wozami podążyły na pogrzeb. Zabrali ze sobą dzieci i obfite zapasy żywności. Wszyscy się zgodzili, że pogrzeb był atrakcją niewiele gorszą od widowiska, jakie by mieli, gdyby Joe zawisnął na stryczku i

Pogrzeb Joe'ego położył tamę akcji zmierzającej do wyjednania u gubernatora stanu łaski dla tego zbrodniarza. Zebrano już wiele podpisów, odbyło się mnóstwo zgromadzeń, na których płynęły potoki łez i słów, wybrany został komitet złożony z apetycznych niewiast, mających w ciężkiej żałobie zalewać się łzami przed obliczem gubernatora i błagać go, aby okazał się miłosiernym osłem i zdeptał swe obowiązki. Indianin Joe zabił podobno pięciu obywateli miasta - bagatela! Nawet gdyby był diabłem wcielonym, znalazłaby się gromada ludzi miękkich jak wosk, którzy by smarowali swe podpisy pod petycją o ułaskawienie i pieczętowali je łzami ze swych popsutych i dziurawych organów płaczu.

Rankiem następnego dnia po pogrzebie Tomek wziął Hucka w ustronne miejsce, by odbyć z nim ważną rozmowę. O przygodzie Tom ca Huck wiedział już wszystko od Walijczyka i wdowy Douglas, ale Tomek oświadczył mu, że jest jeszcze coś, o czym na pewno nie słyszał. I właśnie w tej sprawie chce z nim teraz pomówić. Huck posmutniał.

- Wiem, o co chodzi - rzekł. - Byłeś pod numerem drugim i nie znalazłeś nic prócz wódki. Nikt mi tego nie mówił, ale gdy usłyszałem o hecy z wódką, od razu się domyśliłem, że to twoja robota. Wiedziałem też, że nicy z pieniędzy, bo gdybyś znalazł, tobyś mi, nie tak to siak, dał znać choćbyś wobec innych nie puścił pary z ust. Od samego początku coś mi mówiło, że nigdy tych pieniędzy nie zobaczymy.

- Coś ty! Huck! Ja wcale nie skarżyłem na właściciela gospody. Przecież wiesz, że w sobotę, kiedy pojechałem na wycieczkę, gospoda była jeszcze otwarta. Czyś zapomniał, że w nocy z soboty na niedzielę miałeś tam stać na warcie?

- Ach, rzeczywiście! Zdaje mi się, że od tego czasu już cały rok upłynął. To było tej samej nocy, kiedy deptałem Joe'emu po piętach aż do domu wdowy.

- Śledziłeś go?

- Tak, ale buzię na kłódkę! Indianin pewnie zostawił jakichś przyjaciół. Nie chcę, żeby oni kręcili na mnie nosami i jeszcze mnie się czepiali. Przecież gdyby nie ja, Joe siedziałby teraz w Teksasie jak u Pana Boga za piecem.

Huck zwierzył się ze swej przygody Tomkowi, który dotąd wiedział tylko o udziale Walijczyka w tej sprawie.

- Widzisz - rzekł Huck wracając do sprawy zasadniczej - ten, kto wyniósł spod numeru drugiego wódkę, zagarnął i pieniądze. W każdym razie nam skarb wymknął się z rąk, Tomku.

- Huck, pod numerem drugim pieniędzy w ogóle nie było!

- Co? - Huck świdrował spojrzeniem twarz Tomka. - Czy znów wpadłeś na jakiś ślad?

- Huck, one są w pieczarach! Huckowi zaświeciły się oczy.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Pieniądze są w pieczarach!

- Tomek! Indiańskie słowo honoru? Żartujesz czy mówisz poważnie?

- Poważnie, Huck, poważniej nie mówiłem, jak żyję. Czy pójdziesz tam ze mną i pomożesz mi wy dostać te pieniądze?

- No pewnie! ,Jeśli możemy naznaczyć drogę i nie zabłądzimy.

- Zrobimy to śpiewająco, bez najmniejszej okruszynki ryzyka.

- Hop, siup, muzyczka gra? Skąd wiesz, że pieniądze...

- Zobaczysz, jak tam będziemy, Huck! Jeśli skarbu nie znajdziemy, oddam ci mój bęben i w ogóle wszystko. Indiańskie słowo honoru!

- Świst-dżyst! Kiedy?

- A jak świst, to zaraz! Siły ci dopisują?

- Czy to daleko od wejścia? Od trzech albo czterech dni jeżdżę na własnych pedałach, ale dalej niż milę mnie nie zanosą. Skąd, mowy nie ma, Tomku.

- Dla każdego innego to jest jakieś pięć mil, ale ja jeden znam drogę wprost śmiesznie krótką. Słuchaj, Huck, podpłyniemy tam łódeczką. Będę sterował w tamtą stronę i wiosłował pod prąd, z powrotem. Ty nawet palcem nie kiwniesz.

- No to już, chodźmy!

- Dobrze. Musimy zabrać trochę chleba, mięsa, nasze fajki, woreczek, lepiej dwa, jakieś trzy sznurki od latawców i trochę tych najnowszych wynalazków, które nazywają się zapałkami. Mówię ci, bardzo wtedy żałowałem, że nie miałem ich z sobą.

Zaraz po południu chłopcy pożyczili sobie małą łódź od pewnego obywatela, którego chwilowo przy niej nie było, i ruszyli w drogę. Gdy byli już kilka mil poniżej wejścia do pieczary, Tomek powiedział:

- Jak widzisz, cały ten stromy brzeg, począwszy od wejścia do piec sar aż do tego miejsca, niczym się nie wyróżnia, nie ma domów ani stosów ściętych drzew, tylko zarośla i zarośla. Ale czy widzisz coś białego tam, gdzie ziemia się obsunęła? To właśnie jest jeden z moich znaków. Wsiadamy.

Wyszli na brzeg.

- Słuchaj, z miejsca, gdzie teraz stoimy, mógłbyś zarzucić wędkę do dziury, przez którą wydostałem się na świat. Zobaczymy, czy ją znajdziesz.

Huck szukał wszędzie, ale nic nie znalazł. Wtedy Tomek z dumą miną podszedł ku zbitej gęstwie sumaku i rzekł:

- A widzisz! Spójrz, Huck. Bardziej przytulnej nory nie znajdziesz w całej Ameryce. Tylko trzymaj język za zębami! Od dawna chciałem zostać zbójcą, ale wiedziałem, że muszę mieć właśnie coś takiego, czego - choćbyś pękł - nie znajdziesz. Tu mamy takie miejsce. Nikomu o tym słowa:nie piśniemy, dopuścimy tylko do tajemnicy Joe'ego Harpera i Bena Rogersa, bo musimy mieć całą bandę, inaczej wszystko byłoby do niczego. Bar da Tomka Sawyera! To brzmi wspaniale, no nie, Huck?

- Owszem, niczego sobie! A kogo będziemy łupić?

- Och, kogo popadnie. Będziemy czatować na ludzi, tak się to zwykle robi.

- I będziemy ich zabijali?

- Nie, nie zawsze. Będziemy ich trzymać w pieczarach, póki nie dostaniemy okupu.

- Co to jest okup?

- Pieniądze. Zmusza się jeńców, żeby przyjaciele zapłacili za nich, ile tylko mogą. A jeśli minie rok i okupu nie ma, to się jeńców zabija. Taka jest zasada. Nie zabija się tylko kobiet. Zamyka się, ale nie zabija. One są zawsze piękne, bogate i trzęsą się ze strachu. Zabiera im się zegarki i inne rzeczy, ale zdejmuje się przed nimi kapelusz i bawi je uprzejmą rozmową. Nikt nie dorówna zbójcom w grzeczności - to znajdziesz w każdej książce. No tak. Potem kobiety zakochują się w nas, a po tygodniu lub dwóch pobytu w jaskini przestają płakać i

wtedy za nic ich się nie pozbędziesz. Wygonisz je, a one pokręcą się tu i tam i już są z powrotem. Tak jest w każdej książce.

- Faktycznie, nielicho, Tomku. To chyba lepsze niż życie pirata.

- Tak, właśnie lepsze, bo masz pod ręką dom, cyrk, i tak dalej.

W czasie tej rozmowy chłopcy przygotowali się do zejścia w głąb pieczar. Wleźli do nory. Tomek prowadził. Z trudem dobrnęli do końca korytarza, przymocowali do ściany sztukowane sznurki od latawców i ruszyli dalej. Zrobili jeszcze parę kroków i znaleźli się przy źródle. Tomka obleciał zimny dreszcz. Pokazał Huckowi koniuszek knota, przylepiony bryłką gliny do skały, i opowiedział mu, jak to było, kiedy wraz z Becky patrzył na ostatnie podrygi dogasającego płomyka.

Zaczęli mówić szeptem, gdyż cisza i mrok, jakie tu panowały, działały na nich przygnębiająco. Poszli dalej i skręcili w dobrze znany Tomkowi korytarz, którym dotarli do rzekomej przepaści. Przy świetle świec okazało się, że nie była to przepaść, tylko strome zbocze gliniastego wzgórza, mającego dwadzieścia do trzydziestu stóp wysokości. Tomek szepnął:

- Teraz coś ci pokażę.

Podniósł wysoko świecę i powiedział:

- Zajrzyj no za ten róg, jak najdalej. Czy coś widzisz? Tam, na wielkiej skale - wymalowany kopciem świecy.

- Tomku, to krzyż!

- Więc gdzie jest numer drugi? „Pod krzyżem”, co? Właśnie tam widziałem Indianina Joe'ego ze świecą w ręku!

Huck przez chwilę wpatrywał się w tajemniczy znak, po czym powiedział drżącym głosem:

- Tomku, uciekajmy stąd!

- Co? I zostawić skarb?

- Tak, zostawić. Duch Indianina na pewno gdzieś tu się kręci. -Ale skąd, Huck! Wykluczone. On straszy na pewno tam, gdzie umarł, u wylotu pieczary, stąd dobre pięć mil.

- Oj, nie, Tomku. Na pewno kręci się koło pieniędzy. Już ja się znam na duchach, a i ty wiesz swoje o nich.

Tomek zaczął się obawiać, że Huck ma słuszność. Opanowały go niedobre przeczucia. Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy.

- Słuchaj, Huck! Osły jesteśmy obaj! Przecież duch Indianina nie będzie się kręcił naokoło krzyża.

Tomek trafił w sedno. To poskutkowało.

-Wiesz, nie pomyślałem o tym. Jest tak, jak mówisz. Całe szczęście, że tu jest krzyż! Trzeba zjechać na dół i szukać tej skrzyni.

Tomek poszedł pierwszy. Schodząc w dół, wybijał w glinie prymitywne schodki. Huck szedł za nim. Wielka skała znajdowała się w małej komorze, z której rozchodziły się cztery korytarze. Przeszukali trzy, de nic nie znaleźli. U stóp skały odkryli małą niszę, a w niej legowisko z kilku koców rozłożonych na ziemi, stare szelki, skórę ze słoniny i do czysta obgryzione kości paru kurczaków. Skrzyni z pieniędzmi - ani śladu. Szukali i szukali - wszystko na nic. Wreszcie Tomek powiedział:

- Mówił, że pod krzyżem. Tutaj jest najbliżej krzyża. To nie może być pod samą skałą, bo ona głęboko siedzi w ziemi.

Przetrząsnęli wszystko jeszcze raz. Wreszcie zniechęceni usiedli, Huckowi nic nie przychodziło do głowy. Po chwili Tomek rzekł:

- Słuchaj, Huck. Tutaj w glinie są ślady nóg i plamy od świecy, ale tylko z jednej strony skały, z innych stron nic nie ma. Dlaczego? Jestem pewny, że pieniądze są jednak pod skałą. Muszę odkopać glinę.

- Nieźleś to wymyślił, Tomku - żywo przytaknął mu Huck. Tomek wydobył scyzoryk „prawdziwy” Barlow, i zaczął nim odkopywać glinę. Na głębokości czterech cali trafił na drzewo.

- Hej, Huck! Słyszysz?

Huck zaczął rozgrzebywać glinę rękami. Pokazały się deski. Chłopcy wyciągnęli je na wierzch. Deski zakrywały rozpadlinę, prowadzącą pod skałę. Tomek wcisnął się do środka i próbował poświecić sobie, jak mógł najdalej, ale końca rozpadliny nie było widać. Oświadczył, że trzeba to dokładnie zbadać. Skulił się i wlaź pod skałę. Wąski kanał wił się i lekko opadał. Tomek skręcił najpierw w prawo, potem w lewo, tuż za nim posuwał się Huck. Nagle, po jeszcze jednym ostrym zakręcie, Tomek zawołał:

- Wielki Boże! Huck, patrz!

Była to bez wątpienia skrzynia ze skarbem. Spoczywała w małej piwniczce wraz z próżną beczką od prochu, paru strzelbami w skórzanych futerałach, kilkoma parami starych mokasynów, skórzanym pasem i innymi rupieciami nasiąkłymi wodą, która ściekała ze sklepienia.

- Tu cię mamy! - powiedział Huck grzebiąc ręką w zaśniedziałych monetach. - Jasny gwint! Ale teraz jesteśmy bogaci!

- Huck, wiedziałem, że dostaniemy w ręce ten skarb. Wprost wierzyć się nie chce, a jednak mamy go, to fakt! Słuchaj, nie ma się co tutaj guzdrać, trzeba to stąd wytargać. Czekaj, zobaczę, czy dam radę podnieść tę skrzynię.

Ważyla około pięćdziesięciu funtów. Tomkowi udało się jakoś ją dźwignąć, ale zbyt była ciężka i nieporęczna, by mógł ją nieść.

- Od razu wiedziałem - rzekł - że jest ciężka, gdy zobaczyłem, jak ją wtedy wynosili z nawiedzonego domu. Dobrze jednak zrobiłem, że nie zapomniałem o workach.



Pieniądze szybko znalazły się w workach i chłopcy zanieśli je do skały oznaczonej krzyżem.

- Weźmy jeszcze strzelby i inne rzeczy - powiedział Huck.

- Nie, Huck, zostawimy je tutaj. Wszystkie te figle bardzo nam się przydadzą, kiedy będziemy zbójcami. Niech sobie leżą. Tutaj będziemy też urządzać orgie. To szalenie wygodne miejsce na orgie.

- Co to są orgie?

- Nie wiem. Ale zbójcy zawsze wyprawiają orgie, więc i my też musimy. No, chodź Huck, długo tu siedzieliśmy. Pewnie już jest bardzo późno. Jestem głodny. W łodzi podjemy sobie i zapalimy.

Po chwili wyszli spod ziemi w gęste zarośla sumaku. Rozejrzeli się ostrożnie - na brzegu nie było żywej duszy. Usiedli w łódce. Pożywiali się i palili fajki. Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedy odbijali od brzegu i popłynęli w górę rzeki. Powoli zapadał zmrok. Tomek wiosłował trzymając się blisko brzegu i wesoło gawędził z Huckiem. Gdy wylądowali, było już ciemno.

- Słuchaj, Huck. Pieniądze schowamy na stryszku drwalni wdowy Douglas. Przyjdę tam jutro rano, przeliczymy wszystko i podzielimy się, a potem wyszukamy w lesie jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nikt ich nie ruszy. Teraz posiedź tu chwilę i pilnuj tego, co wiesz, a ja skoczę i podpyłę taczki Bena Taylora. Zaraz wracam.

Znikł i po chwili wrócił z taczkami. Załadował worki, nakrył je starymi szmatami i ruszył ciągnąc za sobą swój bagaż. Przed domem Walińczyka przystanęli, żeby nieco odsapnąć. Właśnie wybierali się w dalszą drogę, gdy wyszedł stary i zawołał:

- Hej, kto tam?

- Huck i Tomek Sawyer.

- Świetnie! Chodźcie, chłopcy, ze mną, bo tam wszyscy na was czekają! Jazda! Żywo! Idźcie pierwsi, pociągnę wam te taczki, chłopaki! O, psiakość, lekkie to nie jest. Co tam macie - cegły, stare żelazo?

- Stare żelazo - odparł Tomek,

- Tak myślałem. U nas chłopcy wolą się zmordować i stracić mnóstwo czasu zbierając złom, żeby dostać za to parę centów w odlewni, ale do pracy nie pójdą, choć mogliby tam zarobić dwa razy więcej. Taki już jest ten świat. No, chłopaki, ruszajcie się, a żywo!]

Chcieli się dowiedzieć, co znaczy ten pośpiech.

- Ani słowa. Dowiedcie się u wdowy Douglas. Huck, trochę zaniepokojony, bo zawsze go o coś niesłusznie posądzano, powiedział:

- Panie Jones, myśmy nic nie zrobili! Walińczyk parsknął śmiechem.

- Ba! Ja nic nie wiem, mój drogi. Ja się niczego nie domyślam. Ale z panią Douglas jesteś w zgodzie?

- Owszem. Przynajmniej ona zawsze była dobra dla mnie.

- Ano właśnie. Czegóż się boisz?

Zanim wolno myśląca głowa Hucka zdołała sobie odpowiedzieć na to pytanie, chłopiec został wepchnięty wraz z Tomkiem do salonu wdowy Douglas. Pan Jones zostawił taczkę pod drzwiami i wszedł za nimi.

Pokój był rzęsiście oświetlony. Zebrali się tu wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w miasteczku. Byli więc państwo Thatcherowie, Harperowie, Rogersowie, ciotka Polcia, Sid, Mary, pastor, redaktor i wielu, wielu innych - a wszyscy odświętnie ubrani.

Wdowa przywitała chłopców z taką serdecznością, na jaką można się było zdobyć wobec gości, którzy tak wyglądali jak oni. Byli od stóp do głów ubabrani gliną i łojem świeczek. Ciocia Polcia zaczerwieniła się ze wstyd u jak piwonii, zmarszczyła brwi i tylko trzęsła głową pod adresem Tomka. Ale najgorzej z wszystkich czuli się sami chłopcy. Pan Jones powiedział:

- Tomka do tej pory nie było w domu. Już myślałem, że nic z tego nie będzie, gdy natknąłem się na nich pod moim domem i czym prędzej ich tu przyprowadziłem.

- I bardzo dobrze pan zrobił - odparła wdowa. - Chodźcie ze mną, chłopcy.!

Wciągnęła ich do sypialni i powiedziała:j

- Teraz umyćcie się i przebierzcie. Macie tu dwa nowe ubrania, koszule, skarpetki, wszystko co trzeba. To dla Hucka - nie, nie dziękuj; jedno ubranie od pana Jonesa, drugie ode mnie. Będą chyba dobre dla was obu. Ubierajcie się. Zaczekamy na was. Gdy się oporzadzicie, zejdźcie, chłopcy, na dół.

To rzekłszy, wyszła.

### **STRUMIENIE ŻŁOTA**

- Tomku - zaczął Huck - może znajdzie się tu linka, to zwiejemy. Okno nie jest wysoko.

- Czemu, kapuściana głowo, chcesz wiać?

- Wiesz, nie lubię tłoku. Nie wytrzymam. Ja nie zejść na dół.

- Nie zawracaj gitary! Wielka mi parada. Gwiżdżę na to. A ty się nie bój, ja będę z tobą.

Zjawił się Sid.

- Tomku - rzekł - cioteczka czekała na ciebie całe popołudnie. Mary przygotowała twoje odświętne ubranie i wszyscy się o ciebie martwili. O, czy to przypadkiem nie świeca i glina na twoim ubraniu?

- Panie Siduśku kochany, pilnuj pan swego nosa. Co znaczy ta zadyma na dole?

- Wieczorek, jak zwykle u pani Douglas. Dziś jest to przyjęcie na cześć Walijczyka i jego synów, za to, że ją wtedy w nocy uratowali. Słuchaj, chcesz, to ci coś powiem.

- No co?

- To, że stary Jones chce tu z czymś wystrzelić i wszystkich zadziwić, ale ja podслуchałem, jak dzisiaj powiedział o tym cioci na ucho. Teraz to już nie jest żadna tajemnica. Wszyscy już wiedzą - i wdowa też wie, choć robi takie miny, jakby nie wiedziała. Panu Jonesowi bardzo zależało na tym, żeby Huck był tu dzisiaj, bo bez niego nie mógłby zastrzelić gości tą swoją wielką tajemnicą, rozumiesz?

- Tajemnicą? Jaką?

- A że Huck śledził tych bandytów aż do domu wdowy. Jones chciał, zdaje się, narobić tutaj nie wiadomo jakiego hałasu, ale ręczę ci, że będzie kłapa.

Sid zachichotał, bardzo z siebie zadowolony.

- Sid, czy to ty rozgadałeś?

- Wszystko jedno kto. Ktoś rozgadał i już.

- Sid, w całym mieście jest tylko jeden nędzny robak zdolny do takiego świństwa. Tym robakiem jesteś ty. Gdybyś się znalazł na miejscu Hucka tobyś zjeżdżał z góry na dół aż miło i nikomu byś nie powiedział o bandytach. Umiesz tylko robić świństwa i nie możesz znieść, gdy kogoś z coś chwala. Nie, nie dziękuj, jak mówi wdowa...

Tomek chwycił Sida za uszy i paru celnymi kopniakami wyrzucił go za drzwi.

- Idź i poskarż się cioci, jeśli się nie boisz jutro dostać ode mnie dolewkę!

W kilka minut później goście wdowy zasiedli do kolacji. Zgodnie ze zwyczajem, jakiemu wówczas hołdowano w tym kraju, dzieci - a było ich około tuzina - posadzono w tym samym pokoju przy małych stolikach pod ścianą. Pan Jones, gdy przyszła na to pora, palnął mówkę, w której podziękował wdowie za zaszczyt, jaki przyniosła jemu i jego synom, ale powiedział - jest tu jeszcze ktoś, czyja skromność...

I tak dalej, i tak dalej. Wyjechał ze swoją rewelacją o roli Hucka w tej przygodzie w sposób wielce dramatyczny, w czym był mistrzem nie lada lecz zdumienie gości było zwyczajnym fałszerstwem i nie objawiało się ar i tak głośno, ani żywiołowo, jakby to było w bardziej pomyślnych okolicach-nościach. Wdowa jednak wcale zręcznie udała zdziwienie i poczęstował Hucka taką porcją komplementów i objawów wdzięczności, że chłopca zapomniał nawet o tym, jak nieznośnie dopieka mu nowe ubranie, gdyż stokroć trudniej było mu wytrzymać ostrzał spojrzeń gości i chóralnych pochwał.

Wdowa oświadczyła, że zamierza przyjąć Hucka do swego domu i wziąć go na wychowanie, a potem, jeśli jej się uda zaoszczędzić nieco grosza, pomoże mu jakoś urządzić się w życiu.

Teraz przyszła kolej na Tomka. Powiedział po prostu:

- Huck niczego nie potrzebuje. Huck jest bogaty.

Jedynie wielkie znaczenie, jakie goście przywiązywali do zasad dobrego tonu, powstrzymało ich od wybuchu zdrowego śmiechu, na co w pełni zasługiwał ten mały żart towarzyski. Ale milczenie też było niezbyt zręczne. Przerwał je Tomek:

- Huck ma pieniądze. Może państwo temu nie wierzycie, ale Huck ma forsy jak lodu. Tylko proszę się nie uśmiechać, kto nie wierzy, ten się przekona. Zaraz, chwileczkę!

Wybiegł z pokoju. Wszyscy spoglądali po sobie, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć. Pytające spojrzenia zwróciły się w stronę Hucka, ale ten milczał, jakby mu ktoś język zawiązał na supeł.

- Sid, co znów Tomka ugryzło? - zapytała ciotka Polcia. - On... Hm... Z nim nigdy nic nie wiadomo. Ja nigdy...

Wszedł Tomek, uginając się pod ciężarem worków, i ciocia nie dokończyła zdania. Wysypał na stół górę żółtych monet i powiedział:

- No? Co mówiłem? Połowa jest Hucka, a połowa moja!

Widok złota zaparł wszystkim dech w piersiach. Wytrzeszczyli oczy i nic nie mówili. Po chwili jednak jak jeden mąż zaczęli głośno domagać się wyjaśnień. Tomek oświadczył, że może udzielić wyjaśnień, i tak też zrobił.

Opowiadanie było długie, ale słuchało się go z zapartym oddechem. Nikt ani słowem nie zmacił uroku, jakim tchnęła opowieść Tomka. Gdy skończył, pan Jones powiedział:

- Miałem nadzieję, że będę mógł nieco zadziwić państwa dziś wieczór, ale widzę teraz, jak zbladła moja niespodzianka. Muszę przyznać, że to, co się stało, zupełnie zaćmiło mój skromny pomysł.

Przeliczono pieniądze. Było tego ponad dwanaście tysięcy dolarów. Tyle pieniędzy naraz nikt z obecnych jeszcze nie widział, choć byli tu i tacy, których majątek oceniano na więcej niż dwanaście tysięcy.

### **ZACNY OBYWATEL HUCK PRZYSTAJE DO BANDY**

Czytelnik może być pewny, że gratka, jaka się trafiła Tomkowi i Huckowi, wywołała potężny wstrząs w ubogiej mieścinie St. Petersburg. Tak olbrzymia suma, i to w brzęczącej monecie, graniczyła z czymś zupełnie niepojętym. Mówiło się o tym, pożerało się skarb oczami i zachwycało jego widokiem tak długo, że jeden z obywateli miasta pod naporem niezdrowego podniecenia doznał pewnego zachwiania równowagi umysłu. Każdy „nawiedzony” dom w miasteczku i okolicznych wsiach został rozebrany na drobne kawałki, deska po desce, a jego fundamenty rozkopano i przetrząsnięto w poszukiwaniu ukrytego skarbu - robili to nie chłopcy, lecz mężczyźni, ludzie poważni, a nie jacyś tam marzyciele. Gdziekolwiek zjawił się Tomek i Huck, wszyscy zabiegali! o ich względy i patrzyli na nich z podziwem. Chłopcy nie mogli sobie przypomnieć, żeby dawniej przywiązywano wagę do tego, co mówili. Teraz każde ich słowo było cenione na wagę złota i powtarzane przez wszystkich. Cokolwiek zrobili, uważane było za godne uwagi. Widocznie zatracili już zdolność robienia i mówienia rzeczy przeciętnych. Co więcej, ich przeszłość stała się przedmiotem dociekań i wykryto w niej znamiona wybitnej oryginalności. Miejscowy dziennik zamieścił szkice biograficzne - o ich życiu i czynach.

Pani Douglas ulokowała kapitał Hucka na sześć procent, a sędzia Thatcher - na prośbę cioci Polci - uczynił to samo z pieniędzmi Tomka. Obaj chłopcy mieli teraz fantastyczne dochody: dolara każdego powszedniego dnia, a pół dolara w niedzielę. To było tyle, ile miał pastor, a raczej, ile mu gmina obiecała, bo nigdy tyle nie zebrał. W owych dawnych i łatwych czasach można było za jednego i ćwierć dolara tygodniowo dać chłopcu utrzymanie, mieszkanie, szkołę, a jeśli kto ciekaw - to również ubrać go i umyć.

Sędzia Thatcher nabrał o Tomku bardzo wysokiego mniemań: a. Twierdził, że przeciętny chłopiec nigdy by nie wyprowadził jego córki z pieczar. Gdy Becky opowiedziała mu w ścisłym zaufaniu, jak Tomek w szkole wziął za nią bicie, sędzia był tym wyraźnie wzruszony. A kiedy go prosiła, aby darował Tomkowi straszne kłamstwo, jakiego się dopuścił chcąc ją osłonić własnymi plecami, tatuś odparł ze szlachetnym uniesieniem, że było to godne i wspaniałomyślne kłamstwo, które śmiało może kroczyć z podniesioną głową i w historii stanąć piersią w pierś z opiewaną przez historyków wielką prawdą, jaką Jerzy Waszyngton wypowiedział na temat siekiery. Nigdy ojciec nie wydał jej się tak wielki i pełen wzniosłości, jak właśnie wtedy, gdy spacerując po pokoju powiedział te słowa i jeszcze tupnął nogą. Natychmiast pobiegła do Tomka i wszystko mu powtórzyła

Sędzia Thatcher spodziewał się, że ujrzy kiedyś w Tomku wielkiego prawnika albo wielkiego żołnierza. Powiedział, że dołoży starań, aby *po* przyjęto do Akademii Wojskowej, i żeby potem studiował prawo w najlepszej uczelni w kraju - dzięki temu będzie przygotowany do jednej i drugiej kariery, a może zabłysnąć w obu dziedzinach równocześnie.

Bogactwo Hucka i opieka wdowy Douglas wprowadziły go do towarzystwa, nie - wepchnęły go tam i rzuciły na pastwę; chłopak cierpiał więcej, niż mógł wytrzymać. Służące wdowy utrzymywały go w stanie czystości, myły go i czesały, a na noc kładły w pościeli, do której czuł wstręt, bo nie było na niej ani jednej plamki, którą by mógł przycisnąć do serca jak starego przyjaciela. Musiał jeść nożem i widelcem, używać serwetki, filiżanki, talerza, musiał się uczyć, chodzić do kościoła i wyrażać się tak poprawnie, że w ogóle nie warto było mówić. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie czuł, że jest więźniem cywilizacji i że jej pęta krępują mu ręce i nogi.

Przez trzy tygodnie mężnie znosił swą niedolę, aż pewnego dnia przepadł bez wieści. Zrozpaczona wdowa przez dwie doby szukała go wszędzie. Całe miasto wzięło żywy udział w poszukiwaniach. Wywrócono wszystko do góry nogami. Zarzucano sieci, aby wyłowić go z rzeki. Trzeciego dnia Tomek wczesnym rankiem poszedł spenetrować puste beczki, które leżały za starą rzeźnią, i w jednej chwili znalazł zbiega. Huck spał tam w nocy, a teraz, po spożyciu śniadania, które składało się z jakichś skradzionych resztek jedzenia, wylegiwał się i palił fajkę. Był nie umyty, nie uczesany i miał na sobie te same łachy, które nadawały mu tak małowiczny wygląd wtedy, gdy był wolny i szczęśliwy. Tomek wyciągnął go stamtąd, powiedział mu, ile narobił zamieszania, i nalegał, żeby wrócił do domu. Twarz Hucka straciła wyraz błęgiego zadowolenia i powlekła się smutkiem.

- Nie mów o tym, Tomku - powiedział. - Próbowałem, ale się nie udało. Nie udało się, Tomku. To nie dla mnie. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Wdowa jest dobra, nawet bardzo dobra, ale ja tego nie wytrzymuję. Każę mi wstawać co dzień o tej samej porze i myć się, a chesz mi tak, że mi włosy z głowy wrywają. Nie pozwala mi spać w drwalce. Muszę nosić to przeklęte ubranie, w którym ledwie zipię, bo jest szczelne i nie przepuszcza powietrza, a przy tym jest tak obrzydliwie piękne, że nie mogę w nim ani usiąść, ani się położyć, ani kulać. A na drzwiach od piwnicy nie jeździłem już chyba sto lat. Muszę chodzić do kościoła i pocić się jak mysz, bo nie cierpię tego gadania! Nawet muchy mi złapać nie wolno, nie mogę żuć tytoniu, a całą niedzielę muszę chodzić w butach. Wdowa je według zegarka i według zegarka idzie spać, i wstaje według zegarka - wszystko jest tam tak okropnie uregulowane, że człowiek nie może tego wytrzymać.

- Ależ Huck, tak robią wszyscy!

- To mnie bardzo mało obchodzi. Ja nie jestem „wszyscy” i nie mogę tego znieść. To straszne - być na uwięzi. A żarcie samo wpada do gęby i jedzenie przestaje człowieka interesować. Muszę ciągle się pytać, czy mogę iść na ryby, czy mogę iść się kąpać - do diabła starego, o wszystko tylko się pytać! I jeszcze jedno: Wyrażać się nie wolno, no to i mówić się nie chce. Musiałem co dzień wyłazić na strych, żeby trochę odetchnąć świeżym powietrzem, powiedzieć coś soczystego - inaczej bym skonał, mówię ci, Tomku. Wdowa nie pozwala mi palić, nie pozwala mi krzyczeć, ziewać, przeciągać się i drapać przy ludziach. .

Tu Huck rozgniewał się i z oburzeniem wołał dalej: - I niech to wszyscy diabli wezmą, ona bez przerwy się modli! Nigdy w życiu nie widziałem takiej kobiety! Musiałem zwać, Tomku, musiałem! A poza tym niedługo rozpoczyna się szkoła i musiałbym tam chodzić - nie, tego byłoby już za wiele! Słuchaj, być bogatym to wcale nie tak przyjemne, "jak się ludziom zdaje. Tylko kłopoty i zmartwienia, człowiek się zmęczy i żyć mu się nie chce. A mnie się podoba to ubranie, które mam teraz na sobie, i ta becicka. Ani myślę się z nim rozstać. Tomku, nigdy bym się tak nie wkopał, gdyby nie te pieniądze, weź więc moją część, czasem dasz mi dziesięć centów, ale nie za często, bo gwizdzą na wszystko, co łatwo mi przychodzi. Idź do wdowy i poproś, żeby mi dała spokój.

- Och, Huck, sam wiesz, że nie mogę tego zrobić! To byłoby nieładnie. A zresztą, gdybyś tak jeszcze trochę spróbował tego życia, tobyś je polubił.

- Polubił! To tak, jakbym polubił gorący piec, na którym kazaliby mi siedzieć. Nie, Tomku, nie chcę być bogaty i nie chcę mieszkać w ich przeklętych, dusznych domach. Lubię lasy, rzekę, becicki i tu pozostanę. A resztę - niech diabli wezmą! Właśnie kiedyśmy zdobyli strzelby, jaskinię i kiedy mamy wszystko, co jest potrzebne do rozboju, musiała się zdarzyć ta przeklęta heca z pieniędzmi i wszystko popsuć!

Tomek uznał, że nadeszła stosowna chwila.

- Słuchaj, Huck, choć jestem bogaty, wcale nie rezygnuję z rozboju.

- Nie? To całe szczęście. Ale czy mówisz to poważnie, na mur?

- Tak poważnie, jak mnie tu widzisz! Ale, Huck, nie będziemy cię mogli przyjąć do bandy, jeśli nie będziesz cieszył się poważaniem, wiesz?

Huck od razu zmarkotniał.

- Nie możecie mnie przyjąć? A na pirata to się nadawałem?

- Tak, ale to zupełnie co innego. Zbójca to na ogół coś znacznie lepszego niż pirat. W wielu krajach zbójcy należą do najwyższych sfer, wiesz, książęta i inni tacy.

- Tomku, zawsze byłeś moim przyjacielem, no nie? Nie odtrącisz mnie chyba, co? Nie zrobisz tego, prawda, Tomku?

- Widzisz, Huck, nie chciałbym tego zrobić, ale co ludzie powiedzą: „Phi! Banda Tomka Sawyera! Pospółstwo i nic więcej”. Ciebie mieliby na myśli, Huck! I tobie, i mnie byłoby niemiło.

Huck milczał chwilę, walcząc sam z sobą. Wreszcie powiedział:

- Dobrze, wrócę do wdowy na miesiąc i spróbuję. Może mi się uda wytrzymać, ale pod warunkiem, że przyjmiesz mnie do bandy, Tomku!

- Dobrze, Huck! Klawo jest! Chodź, mój stary. Poproszę wdowę, żeby ci trochę popuściła cugli.

- Zrobisz to, Tomku, naprawdę? To dobrze! Byle tylko trochę ustąpiła w tym, go najtrudniej wytrzymać, to już palić i kłąć będę tylko na osobności. I - albo wytrzymam, albo pęknę. Kiedy zbierasz bandę i zaczynasz zbójckie życie?

- Och, zaraz! Możemy jeszcze tej nocy zebrać chłopaków i dokonać wtajemniczenia.

- Czego?

- Wtajemniczenia.

- Co to jest?

- To znaczy przysiąc sobie, że będziemy się wzajemnie wspierali, że żaden nie zdradzi tajemnic bandy, choćby go posiekali na kawałki, a każdego, kto by ruszył któregoś z nas, zabijemy razem z całą jego rodziną.

- To wesoła zabawa! Oj, jaka wesoła!

- Rozumie się. A zaprzysiężenie musi się odbyć o północy w najbardziej odludnym i najstraszniejszym miejscu, jakie tylko znajdziemy. Najlepszy byłby dom, w którym straszy, ale teraz wszystkie te domy zrównali z ziemią.

- No tak, w każdym razie zrobimy to o północy.

- Naturalnie. Przysięgać będziemy na trumnę i podpiszemy to krwią.

- W to, w to mi graj! To milion razy klawwsze niż korsarstwo. Będę siedział u wdowy, żebym miał skonać. A gdy zostanę kiedyś prawdziwym zbójcą i będę na ustach wszystkich, wówczas i wdowa będzie dumna, że wy dostała mnie z błota.

## **ZAKOŃCZENIE**

Tak kończy się ta kronika. Zważywszy, że jest to tylko historia chłopca, wypada nam na tym ją zamknąć, inaczej bowiem byłyby to już dzieje mężczyzny. Jak się pisze powieść o ludziach dorosłych, to się wie, na czym ją skończyć - oczywiście na weselu. Ale kto się zajmuje osobami nieletnimi, musi przestać pisać tam, gdzie mu się to najlepiej uda.

Większość osób występujących w tej książce żyje jeszcze. Dobrze im się powodzi i są szczęśliwi. Może kiedyś pokusimy się o to, by podjąć opowieść o młodych bohaterach tej książki, i wtedy zobaczymy, jacy to mężczyźni i jakie kobiety z nich wyrosły. Z tego względu najmądrzej będzie w tej chwili nic nie mówić o ich dalszych losach.

